



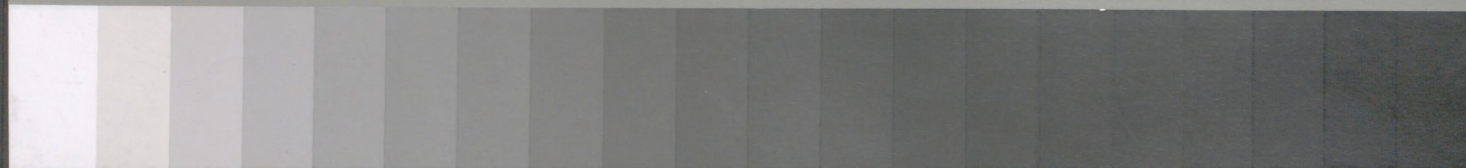
Grey Scale #13



Part Code
ST1316



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



PAMIĘTNIKI ZYGMUNTA KOTIUŻYŃSKIEGO

* 1826 † 1894

WYDANE NAKŁADEM I STARANIEM SYNA AUTORA

KRAKÓW 1911

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SP.



Colour Chart #13



PAMIĘTNIKI
ZYGMUNTA KOTIUŻYŃSKIEGO

* 1826 † 1894

WYDANE NAKŁADEM I STARANIEM SYNA AUTORA

KRAKÓW 1911
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SP.

PAMIĘTNIKI ZYGMUNTA KOTIUŻYŃSKIEGO



PAMIĘTNIKI
ZYGMUNTA KOTIUŻYŃSKIEGO

* 1826 † 1894

WYDANE NAKŁADEM I STARANIEM SYNA AUTORA

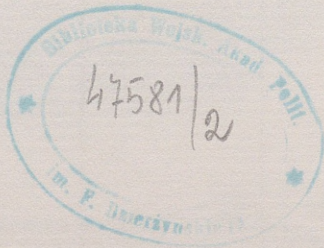
KRAKÓW 1911
SKŁAD GŁÓWNY — G. GEBETHNER I SP.

92 : 93 (438) 10

PAMIĘTNIKI
SYMONTA KOTUŹYŃSKIEGO

1836-1834

WYDAWE NAKŁADEM WYDZIAŁU SŁOWNIKÓW I JĘZYKOZNAWSTWA



Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, pod zarządkiem Józefa Filipowskiego.

Wstęp.

Nie ulega wątpliwości, że rodzina Kotiużyńskich, pod względem pochodzenia i pierwotnego osiedlenia, należy do ziemian rdzennie ruskich, a mianowicie wołyńskich. Komu znane są wydawnictwa Al. Jabłonowskiego, kto bodaj zajrzał do »Atlasu historycznego ziem ruskich«, ten się przekonał, iż gleba wołyńska, krom magnackich domów, roiła się od gniazd rozmaitej kategorii ziemian-szlachty, przybierającej zwykle, wzorem szlachty koronnej, nazwiska od dziedzicznych majątności.

Na Wołyniu jest kilkoro Kotiużyniec; były też wsi tej nazwy w dawnym województwie kijowskim i braclawskim — na Ukrainie —, jedne z nich atoli należały do fortun książęcych, inne do królewszczyzn¹⁾. Wobec tego za bardzo prawdopodobne gniazdo rodziny szlacheckiej Kotiużyńskich przyjąć można Kotiużyńce w dzisiejszym powiecie starokonstantynowskim (gmina Teofipol), jako że w roku 1545 wieś owa należała do Fedora Kotiużeńskiego²⁾.

Kotiużyńscy pieczętują się herbem Przyjaciel. Herb ten już Paprockiemu znany jako »klejnot starodawny«, podług opisu Niesieckiego przedstawia »serce ludzkie na misie, z lewego boku z góry na dół strzałą przeszyte, w polu błękitnem..., a na hełmie pięć piór strusich«³⁾. Niesiecki, który zresztą nie znał wielu starodawnych rodzin szlacheckich, gnieźdzących się na kresach, oddanych roli a nie uczestniczących w działaniach głośnym echem wspominanych, nie zapisał też w swej »Koronie«

¹⁾ Ob. »Źródła dziejowe«, XIX, 145, 147; XX, 57; XXI, 335, 437. 465.

²⁾ Słownik geograficzny, tom XV (Dopełnienia), Warszawa 1900, ob. str. 140.

³⁾ Niesiecki, Herbarz (ed. Bobrowicz) VII, 553.

i Kotiużyńskich. Wiedział jednak o istnieniu klejnotników tego herbu na Wołyniu i o odmianie jakiej tam zażywają: »inni... na Wołyniu, dwa serca noszą mieczem z góry przebite pośrodkiem w polu błękitnem.«

Kotiużyńscy, świadomie czy nieświadomie, także stworzyli pewną odmianę herbu Przyjaciół, gdyż pieczęć Antoniego Kotiużyńskiego, wyciśnięta przezeń w czerwonym laku na testamencie z roku 1830, przedstawia na tarczy owalnej, w polu czerwonym, serce bez misy(!), zresztą — jak w opisie Niesieckiego — przeszyte strzałą.

Uwagi niniejsze są tu o tyle właściwe, ile że prostują mylne przypuszczenia przez śp. Zygmunta Kotiużyńskiego wypowiedziane w »Pamiętnikach« (str. 78) jakoby rodzina jego pochodziła z Poznańskiego, przypuszczenie wysnute jedynie stąd, że w Toruniu znajduje się nagrobek jednego z jej członków, księdza. Ten jednak szczegół, łącznie z wymownym wyrazem entuzjazmu, doznanego przez Autora »Pamiętników«, gdy poraz pierwszy znalazł się na ziemi Królestwa Polskiego (str. 77) jest jednym z tysiąca przykładów i dowodów, w jaki sposób kultura polska w ciągu wieków wychowywała ruskie niegdyś żywioły ziemiańskie, aż stała się napojem zapomnienia, odbierającym autochtonowi świadomość pierwotnej kolebki rodzinnej. Zbyt żywe było poczucie polskości, by wobec niego »narodowość« pierwotna nie miała usiąść do rzędu rzeczy partykularnych.

Kotiużyńscy wylegitymowali się ze szlachectwa, jako szlachta gubernii kijowskiej. Ukaz Heroldyi rządzącego senatu z dnia 7 stycznia 1835 r. (Nr. 613) uznał przedstawione dowody za należyte tudzież postanowienie Kijowskiego Zgromadzenia Szlacheckiego zatwierdził. W roku bowiem 1803 w rzeczonyj instytucyi zapadł odpowiedni dekret legitymacyjny, poczem (w r. 1832) już tylko nowe pokolenie przyłączono do wyvodu. Ukaz Heroldyi oraz inne dokumenty, niżej wskazane, przedstawiają rodowód następujący.

Bazyli (Wasył) Kotiużyński w 1613 dziedziczył wieś Wysowo¹⁾ Wnuk zaś jego Andrzej, syn Konstantego, oddał w roku

¹⁾ Może to wieś Wyszów, wspomniana w r. 1600 w wojew. kijowskim (Zróżła dziejowe, XXI, 48). — Zapewne krewnym Bazylego był Mi-

1737 bratu, księdzu Jerzemu Kotiużyńskiemu, synów swych, Marcina i Wawrzyńca, na wychowanie dając mu zarazem sumę dziesięciu tysięcy złotych, od której odsetki miały służyć powyższemu celowi¹⁾

Synowie Andrzeja:

A. Leonard, karmelita, prowincyał annopolski, był zapewne najstarszym Andrzeja synem, nieżył już w roku 1790, w którym dochodzi po nim spadku bratanek Antoni, syn Wawrzyńca²⁾.

B. Marcin. Prócz wiadomości, iż w r. 1737, zapewne jako kilkoletnie pachole, oddany przez ojca pod opiekę stryja, ks. Jerzego, nic o nim więcej dokumenty rodzinne nie mówią. W roku 1830, współcześnie z synami Wawrzyńca, żyje Jakób Kotiużyński, nazwany w pewnym dokumencie³⁾ bratem Antoniego, syna Wawrzyńcowego. Bezwarunkowo bratem rodzonym nie był, bo w tymże 1830 r. Antoni całe swoje rodzeństwo wymienia w testamencie, zresztą znane jest ono i skądinąd. Był więc Jakób niewątpliwie bratem stryjecznym względem potomstwa Wawrzyńcowego, a zatem był synem Marcina.

C. Wawrzyniec urodził się 18 sierpnia 1731 r.⁴⁾, nie miał więc jeszcze lat sześciu, gdy go ojciec stryjowi powierzał. Dnia 11 lipca 1754 r. otrzymał od króla Augusta III-go przywilej na tytułarny urząd podstolego pomorskiego. W r. 1768 zawiera kontrakt o wieś Antonówkę w latyczowskim z ks. Lubomirskim⁵⁾. Żył i w roku 1790. Z żony Tekli z Godlewskich zostawił trzy córki: Wiktoryę za Michałem Bojarskim, Teklę Lewandowską w r. 1830 wdowę, Maryannę Gnatowską oraz synów czterech:

kołaj Kotużyński, podstarości zytomierski w latach 1647—1652 (Archiw Jugo-Zapadnoj Rosii, cz. VI, t. 1, str. 549 i cz. I, t. 4, str. 3 i 5) jakoteż Wojciech, towarzysz pancerny roty królewskiej w r. 1666 (Boniecki, Herbarz polski, XII, str. 2).

¹⁾ Nieco wcześniej, w r. 1727, nie nazwany z imienia śmć pan Kotiużyński administrator rużyński (na Wołyniu) ks. Lubomirskiego (Archiw J.-Z. Rosii, cz. III, t. 3, str. 36) może identyczny z powyższym Andrzejem. — W nieznanym do powyższych stosunku był ksiądz Jan Kotiużyński, kanonik lwowski w r. 1767 (Testament jego w aktach metropolii lwowskiej).

²⁾ »Summaryusz dokumentów legitymacyjnych Domu Kotiużyńskich«.

³⁾ Rewers z daty Kijów 25/I 1830 r. na pewną sumę.

⁴⁾ »Summaryusz...«

⁵⁾ »Summaryusz...«

a) Aleksy, pijar, (w świecie Józef) urodzony w r. 1763 w Żerebkach w powiecie żytomierskim, którą to wieś rodzice jego dzierżawili¹⁾, zmarł 1842 r. Kapłan czasu swego bardzo wykształcony, zdolny literat i wieloletni zasłużony pracownik na niwie nauczycielskiej (w Chełmie, Łowiczu, Międzyrzeczu wołyńskim). W ciągu lat piętastu był magistrem nowicyatu pijarskiego w Lubieszowie.

b) Kazimierz, ur. 1767²⁾, dziedzic wsi Ulszki w powiecie radomyskim w r. 1830; syn jego Floryan zostawił syna Bolesława.

c) Antoni, o którym dalej.

d) Ignacy, żyjący w r. 1830.

Antoni, syn Wawrzyńca, urodzony 2 lipca 1767 r., wylegitymowany ze szlachectwa w Kijowie w r. 1803 i do części VI-ej księgi szlacheckiej wpisany, o czym sam nadmieniał na czele testamentu, rozpoczynającego się temi słowy: »Ja, Antoni herbu Przyjaciół, niegdy W. Wawrzyńca i Tekli z Godlewskich Kotiużyńskich syn, Andrzeja wnuk, Konstantego prawnuk a Wasyla praprawnuk Kotiużyński.« W ciągu lat kilku pełnił urząd podkomorzego powiatu czehryńskiego i czerkaskiego, powołany doń z wyborów. Zmarł w r. 1837. Był bardzo majątym ziemianinem. Sporządzony przezeń w r. 1830 testament zawiera nietylko szczegółowy opis dóbr, lecz i kilka słów wstępnych o warunkach, wśród których je zdobywał. »Rodzice nasi — są jego wyrazy — dawno już nie żyją, wiadomo więc rodzeństwu, że ci, za egzystencji jeszcze Królestwa Polskiego, nie małą mając potrzebę ekspensy na edukację i utrzymanie nas wszystkich, sumę kilkudziesiąt tysięcy... w nieszczęsnych kraju czasach utracili, żadnego przeto majątku nam nie zostawili,.. Majątek przeto jaki posiadam jest mój własny, własnej pracy i dorobku.« W roku 1808 wspólnie z Hieronimem Grudzińskim kupił Antoni Kotiużyński wieś Ositniaczkę od rosyjskiego ka-

¹⁾ Tak podaje F. M. Sobieszczański, pisząc w r. 1864 w tomie 15-tym Encyklopedyi Orgelbranda o księdzu Aleksym. Ojca jego, Wawrzyńca, nazywa podczaszym pomorskim, tymczasem z dokumentów rodzinnych wiadać, że był podstolim. Matce ks. Aleksiego daje imię Marty, natomiast brat jego Antoni w testamencie swym matkę wyraźnie Teklą Godlewską nazywa.

²⁾ »Summaryusz«.

Wasył Kotużyński
1613 r.

Konstanty

Andrzej
1737 r.

Jerzy
ksiądz
1737 r.

Leonard
prowincyał
karmelitów an-
nopolskich

Marcin

Wawrzyniec
ur. 1731 r.
podstoli pomorski
ż. Tekla Godlewska

Jakób
1830 r.

Aleksy
(Józef)
pijar

Antoni
1768—1837

1. Józefa Zwierzchowska
2. Teresa Jerliczówna

Ignacy

Kazimierz
ur. 1767 r.

córki
a) Wiktorya Bojarska.
b) Tekla Lewandowska.
c) Maryanna Gnatowska.

Henryk
bezpot.

Konrad
bezpot.

Zygmunt
autor Pamiętnika
1826—1894 r.

a) Konstancya
Kraśnińska
ż. Elżb. Trypolska
b) Teofila Ko-
roway-Me-
felicka.

Antoni
ur. 1888 r.

Floryan

Bolesław

merhera Dawidowa¹⁾; na mocy zaś działu dokonanego przez nabywców w r. 1814 na schedę Kotiużyńskiego przypadła Ositniaczka Niższa, po lewej stronie rzeki Suchego Taszłyku, licząca wówczas »dusz płci męskiej« 410. W r. 1815 kupuje od Floryana Zaleskiego wieś Pisarzówkę²⁾, liczącą dusz męskich sto; w roku zaś 1820 — od generała Mikołaja Wysockiego wieś Rosochowatkę³⁾ — dusz 40. Dobra owe w powiecie czehryńskim leżące, liczyły więc ogółem dusz męskich 550 (podług rewizyi z r. 1816).

Podkomorzy dwa razy zawierał związki małżeńskie; primo voto z Józefą Zwierzchowską, córką Ignacego szambelana dworu polskiego (intercyza ślubna zawarta w r. 1809), secundo voto z Teresą Jerliczówną herbu Lis odmienny, córką Marcina majora wojsk koronnych. Z pierwszej żony miał córkę Konstancję żonę Teodora Krasińskiego, z drugiej — zostawił czworo dzieci Henryka, ur. 1820 r., zmarłego 1849 r.; Teofilę, ur. 1822 r. żonę Świętosława Koroway-Matelickiego; Konrada, ur. 1824 r., zm. 1872 r. marszałka szlachty pow. czehryńskiego i Zygmunta.

Zygmunt-Wojciech-Antoni autor Pamiętnika, syn Antoniego, urodzony w Ositniacze 23 kwietnia 1826 r.⁴⁾ Zmarł w r. 1894. Z żony Elżbiety Trypolskiej h. Gozdawa (primo voto Edmundowej Krasińskiej) córki Karola marszałka pow. czehryńskiego i Ludwiki Prozorównej, zostawił syna Antoniego-Zygmunta-Jana, urodzonego 26 czerwca r. 1888⁵⁾, dziedzica Ositniaczki, wydawcę niniejszego Pamiętnika.

L. B. B.

* * *

¹⁾ Akta kontraktowe kijowskie. — Słownik geogr., t. VII, mylnie datę tego kupna kładzie na rok 1832.

²⁾ Oblata tranzakcyi w aktach pow. Czehryń.

³⁾ Akta kontrakt. kijow.

⁴⁾ Metryka chrztu w kościele paraf. w Złotopolu. — W r. 1835. kancelarya senatu wystawiła Zygmuntowi Kotiużyńskiemu świadectwo (z d. 8 stycznia 1835 r. Nr. 44) o pochodzeniu jego z rodziny zapisanej w poczet starej szlachty, do części VI-ej księgi genealogicznej.

⁵⁾ Przyłączony do legitymacyi przodków swoich w r. 1899 (Ukaz Heroldyi z d. 1 Sierpnia 1899 r. Nr. 2644).

Zygmunt Kotiużyński urodził się w r. 1826. Do szkół oddano go, zarówno jak i jego braci, w bardzo młodym wieku. Ukończył więc najpierw szkołę prowincjonalną w Złotopolu. uczęszczał następnie do gimnazjum w Winnicy, wreszcie w Kijowie, gdzie też wstąpił na uniwersytet. Od tych lat uniwersyteckich rozpoczął życie samodzielne. Z usposobienia bardzo żywy, przeplatał naukę częstemi rozrywkami, które mu po kilkudziesięciu latach wydały się zbyt nawet lekkomyślnymi, i gdy spisując Pamiętniki spoglądał na to bujne życie młodzieńcze po przez *spatium praeteriti temporis*, nazwał siebie i towarzyszy tych zabaw: »pracownikami na własną zgubę«. Na własną zgubę przecież nie zapracował. Rozrywki z nauką pogodzić umiał aż nadto dobrze: gdy egzamina zdawać przyszło, potrafił tak gorliwie zabrać się do pracy, że przerównał wielu najpilniejszych. Przypadek nie pozwolił mu otrzymać dyplomu w Kijowie. Niemniej uważał to za swój obowiązek i śnać myślał o tem nieustannie, gdyż następne dwa lata życia wiejskiego — pracy przy gospodarstwie w domu — pominął milczeniem prawie, przechodząc do dalszych studyów. Odbывał je w Charkowie, dokąd wyruszył jak mógł najspieszniej skoro go tylko brat, po powrocie z wojny, zastąpił w gospodarce. W Charkowie oddał się nauce z takim zapałem, iż nie tylko już egzamina zdał świetnie ale nawet propozycję katedry na tym uniwersytecie otrzymał. Ponętnej propozycji nie przyjął, bo chciał pracować na niwie ojczyściej, i pracy tej poświęcił się rzeczywiście. natychmiast po powrocie do kraju. Przedsiębiorczy z natury a biegły w chemii ze studyów, zwraca się ku cukrownictwu.

Z rozwijającym się wówczas na Ukrainie a rojącym światne nadzieje na przyszłość przemysłem cukrowniczym zapoznał się gruntownie i oddaje mu się z całą właściwą mu energią, z całym zamiłowaniem. Wkrótce obejmuje już zarząd nad dwiema cukrowniami i wysnuwa śmiały projekt wyzwolenia się z ciężkich warunków lokalnych, wytworzonych przez miejscowych rafinerów. Pierwszy otwiera dla przemysłu cukrowniczego swego kraju szersze widnokreśli, korzystając głównie ze stosunków, które ze światem handlowym rosyjskim nawiązał w przedsiębiorczych swych podróżach do Moskwy i Petersburga. Pierwsza to jego zasługa przed krajem. Podzi-

wiać należy tę energię i bystrość, z jaką działał: po paru latach szły już do Moskwy pod jego nazwiskiem cukry z siedmiu fabryk.

Wojna — kampania krymska — zapowiada tymczasem przełom w polityce wewnętrznej Rosyi. Wypadki idą szybko po sobie, i życie publiczne, uspięne za rządów Mikołaja I-go, budzi się i bujnie rozkwita za jego następcy. Idzie już ta złudna nowa era Aleksandrowska, obfitująca w nadzieje lepsze, pełna marzeń o bliższej poprawie przyszłości, zrazu przecież przynosząca i rzetelne, wielkie reformy. Zygmunt Kotiużyński w wir ten życia publicznego wciągnięty być musiał — już choćby dla swojej energii i młodzieńczej żądzy czynu. Dątał służył krajowi, jak to rozumiał, zabiegając około rozwoju przemysłu, teraz wystąpi na arenie publicznej, powołany do pracy obywatelskiej, politycznej. Zdobył już sobie uznanie. Obrano go — miał wtedy lat trzydzieści — jednym z dyrektorów Banku Państwowego w Kijowie, w którym miał reprezentować ziemian. Wyboru nie zatwierdził rząd ze względów formalnych. Zaraz następnie wchodzi jednak do Komitetu Włościańskiego i staje się wkrótce duszą tych obrad nad pożądanem i zapowiedzianem uwłaszczeniem włościan.

A po tej pracy żmudnej, wyczerpującej, nie znajduje innego wypoczynku, jak w pracy odmiennej: u siebie na wsi, dla siebie, o własnych siłach. W świeżo nabytych Jaropowcach osobiście dogląda budowy cukrowni — przedsiębiorstwa na wielką skalę. Od świtu do zmierzchu pracuje nieustannie, a gdy dziełem swem, szybkością jego i doskonałością, budzi u sąsiadów podziw, powiada ze zwykłą mu prostotą, że sekret całej tej wydajności pracy polega przecież tylko na pilnem doglądaniu. Przedsiębiorstwo, zbyt może szerokie a przez to ryzykowne, zawiodło. Do tego przyszła choroba — trzeba się było leczyć, a tu go znowu do służby publicznej wzywano. Powstał był właśnie projekt towarzystwa rolniczego na wzór istniejącego w Warszawie; stamtąd bowiem rozszerzał się już Ruch na kresy, a projekt fabrykowany przez literatów: przez Zenona Fisza, Michała Grabowskiego i Kraszewskiego wreszcie, był tylko Ruchu przedpowstaniowego ujawnieniem, pierwszym na Ukrainie. Do Zygmunta Kotiużyńskiego zwrócili się przedewszystkiem projekt inicytorowie, i on to wspólnie z kilkoma

ziemianami dobrej woli opracowywać i realizować począł pierwotny towarzystwa rolniczego szkic, a swoim głównie w pracach tych udziałem doprowadził projekt do ostatecznej redakcyi.

Dopiero teraz chciał myśleć o swoim zdrowiu i wyruszył w podróż za granicę. W Europie, podróżując przecież nie tylko kuracyę miał na względzie. Więcej daleko obchodziło go rolnictwo zagraniczne i zdaje się, że udając się w podróż, ten kuracusz miał na celu przede wszystkim zapoznanie się z postępami agronomii. Jakże wiele świadczy o tym zapale rolnika: nieustanne interesowanie się postępami agronomii teoretycznej i praktycznej, interviewy z uczonymi rolnikami, zwiedzanie fabryk i gospodarstw wzorowych. W Karlsruhe jest obecny na słynnym kongresie chemicznym we wrześniu 1860 r.; w Warszawie — na posiedzeniu Towarzystwa Rolniczego, w otoczeniu tych wielkich pracowników na zagonie ojczystym, którzy jednak przewidują już wówczas blizkie powołanie do innych czynów. Udzieliło mu się wtedy przecucie wiszącej nad krajem katastrofy, jakoż wkrótce Ruch zmienił się w ruchawkę a następnie w zbrojne powstanie.

Prze wroty te były dla Zygmunta Kotiużyńskiego pod wielu względami dotkliwie. Naprzód w interesach, które po powrocie do kraju zastał w złym stanie, doznał klęski wskutek kryzysu, spowodowanego przez wypadki polityczne. Potem spadły nań ciosy w prześladowaniu jego Brata i Szwagra ze strony rządu. Lecz te straty majątkowe i nieszczęścia rodzinne zeszyły niebawem na plan dalszy wobec niedoli ogólnej, w której uczestniczy sercem całym i której stara się zapobiegać ze wszystkich sił. Po powstaniu zmuszony do zajęcia się ratowaniem majątku najbliższych krewnych i swego, osiada w Kijowie i rozpoczyna działalność adwokacką. Dziwna to była adwokatura. Nie dawała mu zysków, bo jak sam powiada, przyjmował obronę tych tylko spraw, w których krzywda obywateli była widoczną: prawdziwa obrona obywatelska! Posiadając i podtrzymując rozległe stosunki nietylko w sferach rządzących w kraju, lecz i w Petersburgu, przychodzi ziomkom swym z pomocą i w sprawach politycznych; a ta działalność jego, w skutki rzetelne obfita, zaprawdę wielką jest jego zasługą. Karty Pamiętnika jej poświęcone są pod względem historycznym najbardziej zajmujące i może najważniejsze. Na te czasy

przypada ostatni występ Zygmunta Kotiuzińskiego na szerszej widowni politycznej. Gdy przez chwilę błysnął promień nadziei na lepsze z rządem stosunki, udaje się w delegacji obywatelskiej swego kraju do cesarza, po zamachu Karakozowa. Atoli lepsze czasy nie nadeszły. Po nadmiernych wysiłkach, jako pracy wyczerpującej a owocnej koniec i uwieńczenie zdawały się świtać jedynie nadzieje na podźwignięcie własnego majątku z ruiny. I one jednak najfatalniej zostały przerwane — chorobą nabytą w niewczasach i niewygodach. Trzeba było jechać za granicę. W chwili, kiedy już miał cel osiągnąć, musiał pogrzebać wszelką nadzieję i majątek na pastwę losu wydać: było to więc tyle, co jechać na wygnanie i nękać się przymusową bezczynnością. W podróżach próżno stara się uczynić zadość potrzebie ruchu: w każdej chwili spokojniejszej smutek i gorycz powracają ze zdwojoną mocą. Niezmiernie charakterystycznym jest, że w tych chwilach słabości jał się kiedyś pióra i kilka rymów złożył —

Gościniec mego życia cierniami usłany,
Po nich kroki wdrożone śmiało stapać zwykły...

pisał, i powiedział o sobie wszystko: po życia kolejach bardzo trudnych, przez czasy w zesłem stuleciu najsmutniejsze, wśród ciosów, które nań spadały obficie, pracując z wysiłkiem nieraz nadludzkim dla kraju naprzód, dla innych potem, i tylko na ostatku dla siebie, szedł śmiało, wytrwale i przeszedł przez życie szlachetnie i pięknie.

Oddany na każdym polu działalności rozumnej, planowej, pracownik wytrwały, zaiste zasłużył na to, by zastosować do niego zdanie, że prawdziwy charakter *prend sa source à la raison*, to zdanie, które kiedyś posłyszane żywo przechowywał w pamięci i w trzydzieści lat później zapisał.

Po za towarzyskością i wytwornością, z której był znany, po za tą ogładą zewnętrzną, przebija z Pamiętników Zygmunta Kotiuzińskiego rys jego głębszy i piękniejszy: szczególna na piękno wrażliwość, w dziełach sztuki upodobanie, a przede wszystkim zamiłowanie i subtelne rozumienie muzyki. Wrażenia te, które spisując w Pamiętnikach miał tak jeszcze żywe znać, że były silne i prawdziwe, znać, że miał duszę nietylko

szlachetną, lecz i czułą na wszystko co piękne. Jako wyraz tej wysokiej kultury duchowej, »Pamiętniki« jego będą chlubnym przyczynkiem do historii kresów polskich w połowie zeszłego stulecia.

* * *

Pamiętniki Zygmunta Kotiużyńskiego mieszczą się w dwóch zeszytach. Pierwszy jak o tem data na początku świadczy, zaczęty był w r. 1880 i spisany w ciągu lat 1880—1881, gdyż ku końcowi zawiera wzmiankę o Aleksandrze II jako o żyjącym (str. 46), na przedostatniej zaś karcie (str. 65) mieści ogólny pogląd na rządy tego cesarza, zmarłego 1 marca 1881 r. st. st. Drugi zeszyt, od początku rozdziału VIII niniejszej książki, datuje się prawdopodobnie z r. 1893, bo autor kładzie ten rok jako bieżący przy omawianiu polityki Katkowa (str. 110); w każdym razie ta część Pamiętników powstała około tego czasu, po dziesięcioletniej z górą przerwie od ukończenia pierwszej, a musiała być przerwana na jakiś czas przed śmiercią Autora, 24 stycznia 1894 r. Oba zeszyty noszą pewną cechę niewykończenia: zdawałoby się, że Autor notował tylko naprędce swe wspomnienia, odkładając na później ich wykończenie pod względem literackim. Może lepiej się stało, że pozostawił je nam bardziej żywe, bezpośrednie, barwne. Ucierpiała na tem dokładność chronologiczna wydarzeń opisywanych: daty spotykają się rzadko, a większością nawet mylne. Po drugie ucierpiał styl, niezbyt wyrobiony, trącający prowincjonalizmami, niekiedy zawiły. Miejmy nadzieję, że czytelnik łatwo wybaczy człowiekowi czynu te literackie usterki. Nie wpływają one na ogólną treść, barwnie odzwierciedlającą współczesne czasy i ludzi. Język ten charakterystyczny, powiedzilibyśmy nawet, nadaje opowiadaniu właściwy koloryt i odpowiada treści. To też staraliśmy się uszanować ten charakter wspomnień Autora i ograniczyliśmy się jedynie do najniezbędniejszych gramatycznych modyfikacji tekstu. Dla łatwiejszej orientacji rozbiliśmy tekst na dwanaście rozdziałów, dodając przed każdym streszczenie zawartej w nim materji.

W końcu przypada nam w miłym obowiązku wyznaczenie wdzięczności, jaką winniśmy JJWWPanom: Prof. Dr. Józefowi



Tretiakowi za udzielenie cennych wskazówek i informacji w ciągu niniejszego wydawnictwa, Dr. Leonowi Biberstein-Białkowskiemu za doskonały szkic heraldyczny — na wstępie — o rodzinie Kotiuzyńskich i Dr. Witoldowi Kozłowskiemu, któremu należy się od nas uznanie za przeprowadzenie wydawnictwa.

Antoni Kotiuzyński.

I.

Dzieciństwo i pierwsza młodość.

W Ositniacze: Rodzina. — Pierwsze wspomnienia, — Początki nauk. —
W Złotopolu: Szkoły prowincjonalne. — Śmierć ojca. — *W Winnicy:* Gimnazjum, uczniowie, towarzystwo. — Poza szkołą. — *W Kijowie:* Ostatnie klasy. — Pensjonaty rządowe, dyscyplina i jej skutki. — Różne drogi.

Urodziłem się roku 1827 dnia 23 kwietnia, z ojca Antoniego Kotiużyńskiego i matki Teresy z Jerliczów. Nas braci było trzech: najstarszy Henryk zmarł (1849), mając lat 29, średni brat, Konrad, zmarł lat kilka temu (1872 r., mając lat 48); ja, trzeci, objąłem majątek rodzinny dla zaprowadzenia w nim ładu gospodarskiego. Siostrę mieliśmy jedną, która wyszedłszy za mąż za Korowaya Metelickiego, miała dwie córki: starszą Teresę za Zaleskim i młodszą Leontynę. A ponieważ ojciec nasz miał trzy żony i córka z drugiego małżeństwa Konstancya, za Krasińskim, miała dwóch synów, dziś żonatych, i córkę za Florkowskim, przeto rodzina nasza, dość liczna i oddawna osiadła na Ukrainie, miała pewien mir i zachowanie u obywatelstwa.

W dzieciństwie mojem, o ile sobie przypominam, ojciec nasz był sparaliżowany, z trudnością o lasce przechodził z pokoju do pokoju, a mnie, jako najmłodszemu synowi, kazano sypiać w drugim pokoju, obok ojca. Ze łzami szedłem do łóżka, bo inni bracia mogli się jeszcze bawić. Ojcu nakazano prowadzić życie regularne i wcześniej do łóżka odprawiano, a ponieważ szmer z drugiego pokoju go przebudzał, przeto i ja wcześniej na spoczynek iść musiałem.

Oprócz najstarszego brata naszego, Henryka, którego wcześniej do szkół odprawiono, nas dwoje braci i siostra, prawie

razem nauki w domu pobierać zaczęliśmy. Już w początkach jedną guwernantkę Kwiatkowską, później Diustową, dla nas trzymano, a nareszcie, kiedy powzięto myśl, żeby mnie i Konrada do szkół oddać, sprowadzono nauczyciela Łękowskiego, który nas zaczął uczyć po rosyjsku i w tym języku początkowe nauki wykładać nam zaczął.

Po dwóch latach takiej nauki odwieziono nas do najbliższych szkół, do Złotopola, gdzie ulokowano u nauczyciela rysunków Kłopotowskiego, skąd do szkół na lekcye chodzić nam kazano. Ja zaledwo miałem lat dziewięć, kiedyś do pierwszej klasy chodził i sam nie wiedziałem, iż tak dobrze się uczył, że przy końcu roku jedną z pierwszych nagród odebrałem. Dopatrzone się we mnie zdolności do arytmetyki i nauczyciel matematyki stał się, rzecz można, moim protektorem. Mojemu bratu starszemu nauki szły trudniej. Ponieważ miasteczko Złotopol było od majątku naszego odległe o godzinę drogi, przeto brano nas czasami na niedzielę do domu, a gdy się zjawiały konie, które u wyjścia z klas w sobotę na nas czekały, napełniało to serca nasze radością niewypowiedzianą.

W drugim roku (1837) ojciec nasz więcej cierpiał na reumatyzm, częściej posyłano do miasteczka po doktora, a nas o chorobie ojca zawiadamiano, aż nareszcie jednego poranku wzięto nas ze szkół, oznajmiwszy, iż straciliśmy ojca. Wielka to była dla nas boleść! Przyjechawszy na wieś, zastaliśmy zwłoki wystawione w jednym z największych pokojów domu; odwiedzali nas krewni i znajomi, a w tydzień później odprowadzono zwłoki ś. p. ojca naszego do kościoła parafialnego w Złotopolu, w którym zostawaliśmy na nauce. Matka nasza, przybrawszy sobie jednego z krewnych za opiekuna, rządziła majątkiem, a mnie i brata Konrada, po ukończeniu w Złotopolu trzech klas (więcej bowiem klas w szkołach prowincjonalnych nie było), odprawiono na nauki do Winnicy, gdzieśmy się znajdowali aczkolwiek dalej od domu rodzicielskiego, byliśmy wszakże niedaleko od p. Morgulca, który ożeniony z ciotką naszą (rodzoną siostrą matki), był naszym opiekunem.

Szkoły winnickie ówczesne — a było to około r. 1840 — miały ogromną wziętość na Podolu, Wołyniu i Ukrainie. Było

tam około 800 uczniów, a ponieważ klas było 7 i zdarzało się, że uczniowie klas wyższych po lat dwadzieścia kilka miewali, przeto nadawało to już wogóle uczniom stanowisko niby korporacyjne, do którego był już przywiązany niby jakiś punkt honoru, wymagający przyzwoitego zachowania się. Uczniowie zachowywali się też między sobą oględniej, bójek nie było nawet w klasach niższych, w strojach gimnazystów była już nawet pewna elegancja, niby u ludzi dojrzałych, krój bowiem munduru zbliżał się do kroju fraka i w tem stosował się do mody. Od gimnazystów wymagano nawet pewnych form w wysłowieniu się, brano zatem lekcyje prywatne języka polskiego. Wszystko to dowodziło pewnej, może nawet zbytycznej uwagi, zwróconej na formy. Wyrabiał się pewien takt u młodzieży, ale nauki szły nieszczególnie. Uczniowie, którzy zachowywali się według przepisów form przyjętych, chociażby najgorzej się uczyli i źle zdawali egzamina, mieli powagę u nauczycieli i byli najpopularniejszymi między kolegami. Stanowisko ucznia gimnazjum, tak było co do zewnętrznej strony strzeżone i przez wszystkich kolegów bronione, że kiedy jakiś żydek przechodzącego ucznia śmiał kamieniem uderzyć, a ten się kolegom poskarżył, cała klasa wyszła na miasto, żydka obito, co było powodem, iż najstarszy wiekiem uczeń tej klasy — wiek tu grał rolę przeważną — który tą bójką dowodził, był ze szkół wypędzony.

Tym sposobem i nasze nauki szły nieszczególnie. Przytem w Winnicy stał pułk huzarów, w którym było kilku oficerów Polaków. Ci polubili mnie, bom do koni już wtedy miał pociąg szczególny i w jeździe konnej już niejednego huzara bym zawstydził. Wymykałem się więc ze szkół i w godzinach lekcyi przesiadywałem u moich huzarów. Jeśli zaś była jaka rewia, to wymknąwszy się za miasto, skrycie, rowem, by nas bedele (stróże porządku szkolnego) nie dostrzegli, z innymi kolegami na pole, przeznaczone na rewie wojska, przedostawaliśmy się. Wielka zawsze była nasza trwoga o to, by trafić napowrót do szkół w sam czas, kiedy lekcyje już się kończą, po to, aby ze szkół w ordynku wracać na kwaterę, tu bowiem dostrzeżonoby naszą nieobecność i surowo ukarano. Mieszkaliśmy z początku u Bałaszewskiego, a później u Presza — obydwu mieszka-

nia były najkosztowniejsze i z tego powodu mieliśmy kolegów z rodzin możniejszych na Wołyniu i Podolu. Z Ukrainy tu kolegów było mało: szkoły w Kijowie bardziej przez tych ostatnich były nawiedzane.

Po dwuletnim pobycie w szkołach winnickich, przewieziono nas do szkół w Kijowie, gdzie wstąpiliśmy do klasy V-tej, a osadzono nas w 2-gim rządowym pensyonacie. Tu już pilność nad nami uczniami była rządowa, strój cały, oprócz bielizny był rządowy za opłatą, ma się rozumieć, roczną, na każdego ucznia przeznaczoną. Lekcyi słuchaliśmy w I-szem gimnazjum, a chociaż obaj my nie nadzwyczaj odznaczaliśmy się w naukach, wszakże uczyliśmy się niezgorzej i na rok następnymy do klasy VI-tej i ostatniej gimnazyalnej przeprowadzeni zostaliśmy.

Różnica w zachowaniu się uczniów gimnazyów kijowskiego a winnickiego była rażąca. W pensyonatach rządowych uczeń, nawet klas wyższych, był uważany za szkolarka, z którym nie liczono się w wyrazach. Był niby dozorca Francuz, drugi Niemiec; ale żaden z uczniów z dozorcą ani po francusku, ani po niemiecku nie rozmawiał. Kary na uczniów były poniżające — jeden z moich kolegów V-tej klasy dostał różgi — areszta częste były nawet w modzie. Była to dyscyplina poddańcza, lub żołnierska, to też i uczniowie między sobą często się bili; nawet były wypadki, że się z nożem na siebie rzucali. Takie bydlęce obejście się starszych nie mogło nie wydobywać instynktów gorszących i w podwładnych. Dziś nawet, spojrzawszy na kraj, nie słyszę, ażeby koledzy ze szkół winnickich nie pojmowali swego stanowiska obywatelskiego: wielu z nich sprawowało urzęda obywatelskie z chlubą; z kijowskich zaś szkół, zapewne, są wyjątki, ale nie liczne.

W rok później skończyliśmy VI-tą klasę, ja trochę szczęśliwiej, gdyż pozwolono mi bez egzaminu wstąpić do Uniwersytetu. Brat mój Konrad nie miał powodzenia w egzaminach, wyjechał więc ze szkół z zamiarem przygotowywania się prywatnego dla wstąpienia do liceum w Odesie, a później wstąpił do wojska, do huzarów, gdzie wielce był szanowany i lubiony przez swych kolegów, jako charakteru nadzwyczajnie łagodnego

i dla bliźnich pobłażliwego. Co do mnie, to dziwny jakiś prąd światowy pochwycił mnie w pierwszych chwilach mojego studenckiego zawodu i miotał mną przez czas długi, a niezależnie od wielu faz późniejszego mojego, często bardzo pracowitego życia, stawał mi na przeszkodzie do ustalenia jakiegokolwiek bądź trwałego zajęcia.

II.

Lata uniwersyteckie.

W Kijowie: Na wolności. — Uniwersytet: wojskowe rządy Bibikowa. — Bawiąca się młodzież. — Nauki i pierwsze egzamina. — Stosunki towarzyskie, zabawy podczas kontraktów. — Znajomość z Lisztem. — Towarzysze zabaw i pojedynki o honor studencki. — Życie na szeroką skalę, obiad proszony, karcjarstwo. — Romans. — Jeszcze rok po skończeniu kursu, dalsze powodzenia i miłości. — *Odesa:* Ks. Woroncowa, *porto franco*, europejska cywilizacja. — Modne miasto. — Pobyt Liszta: entuzjazm dla jego talentu, owacje, towarzyskość wielkiego muzyka. — *Wyjazd z Kijowa:* Przygotowywanie się do egzaminów ostatecznych. — Cholera w mieście i ofiary jej wśród studentów. — Przerwane egzamina i powrót do domu.

Nie miałem ja jeszcze lat 16-tu spełna, kiedym otrzymał zezwolenie wstąpienia na uniwersytet kijowski. Bowiem pomimo, iż student uniwersytetu winien dopiero po latach szesnastu skończonych rozpoczynać swe wyższe nauki, a mnie do lat szesnastu brakowało jeszcze kilku miesięcy, kurator, przez jakieś już osobiste dla mnie usposobienie, na włożenie munduru studenckiego mnie zezwolił. Brat mój najstarszy, który był w kancelaryi kijowskiej, jednocześnie prawie na wieś wyjechał dla pomagania matce w gospodarstwie; a ponieważ miał parę bardzo ładnych zaprzęgowych koni i powóz, pozostawił mi je, co nadzwyczajnie mnie wielką przyjemność sprawiło. Ulokowano mnie u mieszkającego ówczesnie w Kijowie sąsiada naszego wiejskiego, dano mi lokaja do usługi, i w 16-tym roku życia byłem, że tak powiem, pozostawiony własnym siłom i zechceniom.

Uniwersytet kijowski, jedyny dla południowo-zachodnich prowincji cesarstwa, zasługuje najpewniej na przyjrzenie się poważniejsze, jak się wywiązywał z zadania, które na nim cią-

żyło; łączył on bowiem młodzież trzech zachodnich prowincyi, Litwę i Małorus, a kierunek, jaki w nim nadawano młodzieży szczególnie w późniejszym czasie, silne wywarł wpływy na losy naszego kraju. Nie tyle mi idzie o krytykę — jest to zadanie historyi i czas na to zawsze będzie — chciałbym tylko zebrać wydatniejsze fakta, któreby związek z historią mieć mogły i tem ułatwić przyjrzenie się późniejszym pisarzom. Od roku 1840 do 1848 i do krymskiej wojny była to epoka militarizmu, a stąd i uniwersytet ulegał temu prądowi. Oddano go pod zarząd generała-gubernatora Bibikowa, ówczasowego naczelnika naszych trzech gubernii. Stary, wywietrzały rozpusztnik i cynik — aczkolwiek przypisywano mu pewne zdolności administracyjne — zajął się kierownictwem młodzieży uniwersyteckiej, powiadano, najwięcej z powodu, iż miał w tym zakładzie siostrzeńca, którego dość lubił. Jego dyscyplinarne mowy, które miewał do studentów, świadczą, jak się w pojęciu jego młodzież miała zapatrywać na swój obrany naukowy zawód. Przebijała się ówczasnie w rządzie bojaźń o liberalizm, żeby się ten nie zaszczepił u młodzieży pod wpływem wypadków ówczesnych w zachodniej Europie, a szczególnie we Francyi. Generał-gubernator kazał zwołać pewnego razu studentów do sali głównej i w te słowa do nich przemówił: *Nie rozumiecie panowie, co to jest student. Jest to narzędzie, które ma posługuwać rządowi. Jeśli mu każę położyć się na bok prawy, powinien się położyć i leżeć tak długo, aż mu pozwolę położyć się na bok lewy.* Rodziców słuchać, t. j. przywozić do zakładu inne posłuszeństwo, wzbroniono i t. d., i t. d. Oto mowa naczelnika kraju, niby dbałego o kształcenie się młodzieży? Często się odzywał, iż największa nauka u niego — to posłuszeństwo władzy i dodawał z cynizmem, iż największy osioł w nauce, u niego będzie najpierwszym i najlepszym dozorcą szkół wyższych. Na dowód tego wybrał kilku najgorzej uczących się studentów, a szczególnie dwóch osadził na miejscach dość wysokich w zarządzie szkół wyższych. Nic dziwnego. że zcentralizowana w rękę Bibikowa władza nieszczególny wpływ wywrzeć mogła na zakłady naukowe. Obywatelom dość poważanym w kraju, golił on brody i wąsy, a profesorom, pozwalającym sobie, jak sam mawiał, *rozumować w nauce* (!) — groził wygnaniem. Marniał więc student, zapięty sztywnie w mundur oficjalny, nie wy-

dawszy z pomiędzy siebie za tych czasów żadnego poważnego uczonego; a nawet bardzo niewielu, o ile sobie przypominam, przywiozło do domu po ukończeniu egzaminów, nie już zapas naukowy, ale choćby zaprawę do dalszego kształcenia się w jakimkoiwiekbądź zawodzie, zapewne z wyjątkiem fakultetu medycznego, na który już student wstępował z jawnym i wybitnym celem zabezpieczenia sobie bytu na przyszłość.

Jenerał-gubernator lubił przytem, żeby młodzież bywała u niego na balach; przytem mając słabostki, dawał wieczorki czwartkowe tańczące w prywatnych u siebie pokojach, na które zapraszano tylko kilkanaście dam i tyleż młodzieży do tańców, oraz dwie damy wiekowe, matki zaproszonych tancerek, które jakby dla formy siedziały w sali, przeznaczonej na tańce. Już ponieważ ja celowałem w tańcach, a szczególnie w mazurze, byłem więc jednym z tych, którzy, że tak powiem, zmuszeni byli bywać na tańczących wieczorkach u Bibikowa. Mając lat 16, zamieszkały prawie o pół godziny drogi od uniwersytetu, posiadając przytem własne konie, co wśród studentów było rzeczą nadzwyczaj rzadką, bo na 1200 było nas takich 4-ech zaledwo, — zaliczony zostałem odrazu do t. zw. »światowych paniczów«. A że najstarszy mój brat Henryk, który mieszkając w Kijowie, gdy służył w kancelaryi gubernatora, miał znajomości po domach znanych w mieście, więc i ja dostawałem zaproszenia na obiady i wieczory do tychże domów, między nimi i do takich, których synowie będąc moimi kolegami, też do kategorii »światowych paniczów« zaliczeni byli.

Obrawszy sobie fakultet nauk przyrodzonych, który, jak mi się wówczas zdało, w życiu praktycznem gospodarskiem przydać się może, a który przytem, jak mówiono, jest i najłatwiejszy, zacząłem z początku jeździć na lekcję, przedmioty bowiem wykładane na tym fakultecie zrazu mnie zainteresowały. Aczkolwiek niektóre przedmioty były bardzo nędźnie wykładane, jak np. botanika: przez Niemca, który nie znając rosyjskiego języka wykładowego, nieraz do śmiechu nas doprowadzał, wszakże zacząłem się tymi przedmiotami, nie tyle być może zajmować, co zaciekawiać i zbiory minerałów przysposabiać. Już z powodu, że zjawianie się na lekcye zostawione było do woli studenta, egzamina bowiem składano nie co rok, ale po dwuletnim kursie, już iż chętką uczęszczania na wie-

czorki tańczące, spacery i inne rozrywki odrywała mnie od nauki, na drugą zimę obejrzałem się w gronie 7-miu kolegów, codziennie prawie bawiących się w świecie miejskim, a o uniwersytecie wzmianki nie było. Tu już każdy z nas siedmiu, można powiedzieć, koniecznie musiał być zakochany i w naszym wieku ogromne miał powodzenie. Nie powiem, żeby kontrola nad samym sobą nie zniewalała mnie do zastanowienia się nad przyszłością; owszem, zaliczany byłem przez matki do taktowniejszych, tak iż chętnie widziały synów swoich w mojem towarzystwie. Teraz zaś, spędziwszy zimę całą na rozrywkach i zabawach, przeniósłem się do skromnego bardzo mieszkania obok uniwersytetu, żeby egzamina dwuletnie zdać jak najlepiej. Tu już starałem się unikać kolegów moich światowych, a zbliżyłem się do pracujących. Przez rok cały przygotowywałem się do egzaminu. Zimą, chociaż wyjeżdżałem do miasta na wieczory, wszakże rzadziej; z następną wiosną prawie mnie na ulicach miasta nie widziano. Kiedy nadszedł czas egzaminów, stawałem z moją nabytą nauką, można powiedzieć domową, na równi z innymi pracującymi kolegami; tak dalece, iż jeden z asystentów przy egzaminie botaniki, a mianowicie profesor mineralogii, głośno się odezwał: *to rzecz dziwna, że ten student, bawiący się w świecie, a nie uczęszczający na lekcje w ciągu lat 2-eh, tak dobrze zdaje egzamina*. Ukończywszy egzamina wyjechałem na wieś, na wakacje, zadowolony z mego postępu i powodzenia studenckiego.

Czy to z powodu, iż tym krokiem upamiętania się, stałem się więcej dla mych kolegów światowych zagadkowym; czy to, że mając ówczesnie lat 18, zostałem zaliczony do młodzieży starszej, jednym słowem, przyjechawszy po wakacjach, zamieszkałem już nie ze studentami, lecz z dwoma paniczami świata eleganckiego. Jeden z nich był wysokim urzędnikiem i szczególnie był lubiony przez Bibikowa, Małorus, ale z wykształceniem europejskiem, co ówczesnie między Rosyanami było rzeczą rzadką; drugi — Polak, hrabia, aczkolwiek bez funduszu — majątek bowiem ojca był skonfiskowsny — ale sprytny, złośliwy, trochę dumny, ale lubiany w kraju i z obywatelstwem krajowem mający rozległe stosunki. Tu już, w ich kółku — wyznaje, że zawcześniej — potrzeba mi było grać rolę człowieka skończonego. Ta konieczność odegrywania roli dojrzałej bez

właściwego wykształcenia, musiała się odbywać kosztem strony moralnej. W owych czasach, szczególnie podczas kontraktów kijowskich, gra w karty, a najbardziej w »dyabełka«, była w niezwyklej modzie. Ludzie, nawet wiekowi, z pozycją niezaprzeczenie poważną w kraju, ze stanowiskiem materyalnie silnem, którzy w ciągu roku kart w rękę nie trzymali, siadali do stolika, zwykle w pokoju z kilkoma stołami do kart. Grał w »dyabełka« marszałek gubernialny i marszałkowie powiatowi, grało obywatelstwo po mieszkaniach prywatnych. Otwierała się t. zw. »jama« u pewnych mniej poważanych, ale powszechnie znanych ludzi, gdzie dostęp do stolika, obok nawet ludzi i szanowanych, był pozwolony i osobom, być może podejrzanej doskonałości. Otwierał się dom gry, rzec można, i dla niby wyższego kółka, reprezentowanego przez hrabiego i jego przyjaciela, możnego obywatela, obydwóch Podolaków. Siadali tu do stolika ludzie z pozycją materyalną tak wysoką, że dla nich krocie nie stanowiłyby w przegranej różnicy. Że ten zwyczaj kontraktowy trwał ówczesnie, i że miał takie wzięcie, nie trzeba się temu dziwić; mówiono mi bowiem, że na lat kilkanaście przedtem były nawet stoliki w sali kontraktowej, rodzaju giełdy, gdzie podobnie, jak dziś w Monaco, otwierała się gra publiczna. Przyjeżdżał przytem na kontrakty cukiernik Dobrzyjałowski, który otwierał cukiernię w domu obszernym, z salonami o rozmiarach odpowiadających swemu przeznaczeniu. Było w modzie przesiadywać tam wieczorami w kółku młodzieży, przy szampanie; a ponieważ były tam stoliki dla złotej młodzieży przyjezdnej, uważaliśmy za konieczne mieć również stolik studencki, przy którym, ma się rozumieć, rzeczą honoru studenckiego było wypróżnić więcej butelek, niż przy stoliku obywatelskim.

Tych samych kontraktów przyjechał do Kijowa Liszt na dawanie koncertów; a ponieważ znał już dawniej mojego towarzysza Małorusa, zatrzymał się w naszym mieszkaniu. Oprócz talentu, jaki posiadał, był on niezaprzeczenie jednym z najświetniejszych, gdy się do kogo na obiad lub na wieczór (*rout*) zdecydował pojechać. Dom nasz od rana do wieczora był nawiedzany przez najwięcej znanych i poważanych obywateli w kraju. Aczkolwiek, jakem już wtedy uważał, nie bardzo chętnie mnie, jeszcze studenta, obywatelstwo do swego grona

przyjąłoby życzyło, wszakże ja uważałem się niby w konieczności w roli tej wytrwać, zacząłem grać w »dyabełka«; przez parę wieczorów do Dobrzyjałowskiego z kolegami zjeżdżając się, więcej daleko butelek próżnych pozostawialiśmy, niżli na innych stolikach obywatelskich. Na koncertach Liszta siadałem w pierwszych miejscach, aby dobrze zaznaczyć, iż jestem w przyjaźni z tak znakomitym człowiekiem; trafiono nawet do mnie z prośbą, bym go w niektórych domach prezentował; jednym słowem wkładało się trochę do mnie próżności, co w wieku tak młodym łatwo się bardzo przyjmuje, a co gorsza, wskutek czego wyrabia się często rodzaj ambicyi światowej, co w parze z nieskończonemi jeszcze naukami źle bardzo wygląda.

Za moim przykładem szło kilku kolegów, i tych nas kilku w grupie, nierozdzielnych, rzec można, pracowników nad własną zgubą, przyjezdny ówczesnie malarz Gebel odrysował. Na balach zaczęliśmy odgrywać rolę skończonej młodzieży, a kiedy jeden z młodych ludzi cywilnych, zaczął z nas drwić, co mi moi koledzy zaraz donieśli, wyczekując, jak im zachować się należy, postanowiłem stanąć w obronie naszego zastępu, cokolwiekby mnie to kosztować miało. Było to u komendanta na balu, kiedy mnie koledzy ostrzegli, iż w tej chwili właśnie, przed damami, ten pan drwi z nas, noszących jeszcze kołnierze studenckie. Podszedłem do niego i w wyrazach dość oględnych, jak to przystało na balu w domu obcym, ostrzegłem go, iż podobnem zachowaniem się narazi się całej korporacyi, a nas jest do tysiąca. Popatrzał się na mnie z góry i powiedział dość głośno: *mais vous êtes des enfants tous*. Więcej tu z mojej strony nic robić nie wypadało, ale kolegom moim czterem, którzy byli na balu, powiedziałem, by się nie rozjeżdżali i skoro ten młody człowiek na sanie siądzie, by jeden ze mną, tuż na saniach, inni obok, jechali i byli świadkami dalszej rozmowy. Gospodarz domu, komendant fortecy, bardzo poważany w mieście, a który bardzo studentów lubił — dodać należy, iż ów młody człowiek w starszej, mężatce, ja zaś w młodszej, pannie córkach tegoż komendanta podkochiwaliśmy się — został ostrzeżony, a nam raczej dopomóżono do załatwienia tej sprawy drogą honorową tem, że wsadzono do sani tego młodego człowieka — wojskowego, majora, który był świadkiem naszego ataku i później mu sekundował. Skoro kilku nas w saniach

odjechało do domu — ja z moim kolegą z jednej strony, a innych dwóch z drugiej strony, zbliżyliśmy się do sani mego antagonisty i ja odezwałem się, że ostrzegam go, iżby podobnie ubliżających o nas wyrazów nie używał, na co ten w głos odpowiedział: *dzieci jesteście!* — a ja na to: *przyjm więc to nasze zbliżenie się do ciebie za największą obrazę* — i odjechalśmy dalej; koledzy moi również to mu w głos powtórzyli. Powróciwszy do siebie, przez dni kilka czekaliśmy wyzwania, ale to jakoś nie prędko się urządziło. Chciał ten młody człowiek do wodzić, że z dziećmi się nie strzela; ale ponieważ my bywaliliśmy w towarzystwach, poczęto na niego patrzeć z ukosa; w pewnych domach jego nawet nie przyjmowano; zjechała się rodzina; stało się to już rzeczą głośną; opinia miasta przemawiała za nami. Dopiero po dwóch tygodniach prawie przysłał sekundanta, który mnie wyzwiał, tegoż samego majora, co był świadkiem naszej rozmowy, a ja mając w mieszkaniu młodego Polaka, o którym wyżej wspominałem, posłałem go dla ułożenia warunków pojedynku i nazajutrz strzelaliśmy się w lasku za miastem. Schodziliśmy się do baryery, ale obydwu nie trafiliśmy do siebie ku wielkiej radości sekundantów, gdyż zawziętości nie wiele mieliśmy do siebie. Powracaliśmy do miasta w jednych saniach, co widocznie na znajomych naszych i kolegach, których po drodze spotykaliśmy, przyjemne wrażenie sprawiało. Była to niby jeszcze jedna afirmatywa, dana na prawo skończonego człowieka.

Po zapustach naczelnik kraju wyjechał, jak zwykle, do Petersburga, a w liczbie urzędników, którzy mu towarzyszyli, znalazł się i Małorus z naszego mieszkania; a ponieważ apartament jego był elegancki i obszerny, pozwoił mi go zająć, pozostawił lokajów i kucharza na moje rozkazy. Zaraz w tem mieszkaniu powstały imitacje kawiarni Dobrzyjałowskiego; znalazły się stoliki do kart, naksztaft »jamy« lub wyższego domu gry; artyści, którzy pozostawali z kontraktów, grywali wieczorami na skrzypcach, jak Neswadba, znany ówczesnie skrzypek; jednym słowem, wspomnienia ostatnich, a dla mnie pierwszych, burzliwych kontraktów, znalazły naśladowców szczerych we mnie i w kilku moich kolegach, którzy serdecznie dopomagali tak nieodpowiednim naszemu wiekowi rozrywkom. Ja odegrałem rolę gospodarza tych zabaw; koledzy moi

sprowadzali gości, których zgodnie z nimi wybieraliśmy z grona wszakże przyzwoitych ludzi. Młody hrabia, z którym mieszkałem, zapraszał przyjezdnych do miasta obywateli, którzy z powodu władzy centralnej krajowej często do Kijowa zjeżdżać musieli. Jednym słowem, musiał mój dom niepoślednią odgrywać rolę, kiedy, o ile sobie przypominam, ludzie bardzo poważani w mieście zaczęli mnie wizytować, a skutkiem namowy jednego z moich kolegów, późniejszego szwagra mojego, dałem obiad, na którym było do kilkudziesięciu osób, wszystko ludzi wiekowych, a nawet naczelnik uniwersytetu, zaproszony, zgodził się na przybycie. Wszystko to miało ustalić niby wyższe stanowisko studenta w towarzystwie i w tem schlebiało uniwersytetowi, ale nas od nauki odciągało. Przytem wciskały się czasem do gry i osoby mało znane. Naprzykład, jednym razem przyjechał z Petersburga jakiś pułkownik w sprawach wojskowych; był raz na grze, ale studencka, rzec można, gra, dość umiarkowana, zaspokoić jego nie mogła. Wszakże dostałem ostrzeżenie od Bibikowa przez jego siostrzeńca, a mojego kolegę, który grał najwięcej z nas wszystkich, gdyż był bardzo bogaty i wielkiej używał swobody. Ostrzeżenie to, wystosowane do mnie, było ze strony generała-gubernatora dość ostre, mianowicie, że ponieważ mamy zamiar z kolegami ograć przyjezdnego pułkownika, więc generał-gubernator nas ostrzega, że za taki czyn ja, jako gospodarz domu, surowo ukaranym zostanę. Zaraz zakomunikowałem to moim kolegom i prosiłem, by tego pułkownika nie zapraszali, a grę w domu moim zawiesili. Trwało to nie więcej, jak dni kilka, poczem ten sam siostrzeniec Bibikowa przyjechał do mnie na wieczór; stoliki odkryto i sam on pierwszy siadł do gry. Było to niby znowu oficjalne zezwolenie, a jakeśmy się dowiedzieli później, to sam ten pułkownik, znany szuler petersburski miał na nas widoki, i Bibikow, tem ostrzeżeniem odwrotnem nas, a bardziej może swego siostrzeńca, chciał ochronić. Wszakże już wtedy dostrzegłem, iż odbyło się to kosztem moim moralnym, zacząłem więc wystrzegać się gry, a co więcej, starałem się, by zgromadzenia karcarskie w moim domu miejsca nie miały. Nadjechał wkrótce Małorus z Petersburga, zajął swe mieszkanie, wieczory muzyczne ustały, a kartowe studenckie wieczory urządzano kolejno u kolegów, nie wyłączając i siostrzeńca Bibikowa, który mie-

szkał u swego wuja, t. j. kartowe studenckie wieczory odbywały się w domu generała-gubernatora. Tak schodził czas studentom, do nauki niezupełnie pochopnym.

Nic dziwnego, że uczęszczanie, a raczej powodzenie, jakiego doznawała młodzież studencka w towarzystwach i na balach, nawet rządowych, zwracały na nas uwagę kobiet, szukających rozrywki w stosunkach sercowych i światowych. Każdy z nas kochał się zapamiętale i był również, jeśli nie kochany, to wyróżniany z pośród innych. Ówczesnie jedna z dam, żona wysokiego urzędnika, a o której mówiono, że jej właśnie zawdzięcza mąż wysoką karierę, jaką zrobił przy Bibikowie, wpadła mi szczególnie w oko. Wzrostu wysokiego, nadzwyczajnie kształtna, jasno-złota blondynka, z okiem błękitnym, wyrazistym, zwykle otoczona młodzieżą najbardziej dystygowaną, stała się przedmiotem moich niedowarzonych marzeń. Ponieważ byłem pierwszym tancerzem w mazurze, ona zaś miała zwykle jednego mazurzystę na całą zimę i kawalerów w tym tańcu zmieniać nie lubiła, zostałem wybrany na jej stałego przez zimę dansera w mazurze. A że taniec ten więcej zostawia czasu do poufnej rozmowy, niż inne, serca, a raczej głowy, prędko zawrotu wspólnego dostały. Stosunek ten trwał prawie przez lat dwa i tak mnie od nauki oderwał, że kiedy nadszedł ostateczny egzamin, zastał mnie zupełnie nieprzygotowanym; tak dalece, że do egzaminu tego nie stanąłem.

Zostałem jeszcze na rok jeden, by się przygotować z nauk i stopień uczony studencki uzyskać. Prawo uniwersyteckie wymaga, że jeśli student po czteroletnim kursie do egzaminu nie staje, ma on zdjąć mundur studencki, a po roku przygotowania się domowego stanąć już w cywilnym ubraniu do egzaminu. Zdjąwszy mundur, we fraku zacząłem doznawać jeszcze większego powodzenia u kobiet, już może, iż mi i wąsiki przybyły, a więcej jeszcze powodzenie moje u jasnowłosej blondynki, słynnej ze swej piękności w kraju, zachowanie się moje nadzwyczajnie dyskretne, nadały mi u mężatek takiego znaczenia, że byłem poszukiwanym i wybór dalszych romansików był mi nadzwyczajnie ułatwionym.

Tego jeszcze lata pojechałem do Odesy, gdzie się ówczesnie zgromadziło towarzystwo najwyborniejsze w kraju. Odesa dziś jest miastem li tylko handlowem, ale za panowania cesa-

rza Mikołaja, kiedy paszporty za granicę były nadzwyczajnie utrudniane, wyjeżdżać do Odesy na morskie kąpiele było w modzie. Cesarz Mikołaj przez wzgląd na zasługi księcia Woroncowa, nie bacząc na swój osobisty wstręt, jaki miał do cywilizacji europejskiej, pozostawił Odesie, do śmierci ks. Woroncowa, przywilej *porto franco*. Ks. Woroncowa nie szczędził kosztów, by nadać Odesie cechę europejskiego miasta. Cała ludność odeska składała się przeważnie z Włochów, Greków i innych narodowości; żywiołu moskiewskiego tu widać nie było. To też wjechawszy do tego miasta, widziano u mężczyzn brody i wąsy, czego w innych miastach Rosyi, a raczej w całym państwie moskiewskiem, nie znoszono. Ponieważ to miasto korzystało z przywileju sprzedawania wyrobów zagranicznych bez opłaty ceł, toalety więc damskie kosztowały o połowę taniej niż w granicach Rosyi, pomijając już łatwiejszy i bardziej modny wybór materji wszelkich. Magazyny były przepełnione przedmiotami o smaku wyborniejszym, a ceny były przystępne.

To też weszło w modę, na lato zjeżdżać do Odesy. Mieszkańcy miasta usuwali się ze swych domów, które się zapełniały rodzinami możniejszemi w kraju. Ruch w mieście był niezwykły. Bale, koncerty, opery, spacery morskie, urządały się codziennie; magazyny wyprzedawały się z taką szybkością, że dziś jeszcze mieszkańcy Odesy zapomnieć tego nie mogą.

W tym to roku zjechał Liszt do Odesy na lato; wiadomość ta obiegła kraj cały i miasto ożywiło się niezwykle. Towarzystwem codziennym Liszta byłem i ja także, a że rodzina moja również bawiła w Odesie, siostra zaś moja miała talent do muzyki, staliśmy się satelitami artysty, równie jak wszystko, co grać na jakimkolwiek instrumencie umiało, lub nawet tylko odczuwać muzykę mogło. Ponieważ koncerty Liszta były nadzwyczaj licznie uczęszczane, ceny miejsc niezwykle wygórowane i dochody artysty stąd bardzo wysokie; urządał on po każdym koncercie kolacye swoim kosztem, na które zapraszał przyjaciół i bliższych znajomych. Ja byłem zaproszony raz na zawsze. Po pierwszym koncercie weszliśmy do sali jadalnej hotelu Ottona, rześcicie oświeconej, a stół, przygotowany na środku sali, zapowiadał liczne zgromadzenie towarzyszy wieczornej biesiady. Zeszli się przedstawiciele wszystkich kół miasta. Na pierwszym miejscu zasiadł otyły mężczyzna, bogaty



Mołdawianin, wielki muzyk, który ze swą własną orkiestrą zjechał do Odesy, by akompaniować Lisztowi na jego koncertach; obok niego Berlendis, pierwszy bas, śpiewak z opery odeskiej; później profesor języka francuskiego w liceum odeskiem, literat i poeta; następnie malarz; osoby z wyższego towarzystwa, z konsulatów etc. Po pierwszym toaście, ów Francuz powstał i w wierszach bardzo trafnych uczcił przyjazd artysty do Odesy. Po tym drugim toaście Berlendis prześpiewał bardzo piękną aryeę; po tem drzwi się otwarły raptownie na balkon i ujrzelśmy w czworobok ustawionych artystów z miasta, również orkiestrę opery, łącznie z orkiestrą Mołdawianina, wtórującą serenadę Szuberta, wykonywaną na kornecie przez Yokisza, jednego z najslawniejszych artystów europejskich, którego ówczasie orkiestra opery odeskiej zaangażowała na sezon. Wszyscyśmy powstałi od stołu, by wysłuchać serenady, cudownie wykonywanej. Weszliśmy na balkon: zastaliśmy tu damy z najwyższego towarzystwa, w toaletach eleganckich, z bukietami w rękę, przeznaczonymi dla Liszta. Przy świetle księżyca, twarze wszystkich artystów, oświetlone też i lampkami pulpistów, w czworobok ustawionych na placu przed balkonem, trąbka solisty i akompaniament orkiestr połączonych — na nas amatorach muzyki zrobiły wrażenie niewypowiedziane. Sam Liszt zalał się łzami, chwycono go na ręce i zaniesiono do środka czworoboku muzykantów, którym rzewnie bardzo za zrobioną mu tak miłą niespodziankę dziękował; a że w serenadzie brali udział ci wszyscy mieszkańcy Odesy, bez różnicy stanu, którzy tylko jakikolwiek instrument muzyczny w rękę trzymać umieli: kupcy, wojskowi, studenci z liceum i t. d., Liszt zaś na grosz nigdy nie zważał, kazał więc otworzyć podwoje hotelu i wszystkich uczestników serenady uczcić przyzwocioie. Nie wiem już, jak długo uczta ta trwała; ja niezmiernie wzruszony tą czarodziejską muzyką i zastawszy na balkonie kilka pań znajomych, trochę jeszcze poczekawszy, odprowadziłem te panie do domu, i sam na spoczynek się udałem. Była to pierwszy raz wysłuchana przezemnie serenada i wyznaję, że później w podróżach mych ani we Włoszech, ani w Niemczech nic równie doskonałego nie słyszałem.

Po letnim kursie, w Odesie spędzonym dość wesoło, powróciłem do Kijowa na zimę, a to w celu, by się znowu przy-

gotowywać do egzaminu dla uzyskania stopnia naukowego. Wszakże wkrótce dostrzegłem, że życie w świecie bawiącym się nieustannie odrywało mnie ciągle od nauki i nie dawało możliwości ścisłego zajęcia się przedmiotami, które wymagały nie tylko teoretycznej, ale i praktycznej znajomości. Niedosć było np. znać formułkę kombinacji chemicznej, ale potrzeba było w laboratorium chemicznem, otwartem dla studentów, zająć się i eksperymentami. Również i w zoologii niedosć było pamiętać rodzaj i gatunek zwierzęcia, lecz trzeba było widzieć je wypchane w gabinecie zoologicznym, by łatwiej je opisać przy egzaminie. Botanika i mineralogia wymagały również znajomości eksperymentalnej; w celu więc uczęszczania do gabinetów, przeniósłem się na mieszkanie do jednego z moich kolegów, daleko od miasta, a bliżej od uniwersytetu zamieszkałego, z którym przygotowując się do egzaminu, uczułem, że zdanie jego nie będzie dla mnie niemożliwem.

W czerwcu tegoż roku (1848), kiedy już egzamina się rozpoczęły, zaczęła dość gwałtownie grasować w Kijowie cholera. Życie studentów podczas egzaminów jest nadzwyczajnie nieregularne: najczęściej noce całe spędzają na naukach, w dzień się udając na chwilowy spoczynek; kilku z kolegów moich nagle umarło; uczniów ze szkół odesłano do rodziców.

W takich warunkach i nauki iść nie mogły. Zważywszy zaś iż stopień naukowy, o który się koledzy moi przy egzaminach ubiegali, raczej był potrzebny dla korzystania z przywilejów jakie dawał w późniejszej rządowej karyerze — ja zaś nie miałem w projekcie wstąpienia do rządowej służby — zastraszony wypadkami epidemii wyjechałem także na wieś, złożywszy egzamina dość dobrze, zaledwie z dwóch przedmiotów.

III.

Dalsze studia.

Na wsi: Zaprawianie się do gospodarstwa. — Pragnienie stopnia naukowego. — *W Charkowie:* Uniwersytet, profesorowie, stosunki. — Egzamina: przyzwolenie na nie, system przygotowywania się, świetne wyniki. — Nieprawiedliwi profesorowie. — Przyjaciele i słowa otuchy. — Rywal. — Koleżeński czyn. — Nieszlachetne wywzajemnienie się. — Propozycja katedry i jej odrzucenie. — Druga rozprawa. — *Dyplom i osiedlenie się na wsi:* Służba rządowa i prawa obywatelskie.

Tej zimy jeszcze (1849) straciłem najstarszego brata Henryka, który zarządzał majątkiem, a ponieważ brat mój średni Konrad służył wojskowo i z powodu wojny węgierskiej dymisji mieć nie mógł, spadł więc na mnie ciężar zarządzania majątkiem przy pomocy Matki naszej, która zawsze jeszcze kierunek główny interesów majątku, jako niedzielnego, w rękę swoim pozostawiała. Dwa lata pozostawałem na wsi, obznajamiając się z gospodarstwem.

Kiedy brat mój Konrad z wojny powrócił, oddałem mu zarząd majątku, sam zaś postanowiłem wyjechać do Charkowa dla zdania egzaminu i otrzymania stopnia uczonego. Wyznaję bowiem szczerze, iż wstyd mi było po ukończeniu nauk pozostawać bez jakiegokolwiek dyplomu, świadczącego o zdolnościach i o spełnieniu obowiązków młodego człowieka, oddanego jakiemuś zawodowi.

Charkowski uniwersytet, słynny ówczesnie z kilku profesorów wileńskich: Aleksandra Mickiewicza, brata poety, Walickiego, miał dla mnie i ten pociągający warunek, iż dawny

kurator kijowskiego uniwersytetu, Traskin, który był w Kijowie dość dla mnie przychylny, został mianowany gubernatorem w Charkowie.

Miałem więc protektora w Charkowie, który mi ułatwił przyzwolenie na składanie egzaminów w uniwersytecie charkowskim — rzecz ówczasie dość trudna, z powodu, iż zarząd uniwersytetu, pozostający w ręku generała gubernatora, nie był dość skłonny do przyjmowania studentów z Kijowa, jako z prowincyi zachodnich, a dla rządu zawsze niby duchem nieprzychylnym tchnących. Stało się więc dla mnie poniekąd koniecznością, już z powodu trudności, z jakimi pozwolono mi na egzamina, zdawać je jak najlepiej. Szło tu o honor kijowskiego uniwersytetu, o zadośćuczynienie poleceniom, danym w mojej sprawie przez byłego naszego przełożonego. Prosiłem więc kilku kolegów, z którymi najściślejszą przyjaźń zawarłem, aby mnie z systemem wykładów profesorów charkowskich zapoznali i zaprosili ich prawie wszystkich do siebie na mieszkanie, a to, by się wspólnie do egzaminów przygotowywać. Wszystkich, którzy do egzaminów stanąć mieli, było kilkunastu; wśród nich syn profesora botaniki i szwagier profesora chemii. Ten student miał dosyć silną protekcję, bowiem profesor chemii organicznej Chodniew miał głos przeważający w radzie uniwersyteckiej. Zabrałem się dość ostro do pracy i po dwóch, czy trzech egzaminach zaczęli mnie profesorowie otaczać swymi względami, już to, że byłem dosyć dobrze obeznany z przedmiotami, z których zdawałem, już to z powodu, że wszyscy prawie moi koledzy, oprócz jednego, doskonale do egzaminów przygotowani byli, a po mieście rozeszła się wieść, iż nie tylko ja sam pracuję nadzwyczajnie, ale i moi koledzy również, spędzając dnie i noce w mojem mieszkaniu, oddani są nauce tak szczerze, że zaledwo 3 lub 4 godziny na dobę przeznaczają na spoczynek, a resztę czasu poświęcają nauce. Myśmy pozatem codziennie się egzaminowali wzajemnie, a jeżeli który z nas słabiej jaki przedmiot lub jakąś dziedzinę rozumiał, dokładaliśmy wspólnych starań, aby mu je wytłómaczyć. Upadła więc wszelka zazdrość i emulacya przedegzaminowa. Dla mnie wdzięczność szczególną miał profesor Chodniew, bo szwagier jego, Niemiec, nie znający dobrze języka rosyjskiego, przytem zdolności dość miernych, nieźle się na egzaminach spisy-

wał, co jednogłośnie przypisywano mnie i memu systemowi uczenia się do egzaminów łącznie z kolegami.

Ponieważ wkrótce po rozpoczęciu się egzaminów ujrano, że byłem prawie celującym, budziło to ku mnie niechęć pewnych profesorów, którzy sądzili, że ja, przybyły z Kijowa, nie mogę być tak dobrze obeznanym z przedmiotami wykładanymi na uniwersytecie charkowskim, bo to uwłaczałoby godności tego uniwersytetu i nawet profesorom samym. Ta niechęć dała mi się uczuć szczególnie podczas egzaminu z technologii. Na uniwersytecie charkowskim przedmiot ten był wykładany przez profesora mało go znającego i niedbałego; dałem mu podczas egzaminu do poznania, że wiadomości z tego przedmiotu, nabyte przeze mnie w Kijowie, znacznie przewyższają program charkowski, lecz aczkolwiek w odpowiedziach na zapytania egzaminujących o wiele celowałem przed mymi kolegami, otrzymałem wszakże stopień niższy, niż oni.

Gdym do domu powrócił, chociaż starałem się ukryć przykrość, której doznałem, koledzy moi oburzyli się na tę niesprawiedliwość profesorów. Wkrótce nadszedł mój kolega, syn profesora botaniki, mówiąc, że ojciec jego kazał mi powiedzieć, żebym się tą przeciwnością nie zrażał i jeżeli z botaniki będę tak dobrze zdawał, jak z technologii, mogę być pewnym, że otrzymam stopień pełny. Po obiedzie przyszedł do mnie kolega ów Niemiec, szwagier profesora chemii, z wezwaniem mnie do profesora chemii Chodniewa, bardzo surowego i jakem to już mówił, mającego głos przeważny w radzie uniwersyteckiej. Nie wiedziałem po co mię wzywa, stawilem się więc przed nim z tą nieśmiałością, która cechuje studenta, zdającego egzamina. *Nie zrażaj się pan — powiedział mi — tą niesprawiedliwością, jaka pana dziś spotkała. Pomimo pańskich odpowiedzi bardzo zadawalniających otrzymałeś pan stopień mierny — samiśmy profesorowie zostali na taką niesprawiedliwość oburzeni, ale według ustaw uniwersyteckich zmieniać stopni egzaminacyjnych nie możemy. Pozostaje panu jeszcze cztery egzamina i wszystkie z przedmiotów głównych: chemia nieorganiczna u profesora Einbrota, botanika u Czerniajewa, zoologia u Czernoja i chemia organiczna u mnie; wszyscy czterej postanowiliśmy dzisiaj być dla pana sprawiedliwymi i jeśli będziesz pan z pozostałych przedmiotów tak dobrze przygotowany, jak dotychczas, otrzymasz*

pan wyższy stopień uczonego na naszym uniwersytecie, gdyż nie tylko sam pan pracujesz przykładowie, ale i kolegów swoich tak dobrze do egzaminu przygotowujesz, iż takich odpowiedzi i po nich nie spodziewaliśmy się.

Z wielką radością powróciłem do domu; zastałem kolegów moich, którzy również zadowoleni z tych słów profesora byli, oprócz, jakem to dostrzegł, jednego, niezupełnie szczerego, a tym był syn profesora botaniki, Czerniajew: był on dotychczas celującym w egzaminach, a miłość własna jego cierpiała trochę z tego powodu, że nie sam tylko, ale już nas kilku miało nadzieję na stopień wyższego uczonego. Egzamina dalej szły jak najpomyślniej, szczególnie z chemii, mój bowiem profesor kijowski Fomberg, student niegdyś wileński, znany w nauce, przez chemików charkowskich również był szanowany; a wykłady jego, szczególnie chemii nieorganicznej, były nadzwyczaj ścisłe, o wiele szersze niż zakreślone programem charkowskim, zaś czteroletni kurs tych wykładów, który przeszedłem w Kijowie, obeznał mnie o tyle z tym przedmiotem, iż egzamina moje w Charkowie szły z nadzwyczajną łatwością: otrzymałem stopnie pełne, którymi zaemiłem kolegę mego Czerniajewa.

Ponieważ pierwszy student każdego uniwersytetu miał prawo na otrzymanie stanowiska odpowiedniego do jego nauki w stolicy, inni zaś musieli przez trzy lata służyć na prowincyi, przyszedł do mnie kolega Czerniajew, zapytując mnie, czy mam zamiar korzystać z tego prawa i czy chcę jechać do Petersburga dla otrzymania odpowiedniej posady? Ponieważ nie była zamiarem moim służba rządowa, lecz zmuszony byłem powracać na wieś do gospodarstwa, chętnie zgodziłem się na odstąpienie mu przywileju, który, jak się okazało, mnie się należał. Wszakże nie dosyć było naszego porozumienia osobistego w tym względzie, bo rada uniwersytecka wymaga, by jakikolwiek stopień kandydata na wyjazd do stolicy przewyższał stopień kandydata drugiego z rzędu. Uprosił więc mnie tenże kolega Czerniajew, bym do naukowej rozprawy obrał przedmiot z botaniki, zaś ojciec jego, który jako profesor botaniki stopień za tę rozprawę ma dawać, zainteresowany w tem, aby syn jego był pierwszym kandydatem, da mi stopień niższy; w ten sposób przez radę uniwersytecką do drugiej kategorii zaliczonym będę. Zgodziłem się i na to, zawsze w tej myśli, aby ustąpić

koledze przywileju, z którego korzystać nie zamierzałem. Z tematów więc, które dla studentów, ubiegających się o ukończenie nauk ze stopniem kandydata, dane były, wybrałem do napisania rozprawy naukowej temat z botaniki: *O równowadze w oddechu roślin*; a napisawszy tę rozprawę wyjechałem na wieś na wakacje; z zamiarem powrotu do Charkowa li tylko w celu odebrania dyplomu kandydata, który mi profesorowie już zapowiedzieli.

Wielkie było moje zdziwienie, gdy otrzymałem na wsi zawiadomienie, że ponieważ rozprawa moja z botaniki była niewystarczającą i przez profesora botaniki (ojca tegoż rywalizującego ze mną kolegi) jako taka odrzuconą została, winienem stosownie do przepisów uniwersyteckich natychmiast do Charkowa powrócić, by drugą napisać, na co prawo pozwala. Wyruszyłem wnet ze wsi w drogę i zastałem w Charkowie wielką z powodu odrzucenia mej rozprawy wrzawę, a między profesorami wynikłe z tej racji nieporozumienie. Powody, dla których ojciec, broniąc syna, uznał moją rozprawę za niedostateczną, były dla wszystkich zrozumiałe. Wszakże pewni profesorowie, a szczególniej mój protektor Chodniew byli na tę niesprawiedliwość oburzeni; ten ostatni, kiedym przyszedł do niego, bardzo mię za to naganił, że do rozprawy obrał temat z botaniki, wiedząc o tem z góry, że profesor botaniki widocznie jest w tem zainteresowany, by stopnie me egzaminacyjne obniżyć.

Powiedział mi przytem, że wszakże po przeczytaniu rozprawy mojej na radzie uniwersyteckiej, wiedząc już o tem, że nie zamierzam wstąpić do służby rządowej w stolicy, kazano mię zapytać, czy nie pragnąłbym zająć katedry jakiegokolwiek przedmiotu z mojego wydziału. Jeżelibym na to przystał, do czego mnie Chodniew bardzo namawiał, mógłbym po półrocznem przygotowaniu się starać się na tym uniwersytecie o doktoryzację. Odpowiedziałem, że bardzo jestem wdzięczny jemu i całej radzie uniwersyteckiej za tak pochlebną dla mnie propozycję, ale interesa majątkowe zmuszają mnie do powrotu na wieś.

Obrałem więc za temat do drugiej rozprawy *O fermentacji* z chemii; a napisawszy ją, wręczyłem tym razem już oświadczenie profesorowi Chodniewowi, który po przeczytaniu jej za-

pewnił mi, iż uznaną zostanie za dostateczną do otrzymania stopnia naukowego.

Potem wyjechałem na wieś, gdzie otrzymałem nadesłany mi pocztą przez radę charkowskiego uniwersytetu dyplom na stopień kandydata.

Prawo krajowe wymagało ówczas, by w wyborach krajowych brali udział ci tylko właściciele ziemscy, którzy posiadają przynajmniej ostatnią rangę i z tego powodu było we zwyczaj, iż wszyscy właściciele ziemscy jakiś czas byli w służbie rządowej, by tę przynajmniej rangę, wymaganą przez prawa, uzyskać. Ponieważ stopień mój naukowy, po półrocznej służbie rządowej dawał mi prawo do rangi dziesiątej klasy, wpisałem się niezwłocznie do kancelaryi marszałka swego powiatu, co mi wkrótce dało prawo należenia do wyborów i urzędów wyborczych.

IV.

Przemysł cukrowniczy.

Praca na wsi. — Rozwój cukrownictwa w kraju. — Rafinerye i rynki zbytu. — Potrzeba bezpośredniego zbytu. — Podróże w tym celu. — Z Kijowa przez Kursk, Orzeł, Tułę do Moskwy. — Dawna stolica: wygląd miasta, ruch na ulicach, śniegi. — Pierwsze kroki na giełdzie: rozejrzenie się w stosunkach panujących w cukrownictwie rosyjskiem, różne gatunki mączki, popyt na nie i sposoby przebiegania. — Rynek petersburski a moskiewski. — Specjaliści w cukrownictwie. — Cesarz Mikołaj a przemysł. — Do Petersburga. — Kolej żelazna. — Nowoczesne miasto, mundury, opera. — Oberpolicmajster i usposobienie stolicy. — Jego protekcyje i opera petersburska. — Powrót do Kijowa. — Przewidywanie wojny i jej znaczenie dla przemysłu cukrowniczego; powtórna podróż do Moskwy. — Wyższe sfery moskiewskie: rywalizacya z Petersburgiem, własna »cywilizacya« i patriotyzm. — Panslawizm. — Stosunek do rządu. — Sympatye Polaków i rozczarowanie. — Nowy kierunek. — Kupiectwo moskiewskie: jego zacofanie i wady. — Artele i ich znaczenie. — Nienawiść do cywilizacyi. — Synkowie kupieccy. — Młodzież kupiecka i muzyka cygańska. — Wiadomości wojenne na giełdzie moskiewskiej. — W Petersburgu: zasięgnięcie informacji i ich prawdziwość. — Powodzenie.

Ponieważ odziedzyczyliśmy wspólnie z bratem jedną wieś i on nią zarządzał, ja wziąłem w dzierżawę parę wiosek z cukrownią, mając już ze studyów przeze mnie odbytych trochę wiadomości z technologii i chemii, które były prawie niezbędne dla kierowania przemysłem cukrowniczym. Wkrótce, jako współnik, objąłem zarząd cukrowni mego szwagra, a tak stałem się naraz kierownikiem dwóch cukrowni, a zajęcie to i na późniejsze moje życia koleje wpłynąć musiało.

Przemysł ten dopiero między r. 1830 a 1840 w kraju naszym począł się szerzej rozrastać; wprowadzony zaś był najpierwej przez hr. Bobryńskiego do dóbr jego Smilańszczyzny

i począł znajdować przedsiębiorców we właścicielach ziemskich, zrazu w gubernii kijowskiej i to w części południowej tylko, gdzie wskutek bliższego sąsiedztwa z majątkami hr. Bobryńskiego właściciele ziemscy mogli się z plantacją buraków oswoić. Do r. 1850 prawie, cukrownie te, których liczba co rok się powiększała, były przeważnie t. zw. ogniowe, czyli że system wyrabiania mączki cukrowej polegał tylko wyłącznie na przyrządach o prostej konstrukcyi, bez użycia pary zarówno do gotowania cukru, jak i poruszania tartek i pras do wydobywania soku z buraków. Tartki wprawiano w ruch za pomocą zwykłych kieratów, prasy zaś poruszali ludzie, co mogło mieć rację bytu li tylko wobec istniejących jeszcze ówczesnie stosunków pańszczyznianych. Kilka przykładów wzbogaconych nadzwyczaj szybko właściciele cukrowni popchnęło znaczną część właścicieli ziemskich w ten wir cukrowniczy, a kompletny brak ludzi zdolnych do umiejętnego kierowania tym przemysłem, spowodował w czasach późniejszych ruinę wielu znaczniejszych majątności i rodzin, co na przeistoczenie kraju naszego wpłynąć musiało. Od r. 1860, z powodu zmiany stosunków włościańskich, znaczna część cukrowni musiała przerwać swą czynność, lub też zamienić system ogniowy na parowy, co znowuż wymagało znacznych kapitałów, zarówno dla sprowadzenia maszyn z zagranicy, jak i dla wzniesienia stosownych budynków. — Rok 1862 zastał przemysł ten jeszcze w ręku właścicieli ziemskich przeważnie, a więc wypadki polityczne z roku następnego, które zamknęły drogę do kredytu prawie wszystkim Polakom, na zastój w przemyśle cukrowniczym wpłynąć musiały i dopiero między r. 1865 a 1870 przemysł ten, popierany przez finansowe reformy rządu w kwestyi zatwierdzania statutów akcyjnych towarzystw cukrowniczych i banków prywatnych, powstał na nowo, lecz już w ręku towarzystw, o zarządach wybieranych przez finansistów i w warunkach tak, zdaje się, przyjaznych, iż przyszłość mu rokować można było; jakoż nieco później, podczas kryzysu finansowego, pomimo paniki wynikłej wśród akcyonaryuszów, wytrwał tak dzielnie, iż się dziś najzupełnijszem powodzeniem szczycić może.

Przebiegłem tu w krótkości historję rozwoju cukrownictwa w kraju naszym, ile że kraj nasz ma dziś charakter przemysłowy i nieraz jeszcze w pamiętnikach moich o tem mówić mi

wypadnie. — Co do mnie, to jak już zaznaczyłem, zarządzałem w r. 1853 dwoma cukrowniami, a wytwory ich, jak było ówczesnie we zwyczaju, sprzedawaliśmy rafineriom miejscowym, które przerabiały mączkę na rafinat, wysyłany w tej dopiero postaci na rynki zbytu dla konsumentów. Nie mając więc w naszych fabrykach piaskowych bezpośredniej styczności z konsumentem, w sprzedaży mączki byliśmy oczywiście skrępowani; że zaś w naszej okolicy było li tylko dwie¹⁾ rafinerie: hr. Bobryńskiego i Juchnenki, wzbogaconego chłopą, lecz bardzo zdolnego i przebiegłego przemysłowca, te więc dwie rafinerie zlekka poczęły monopolizować nasze wytwory, zniżały ceny stosownie do większego urodzaju na buraki i w ten sposób utrudniały nie tylko wydatniejszą czynność piaskowni, lecz szkodziły zarazem i szerszemu rozwojowi plantacji buraków, stanowiących ówczesnie dość korzystną gałąź gospodarstwą rolnego. Głównym rynkiem zbytu dla przemysłu cukrowniczego były stolice: Moskwa, gdzie kilka rafinerii przerabiało mączkę cukrową z piaskowni wielkorozyjskich i Petersburg, gdzie już kilkanaście rafinerii istniało dla cukrów kolonialnych, przez porta bałtyckie do Rosyi importowanych. W braku kolei żelaznych, a nawet podówczas i telegrafów, nie mogliśmy zawrzeć stosunków ze stołecznymi przemysłowcami, którzy, również z powodu złej komunikacji, słabe o naszej sile produkcyjnej mogli mieć wyobrażenie.

Uczuwaliliśmy potrzebę przełamania tych trudności, ale własnych naszych usiłowań było na to za mało; transport bowiem cukru odbywał się końmi, na co miesiąc trawiono, gdy tymczasem sprzedaż naszej mączki wymagała realizacyi co najspieszniejszej z powodu kontraktów kijowskich, na których zwykle ustanawiano terminu wypłaty należności i otwierano przemysłowcom nowy kredyt. Wszakże w jesieni roku następnego urodzaj buraków zdawał się być o tyle zadawalniający, że miejscowi rafinerowie, jako jedyni nabywcy, przygotowywali się do kupna mączki cukrowej po cenach niskich; zdawało się nawet, że produkcya mączki przewyższała jej zapotrzebowanie i siłę rafinerii krajowych. Wypadało więc komuś odważniejszemu, a może i niezależniejszemu, spróbować drogi zbytu

¹⁾ Była wprawdzie i trzecia rafineria ks. Sanguszki, ale dość odległa od nas.

w stolicach i w tym celu nawiązać stosunki z nowymi nabywcami, a w ten sposób nie tylko swoje produkta dogodniej sprzedać, ale i innym współobywatelom-producentom przysługę oddać.

Sąsiad mój i również właściciel cukrowni, Michał Grabowski, znany w literaturze polskiej, projekt mój podróży do stolicy nadzwyczaj pochwalał i bardzo mię w tem wspierał. Za pośrednictwem hr. Świdzińskiego dostarczył mi listów polecających od ks. Łopuchina, właściciela Korsunia, do możniejszych kupców moskiewskich i puściłem się w drogę z sąsiadem moim Ksawerym Macewiczem, wzięwszy na próbę trochę piasków z naszych cukrowni. Wyruszyliśmy obydwaj do Moskwy w końcu grudnia, by w styczniu powrócić do Kijowa z wiadomościami, których przemysłowcy nasi bardzo wyczekiwali.

Kto nie jeździł sanną w głąb Rosyi, ten nie ma wyobrażenia, jak utrudnioną była ta podróż z powodu zasp śniegowych i wybojów, w których bardzo często sanie, zaprzężone w trójkę koni, znikwały z oczu. Rozmijanie się na tych drogach było tak trudne, że nieraz po pół godziny na nie trawiono. Podróż przez Kursk była najnieprzyjemniejszą; na stacyach pocztowych, źle zaopatrzonych, samowar był jedyną ozdobą i dostarczał pokarmu. Z Kurska do Orła stacje trochę lepiej zaopatrzone ze względu na wygodę podróżujących; z Orła do Tuły śniegi już głębsze; na długiej przestrzeni zaledwo jedna droga wążka widzieć się daje, i jeśli się zdaleka ujrzy trójkę koni, z którą mijać się przyjdzie, »jamszczyk« zarówno jak podróżni, przygotowują się, jak gdyby do turnieju. W Tule zatrzymaliśmy się z towarzyszem podróży na cały dzień, dla obejrzenia fabryki broni, zdaje się jedynej w Rosyi, jak również i dla wypoczynku po trzydniowej nieustannej podróży. Stąd wyruszyliśmy już po szosie do Moskwy; lecz jakież było moje zdziwienie, gdy na trakcie śladu szosy widać nie było: te same zaspysy śniegowe, takie same wyboje, te same, a może więcej jeszcze utrudnione rozmijanie się z podróżującymi, z powodu większego na tej drodze ruchu. Ale zato stacje pocztowe nadzwyczaj ozdobne i wygodne: termometry nawet pozawieszanie w pokojach dla kontroli ciepła, stosownie do przepisów nadzorca. Na większych stacyach — kuchnia, tak, rzec można, wykwintna, że dzieńby cały na takiej stacyi najprzyjemniej spędzić można. Wszakże

całą jeszcze dobę na podróż do Moskwy stracić trzeba było, na piątą więc dobę stanęliśmy w Moskwie.

Do żadnej ze stolic europejskich Moskwa porównać się nie da. Ulice wąskie, bez symetrii, rozstrzelone w różnych kierunkach, z budynkami o architekturze mieszanej, nadają miastu cechę starożytności, a nadzwyczaj piękny Kremlin, ozdobnego stylu bizantyńskiego, wzrok widza niby przykuwa i myśl jego z historią i pamiątkami tego miasta wiąże. Ruch w mieście, z powodu wąskich ulic, zda się niezwykły. Słynne konie, t. zw. *rysaki* i nadzwyczaj kosztowne futra na mężczyznach i na kobietach, a nawet i na stangretach, najniezawodniej zwróciłyby na siebie uwagę każdego podróżnika, gdyby ten bieg *rysaków* i efekt zimowych toalet nie był stracony z powodu tych samych okropnych wybojów w samem mieście; jamy na ulicach nie pozwalają często nawet na jazdę małym kłusem, a jadąc saneczkami dorożkarza dostaje się wkrótce zawrotu głowy, wskutek falistego ich ruchu.

Obejrzawszy przez parę dni miasto, zajęliśmy się poszukiwaniem nabywców na mączkę cukrową, jako głównego celu naszej podróży. Po raz to pierwszy spotkała się mączka cukrowa zachodnich gubernii z przyszlą swą współzawodniczką amerykańską. Na giełdzie moskiewskiej z wielką ciekawością przypatrywano się próbkom naszym; na giełdzie tej były już próbki mączki cukrowej z Królestwa, a przeważnie z piaskowni wielkorosyjskich. Najlichniesze transporta szły z gubernii tulskiej, gdzie się ten przemysł rozwinął ówczesnie już na większą skalę. Wobec panującej w chłodnym klimacie cesarstwa wielkiej konsumcyi herbaty, szczególnie rozpowszechnionej pomiędzy ludem wielkorosyjskim, nie jest rzeczą dziwną, że produkcya cukrów krajowych zwracała na siebie szczególniejszą uwagę przemysłowców i ekonomistów. Powtarzały się już pytania, czy z czasem bez ceł protekcyjnych przemysł ten krajowy ostać się może i czy potrzeby konsumentów zaspokoić zdoła? Z 4 milionów ówczesnej konsumcyi, około 2 milionów przypadało na mączkę przywożoną z kolonii amerykańskich; milion niespełna dostarczała Rosya z Królestwem, milion z górą, rzecz można, trzy powiaty naszej gubernii. Patrzano więc na nas, producentów zachodnich, jako na najsilniejszych w cesarstwie. Buraki obfitujące w pierwiastki cukrowe, kraj zaopa-

trzony w materyał opałow, wobec umiejętnego wreszcie kierownictwa przemysłem cukrowym przez dwóch wzmiankowanych już rafinerów, rokowały na przyszłość pomyślne zadośćuczynienie tym wymogom, jakich po każdym przemyśle kraj spodziewać się winien. Ponieważ było we zwyczaju u wielkorusyan pić herbatę z t. zw. *prikuską* (kawałek cukru brano w usta i zapijano go herbatą), co przy mocnym rafinacie dawało możność wypić dwie lub trzy filiżanki herbaty o jednym kawałku cukru, póki ten w ustach nie stopniał, przeto rafinerowie nasi starali się sporządzać jak najmocniejszy rafinat; ścisłość pomiędzy kryształami cukrowymi tego rafinatu była tak wielka, że kawałek takiego cukru nie rozpuszczał się w ustach z łatwością i dawał możność wypicia z nim czterech lub pięciu filiżanek herbaty. Z tego powodu stał się nasz cukier na rynkach moskiewskich bardziej poszukiwany; nazywano go słodszy, a wskutek tego był cenniejszy od innych. Już za naszego pobytu w Moskwie rafinat zachodnich gubernii zdobywał sobie pierwszeństwo, co w części i mączce przypisywano. Wszakże w porównaniu prób naszej mączki z innymi, które na giełdzie moskiewskiej były do sprzedania, mączka z gubernii wielkorusyjskich zdawała się być bielszą, zawierającą w sobie mniej pierwiastku niekrystalicznego, przytem kryształ miała nadzwyczaj drobny, co dowodziło gotowania mocniejszego, t. j. dłuższego i lepiej niekrystaliczne składniki oddzielającego za pomocą pary. Nasza mączka miała kryształ prawie dwa razy większy, świadczący o zachowaniu w niej wody, wchodzącej w skład kryształu; przytem kolor naszej mączki był ciemniejszy, wskutek odmiennego sposobu »przebielania« cukru. »Przebielanie« czyli oddzielenie cukru niekrystalicznego melassy od krystalicznego, odbywało się w Rosyi za pomocą gliny białej, u nas zaś za pomocą melassy lub wódki. W sposób pierwszy cukier niekrystaliczny oddzielał się prawie niemechanicznie, pozostawiając w naczyniu li tylko kryształ; sposób drugi: domieszania wódki do przebielkowanej cukrowej cieczy, miał tę dogodność, że alkoholiczne pierwiastki rozpuszczając cukier niekrystaliczny, a nie rozpuszczając krystalicznego, łatwiej oddzielały melassę; sposób ten jednak jako kosztowny, wkrótce zaniechany został. W Rosyi zaś, glinka biała, używana do przebiłek cukrów, pozostawiała na kryształach powłokę białą, od gliny pochodzącą; ale kolor kryształu

był jaśniejszy i dla kupujących pojętny. Mówię tu jeszcze o czasach, kiedy centryfug do bielienia cukrów nie znano, a proces bielienia odbywał się w naczyniach blaszanych lub glinianych stożkowatego kształtu, węższą częścią w dół osadzonych. Co się tyczy cukrów kolonialnych, to te wszystkie prawie, dość niedbale bielone, były daleko ciemniejszego koloru od naszych. Ponieważ w Moskwie były dwie rafinerie dość szczupłych rozmiarów, bo zaledwie 300.000 pudów mączki cukrowej przerabiały na rafinat, a nabywcami miejscowymi byli cukiernicy, którzy do pół miliona pudów mączki cukrowej przerabiali na rozmaite gatunki konfitur suchych, galaret owocowych, *pastilą* zwanych i innych przysmaków moskiewskich w handlu znanych, przeto ci nabywcy kupowali przeważnie mączkę gliną bieloną, już to głównie z tego powodu, iż białość takiej mączki bardziej ich przemysłowi dogadzała.

Dostrzeżliśmy wkrótce, iż nasi bezpośredni nabywcy byli w Petersburgu, gdzie ówczesnie już było kilkanaście rafinerii, które wyrabiały do 2 milionów pudów rafinatu z cukrów kolonialnych. Wszakże Moskwę ominąć było trudno z tego powodu, iż konna dostawa naszego produktu centralizowała się w Moskwie, jako w punkcie bliższym krańców cesarstwa, a stąd dopiero do Petersburga transport koleją żelazną był prędszy i łatwiejszy. Znaleźliśmy wprawdzie w Moskwie wiele domów komisowych, które jednocześnie były upoważnione przez rafinerów petersburskich do nabywania dla nich mączki cukrowej na rynkach moskiewskich, i które przyjmowały komisa sprzedaży mączki od producentów z gubernii wielkorusyjskich, dając im na ich produkta zaliczki; ale jest rzeczą znaną, iż takie domy komisowe, utrzymując stosunki handlowe stałsze z rafinerami, nie zawsze dają rękojmię dobrej sprzedaży mączki cukrowej dla producenta. Należało więc nam szukać nabywców z pierwszej ręki, by ominąć koszta komisów, tym razem jeszcze podwójnych, spadających na nasze produkta. Po sprzedaży naszych piasków przez dom komisowy Forssmana, zdecydowaliśmy się z towarzyszem podróży na pojechanie do Petersburga, by tam z rafinerami petersburskimi wejść na przyszłość w stosunki.

Przed wyjazdem wszakże z Moskwy chciałem jeszcze poznać dwóch jej mieszkańców, który, jak mi było wiadomo z pism agronomicznych rosyjskich, najwięcej z zakresu cukrownictwa

do pism tych pisywali. Jednym z nich był Sziszkow, członek towarzystwa rolniczego moskiewskiego, właściciel cukrowni w gubernii Tulskiej; drugim — Masłow, sekretarz tegoż towarzystwa rolniczego, powodzeniem cukrownictwa krajowego nadzwyczajnie przejęty. Owóż, przyjęcia u obydwóch doznałem jak najprzyjaźniejszego, a o sile i innych szczegółach przemysłu naszych gubernii musiałem udzielić im wiadomości.

Pan Masłow, który wiele bardzo o tym przemyśle do gazet pisywał, a który stał jakby na straży cła protekcyjnego, opowiadał mi, iż kiedy cesarz Mikołaj, podczas ostatniej bytności w Moskwie i towarzystwo rolnicze zaszczycił swoją bytnością, wtedy Masłow spotkał go przed drzwiami sali towarzystwa z głową cukru w rękę, jak gdyby z chęcią zwrócenia uwagi cesarza na przemysł, który dopiero się rozwija, ale już rokuje świetną przyszłość ekonomiczną Rosyi. Ujrawszy to cesarz Mikołaj, zwrócił się do niego i powiedział: *To dobrze, ale i mnie coś dać powinien* (przemysł). Nadzwyczaj to charakterystyczne dla cesarza Mikołaja powiedzenie. Wiemy, iż był to despota w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu; dla bagnetu miał tylko pewne względy, uważając go za jedyną siłę mocarza i mocarstwa; o innej sile kraju, ekonomicznej, przemysłowej, nie chciał mieć żadnego wyobrażenia; kraj uważał za swoją własność i jeśli coś o kraju wypadało powiedzieć, to mówił zawsze o sobie samym. Znana jest odpowiedź cesarza, jaką dał metropolicie kijowskiemu, który się poważił zapytać, na jaki rachunek każe zapisać pożyczkę zaciągniętą z sum Ławry kijowskiej podczas rozpoczęcia wojny krymskiej; z największem oburzeniem odpowiedział metropolicie: *I Ławra moja i pieniądze moje!* Tak rozumiał swoje stanowisko, a na wszelkie objawy życia krajowego spoglądał z oburzeniem, jak gdyby się chciano wyłamać z posłuszeństwa monarsze.

Po kilkunastodniowym pobycie w Moskwie wyjechaliśmy koleją żelazną do Petersburga. Pierwszy to raz podróżowałem koleją żelazną, a jeżeli ówczesnie podróż ta wydała mi się nadzwyczaj przyjemną i wygodną, to i dziś, chociaż koleje żelazne Europy znam dobrze, wszakże mniemam, że kolej petersbursko-moskiewska, urządzona z przepychem, o szynach poczwórnych na całej przestrzeni, do jednej z pierwszorzędnych zaliczoną być winna.

Po 24-godzinnej podróży stanęliśmy w Petersburgu. Tu już ulice szerokie, symetryczne; pałac zimowy w stylu renesansowym, bardzo gustowny; kolumnada Soboru kazańskiego nadzwyczajnie ujmująca — nadają miastu charakter niezaprzeczenie stolicy nowożytnej. Była ona wobec pewnej sztywności w strojach, przy licznie napotykanym mundurach, militaryzmem, jako głównym i jedynym systemem cesarza Mikołaja, nacechowaną. Jedyną przyjemnością, jaką tu sobie obiecywałem, było wysłuchanie opery petersburskiej, słynnej w Europie całej, ponieważ nie szczędzono kosztów, by najznakomitszych artystów do stolicy Rosyi ściągnąć.

Miałem list polecający od marszałka naszego powiatu do oberpolicmajstra petersburskiego Gałachowa, więc zaraz nazajutrz po przyjeździe stawiłem się u niego w sali audyencyonalnej. Za panowania cesarza Mikołaja, oberpolicmajster stolicy był osobą w mieście nadzwyczaj znaczącą. Znaną jest rzeczą, że od dobrego lub złego humoru monarchy zależały awanse, fortuny i losy najbliższych jego sług; po całej stolicy, w najwykwintniejszych salonach, powtarzano z ust do ust słowa monarchy, z którymi się przebudził, z którymi przyjmował, z którymi siadał i wstawał od stołu, kogo naganił, a do kogo łaskawiej przemówił — temu rokowano przyszłość najświetniejszą — jednym słowem, usposobienie cesarza grało w stolicy rolę najznaczącej, a znajomość kulis dworskich była chlubą inteligencji stołecznej. Oberpolicmajster był pierwszym narzędziem łaski lub pokuty humoru monarchy, nic więc dziwnego, że patrzano na niego z ciekawością. Dodać należy, iż i sam monarcha grał na efektach: wzrost, głos silny miały też świadczyć o potędze monarchy — głos jego, nadzwyczajnie silny, jak wiadomo, dochodził do uszu prawie każdego żołnierza — to też i oberpolicmajster miał stangreta — powszechnie wówczas znanego, z głosem tak silnym, że, jak mi mówiono, kiedy oberpolicmajster pędził przez miasto, słynne rosyjskie *padzi*, wypowiedane przez stangreta przy wymijaniu, słyszanem było i podziwianem na całym Newskim Prospekcie.

U tego oberpolicmajstra stanąłem zrana w sali przyjęć obok innych osób, które z rozmaitemi prośbami do niego się udawały. Z kolei gdy podszedł do mnie, wręczyłem mu list. Polecenie to, jak się okazało, pochodziło od bardzo dobrego

przyjaciela młodości, który nawet odstąpił mu swej narzeczonej za żonę i to powodowany przyjaźnią, jak mi później i sama pani oberpolicmajstrowa opowiadała. Po przeczytaniu listu, zapytał mię, w czem może mi być użytecznym i czy długo bawię w stolicy. Odpowiedziałem, iż zaledwie dni kilka zabawię, a ponieważ jestem wielkim amatorem muzyki i bardzo mi o to chodzi, bym skorzystał z każdej sposobności zwiedzenia tak znakomicie obsadzonej opery, wielkie zaś trudności zachodzą w dostaniu biletów, przepłacanych na wagę złota i dziś jeszcze w stolicy, prosiłbym go, aby mi ułatwił dostanie biletu na każdą operę, która podczas pobytu mego dawaną będzie. Kazał zaraz podwładnemu jakiemś policyantowi, by na ten dzień jeszcze bilet mi do hotelu, przeze mnie zamieszkiwanego, przyniósł; powiedział mi jednocześnie, iż jeśli życzę, to mogę na jego własne miejsca siadać we wszystkich teatrach i cyrkach, wyjąwszy te przedstawienia, na którychby monarcha być życzył, gdyż wówczas musi tam i on być osobiście, jako nieodstępny satelita Najjaśniejszego Pana. Szczerze mu za tę grzeczność podziękowałem i powróciwszy do hotelu, wkrótce przez policyanta otrzymałem bilet z zapowiedzeniem, iż we wszystkich teatrach dano rozporządzenie wpuszczania mnie nawet bez biletu, na krzesło oberpolicmajstra. Wyznaję szczerze, iż ta oficjalna grzeczność wprowadzała mnie trochę w zakłopotanie: korzystać z tego prawa zajmowania miejsca oberpolicmajstra w stolicy, na zgromadzeniu publicznem, gdzie wielu moich znajomych rodaków znajdowało się, nie miałem wielkiej chęci. Wszakże po kilkodniowym moim pobycie dawano operę *Puritani* — Mario, pierwszy tenor i Viardot mieli w niej wystąpić; bilety na tydzień przedtem tak rozechwymano, że nie było można dostać nawet pośledniejszego miejsca. Dowiedziawszy się, iż monarcha nie ma być na tej operze, w czasie, kiedy miała się rozpocząć uwertura, wziąłem dorożkę i kazałem zawieźć się na operę. Przy wejściu do parteru oświadczyłem służbie teatralnej, że idę na miejsce oberpolicmajstra. Zaraz mi odpowiedziano, iż o tem są już uprzedzeni i jeden z lokajów ofiarował się odprowadzić mię na to miejsce, bym się nie błąkał po parterze. Doszedłszy do miejsca, ujrzałem się w pierwszym rzędzie wśród jenerałów różnych rang; wiedzieć bowiem należy, iż

w żadnej stolicy ceny pierwszych dwóch rzędów krzeseł nie są tak wygórowane, jak w Petersburgu; są to niby miejsca przeznaczone dla wyższych rang i stanowisk w stolicy: cisną się do nich przedewszystkiem wojskowi wyższych rang; widzieć tam można było niejednego generała, który aczkolwiek w teatrze w pierwszych siedział rzędach, wszakże wkrótce później, podczas kampanii krymskiej, do pierwszorzędnym zaliczonym być nie mógł. Co się tyczy sceny, to nigdy już nie spotkał za granicą tylu znakomitości artystycznych naraz połączonych: Mario, Viardot, Ronconi baryton, Tamberlik ze swem znakomitem *ut* w operze *Otello*; pierwszy skrzypek w orkiestrze Apollinary Kątzki — z innymi też znanymi solistami sprawiali wrażenie niezatarte w pamięci miłośników muzyki. Po obejrzeniu Ermitażu, w którym najwięcej na uwagę zasługuje niezliczona ilość Rubensów, oraz po zawiązaniu stosunków z rafinerami miejscowymi, wyruszyliśmy z towarzyszem podróży z powrotem przez Moskwę do Kijowa, by tam na kontraktach udzielić zebranych przez nas wiadomości o przemyśle cukrowniczym i innym naszym współobywatelom.

Już w jesieni roku 1853 rozeszła się wieść o nieporozumieniach pomiędzy Rosyą a Francją i Anglią, czego następstwem była wojna krymska. Zdawało się wówczas, iż mogąca wybuchnąć wojna z tak silnemi na morzu mocarstwami, spowodzi blokadę portów rosyjskich i z tego powodu import mączki kolonialnej do Petersburga stanie się niemożliwym. Dla tych powodów cukier ku jesieni zaczął drożeć i gdyby pewność, że dostawy importowe zostaną przerwane, ceny tych produktów mogłyby znacznie pójść w górę. Ta okoliczność zachęciła mnie nie tylko własne produkta, ale jeszcze nabyte od kilku innych sąsiednich cukrowników, dostawić do Petersburga. — W jesieni piaski z siedmiu fabryk szły do Moskwy pod mojem nazwiskiem, a w końcu grudnia sam wyruszyłem do Moskwy.

Tym razem miałem zamiar przez czas dłuższy w Moskwie zabawić. Chciałem trochę bliżej poznać towarzystwo moskiewskie i w tym celu pojechałem zaraz nazajutrz z wizytą do Martynowa — tego samego, który zabił w pojedynku poetę rosyjskiego Lermontowa, a którego żona, Polka, była nawet daleką

moją krewną. Nie dalej, jak we dwa lub trzy dni po mojej wizycie, znałem już całe bawiące się towarzystwo moskiewskie. Jenerałem gubernatorem moskiewskim był wówczas Zakrzewski, którego córka, rozwódka po hr. Nesselrode, była jedną z pierwszych dam tej drugiej stolicy. Jak zawsze, walka między dwoma stolicami i tu była widoczną. Szczyciła się Moskwa swoim patriotyzmem starorosyjskim, tak czułym dla Napoleona I, szczyciła się swą cywilizacją własną, »zgnilizną zachodnią« jak się wyrażano, nie przesiąkniętą. Wszyscy, którzy wpadali w niełaskę cesarza Mikołaja, osiedlali się w Moskwie, by niby zerwać ze służalcami petersburskimi, a obierali za miejsce pobytu Moskwę, jako siedzibę opozycji przeciwko wszystkiemu, co tchnęło Petersburgiem. Pośród tych malkontentów byli może ludzie o charakterze niepodległym, jak np. ówczesnie w Moskwie mieszkający Jermołow i kilku dawnego typu bojarów rosyjskich, nie sympatyzujących z despotyzmem cesarza; ale byli również tacy, którzy udawali malkontentów tylko z tego powodu, że nie doznawali powodzenia w osiągnięciu łaski monarszej.

W każdym razie większą tu była swoboda w życiu, większą wesołość w rozrywkach, które nie polegały na zajmowaniu się dworskimi wiadomościami. Życie literackie, pomimo represyi cenzuralnych za czasów Mikołaja, ogniskowało się wszakże swobodniej niż w Petersburgu, dokoła kilku wybitniejszych ludzi z inteligencji moskiewskiej, jako to: Samaryna, Aksakowa; a grunt panslawistyczny był niby tym małym otworem, przez który światelkom cywilizacyjnym od czasu do czasu przekradać się wolno było.

Rząd spoglądał na tych kilku panslawistów, zamieszkałych w Moskwie, jak najobojętniej, usuwał ich wszakże od służby, jako przedstawicieli dość jawnej opozycji przeciwko żywiolowi niemieckiemu, który, nadpływając z prowincyi nadbałtyckich, otaczał dwór petersburski, najwytrwalej służąc systemowi mikołajowskiemu. Rząd zachowywał się jednak względem tych kilku panslawistów oględnie, pielęgnował w nich bowiem ten niby sekret leczniczy, do którego się jak najstaranniej uciekał, gdy chodziło o rozbudzenie despotyzmem uspiionych uczuć patriotycznych. W nich rząd znajdował hasło do wojny, zawsze występując za czasów Mikołaja w obronie niby prawdy

religijnej. To pomieszanie panslawizmu z religią prawosławną w Moskwie dokonane, dopiero później ekliwość sprawiło; nie znano ówczesnie tak dobrze panslawizmu, by programowi jego przypatrzeć się można było.

Panslawizm był za czasów Mikołaja ogniskiem opozycji, a zatem miał w sobie ten niby urok niezależności, t. j. to, z czem uczucie liberalne sympatyzować zwykło. To też i Polacy mogli uważać panslawizm za kierunek dla nich przychylny: pewni literaci nasi otwarcie z nim sojuszu pragnęli, ale większość o żadnem połączeniu, w jakiejkolwiek postaci, słyszeć nie chciała. Znanem jest to oburzenie, jakie ściągnął na siebie Michał Grabowski zaznaczeniem w swych pismach tendencji panslawistycznych. A gdy podczas wojny krymskiej przechodziły przez Kijów wojska, naprędce z werbunkowych, *opółczeńcami* zwanych, złożone i z nimi *opółczenię* moskiewskie, dowodzone przez Roztopczyna i obydwóch Aksakowych, tych samych panslawistów moskiewskich, zaproszeni na wieczór literacki do Michała Grabowskiego, który ówczesnie w Kijowie mieszkał, zdradzili się oni ze swem pojęciem i wiarą w jedyny panslawizm prawosławny. Wówczas Michał Grabowski, który był niezaprzeczenie gorliwym katolikiem, powiedział mi po ich odejściu: *Ze smutkiem wyznać muszę, iż od tak danna pozostawałem w błędzie; z ich panslawizmem sojuszu żadnego być nie może.*

To pewna, że pierwsze objawy panslawizmu w Rosyi przez inne pobratymcze narody przecenionymi były; nie spodziewano się bowiem napotkać w tem hasle, nawołującym do łączności, tę samą dążność zaborczą, która się w niem ukazywała w formie religijnej, — jedyne dla wszystkich Słowian prawosławia, a którą później znany w Rosyi literat Pypin tak snadnie wykrył. Łapczywość, że się tak wyrażę, panslawizmu moskiewskiego coraz bardziej poznawano, odkąd te zasady do polityki europejskiej wprowadzać poczęto. Zjazdy słowiańskie w Moskwie, przemówienie za Polakami Czecha Rygiera i drapieżna odpowiedź ks. Czerkasskiego, coraz to bardziej zapoznawały Słowian Europy ze złą wiarą pragnących dominowania Moskali. Wreszcie w czasach dzisiejszych jawne wystąpienie Rosyi w obronie niby Bułgary i wojna wypowiedziana Turcyi, spowodowały, zda się, w Europie zwrot w panslawizmie w kie-

runku innym, austriackim, obecnie przynajmniej liberalnym i lepszą rokującym przyszłość wyzwolonym.

Po wzmiankach o wyższem towarzystwie moskiewskiem, o objawach literackich wśród inteligencji, wypada z kolei wspomnieć o kupiectwie moskiewskiem. Stanowi ono niezaprzeczenie główne tło tej drugiej stolicy. W Moskwie centralizuje się handel cesarstwa wewnętrzny i zagraniczny. Handel skórami, futrami, żelazem; handel herbatą z Chinami znajduje się w rękach kupców moskiewskich. Zamożność ich uważają za pierwszorzędną w mocarstwie. Pomimo tak silnej pozycji finansowej, trzymają się oni ściśle obyczajów starorosyjskich, nie różniąc się niczem w życiu i w ubiorze od włościan Wielkorusyi. Mówiono mi o jednym z bogatszych kupców w Moskwie, który handel futrami prowadził z najodleglejszemi państwami i rozporządzał tak wielkimi sumami, że zwrócił na siebie uwagę jednego z domów handlowych angielskich. Dom ten, po dwudziestokilkoletnich stosunkach utrzymywanych z nim, przez kupca moskiewskiego z nadzwyczajną rzetelnością, wysłał do Moskwy swego delegata, by się bliżej z nim zapoznać i wejść w nowe, szersze jeszcze stosunki handlowe. Wysłany Anglik, znający język rosyjski, przybył do Moskwy, zebrał wiadomości, które go przekonały, iż ten kupiec futer był może sam osobiście daleko bogatszy, niżli wszyscy spółnicy angielskiego domu. Wybrał się więc pewnego poranku ów Anglik do kupca osobiście, aby się z nim o celu swej podróży rozmówić. Dorożkarz łatwo go zawiózł do kamienicy znanej w całej Moskwie firmy. Wszedłszy w dziedziniec, a napotkawszy, jak mu się zdawało, stróża w zwykłym kozuchu, w długich butach, z miotłą w ręku, zamiatającego podwórzec — zagadnął go Anglik dość z góry: powiedz mi, mój kochany, czy, i o której godzinie będę mógł widzieć właściciela kamienicy? Jakież było jego zdziwienie, gdy z odpowiedzi dowiedział się, że ów stróż domniemany był tym właścicielem! Kupiec nie zaniechał dawnego zwyczaju i sam około czystości swego obejścia zwykł chodzić. Usiadłszy z Anglikiem na ławce pod ścianą domu, w kilku słowach zakończył milionowy interes, który nadał z domem handlowym angielskim prowadzić zamierzał.

Sprawiedliwość oddać należy kupcom moskiewskim, że

są nadzwyczaj sumienni i rzetelni, mało mówią zwykle, lecz raz wyrzeczonego słowa nie cofają. Zasługuje na szczególniejszą uwagę stowarzyszenie sług z miasta Moskwy *artelą* zwane, do którego wchodząc, każdy wnosi nieznaczną kwotę pieniężną, jako ewikycę sumiennego wypełniania obowiązków służby, do której z polecenia *arteli* zaangażowany zostanie; służba z całego miasta, komisanci wszystkich sklepów pochodzą z tych *artelszczyków*, i nie było wypadku, żeby taki *artelszczyk* dopuścił się jakiegokolwiek nadużycia na swoim stanowisku. Dwa niby bodźce powstrzymują go od nadużyć: gwarancya pieniężna, gdyż kapitał z *arteli* z wkładek tych powstały ma szkodę właścicielowi wynagrodzić; po drugie — poręka kolegów, która, jako bodziec moralny, ma na nich wpływ nadzwyczajny. Ta zasada zachowania uczucia obowiązku, poszanowania praw właściciela, wprowadzona w życie przez stowarzyszenia *arteli*, oddziaływa również na cały handel; wielu bowiem z tych *artelszczyków*, używanych do usług handlowych, staje się czasem kupcami znacznymi i na własną rękę, a zasady poślubionej, jakby religijnie, trzyma się nadal, nie zarzucając przytem długich butów i czekmenu, jako stroju narodowego.

O kupcach, zmieniających strój i zwyczaje, w miarę zwiększania się ich majątku, mówią z największem oburzeniem. Miałem sam list polecający do jednego z takich kupców postępowych, niejakiego Aleksiejewa, który ówczesnie posiadał dość znaczny handel herbaty i cukru. W domu jego znalazłem nawet galerję obrazów, dosyć cennych, po której z widocznem zamiłowaniem mnie oprowadzał. Otóż o tym Aleksiejewie, jako niby o odszczepieńcu od wiary przodków, mówili mi inni kupcy z największem zgorzeniem, a odmową kredytu tak mu w interesach przeszkadzali, że musiał handel swój zamknąć i omal do zupełnej ruiny nie został doprowadzony.

Najmoźniejsi nawet kupcy moskiewscy muszą sami po kilka godzin dziennie w sklepie przesiadywać, herbatę pijać *w prykuskę* wspólnie z usługą sklepową, a do przestrzegania tych zwyczajów synów swych nakłaniać. Z tego powodu, gdy rozrywki światowe zakazane są młodzieży, musi ona gwałtowniej objawiać na zewnątrz swoją krewkość. Znane są w Moskwie hulanki t. zw. »synków kupieckich«; są one jak gdyby

wyłamywaniem się młodzieży z surowych przepisów obyczajowych, przyczem kaskadą leje się złoto.

Dlatego właśnie chóry śpiewackie cyganów największe mają powodzenie w Moskwie. Jest to muzyka dzika, jakby z rytmu muzycznego wyłamująca się, pozwalająca bez względu na takt, przeciągać lub gwałtowniej akcentować tony dla ucha sympatyczniejsze niby. W śpiewie używają cygani słów nadzwyczajnie czułych i swobodnych, więc w połączeniu z temi muzyka, jakby rewolucyjna, nadzwyczaj silnie oddziaływała na wyobraźnię młodzieży, która czuje nad sobą jak gdyby pręgierze surowości obyczajowej. Parę kieliszków szampana, zawsze przez tych cyganów przygotowanego, wystarcza takiemu skrzepowanemu »synkowi kupieckiemu« do dania ujęcia wesołości; a gdy już zerwie więzy przepisów obyczajowych, wpada łatwo, ma się rozumieć, w szal roz hulania, jak wszystko, co umiarkowania nie umie zachować, nawet w surowości obyczajów. Takie wieczory, spędzane u cyganów, tysiączne zyski im przynosić zwykły; nie też dziwnego, że te chóry cygańskie szczególnie w Moskwie przesiadywać lubią. Nie mogę przy tej sposobności nie wspomnieć również o poważnych rysach tej muzyki cygańskiej: jest ona pochodzenia węgierskiego i najbardziej znana w Peszcie, niby spokrewniona z czardaszem; używa ona tonów krańcowych, rzec można, do oddania melodyi zarówno rzewnych, jak skocznych. Liszt mówił mi, że ze wszystkich śpiewów, jakie w życiu słyszał, chór cyganów tylko sprawia na nim wrażenie niewypowiedziane wielkie.

Ponieważ po tygodniowym tym razem pobycie moim w Moskwie ceny cukru nie ustalały się, lecz stopniowo się podnosiły, w miarę otrzymywanych na giełdzie moskiewskiej wiadomości, które nadchodziły z Petersburga o nieuniknionem rozpoczęciu kroków wojennych na wiosnę, było zatem dla zainteresowanych w przemyśle cukrowniczym — rzeczą wielce ciekawą, czy po wybuchu wojny z Francją i Anglią, jako z dwoma mocarstwami silnemi na morzu, handel morski Rosyi powstrzymany będzie? Na giełdzie rozpuszczano pogłoski, że Rosya zawarła z Ameryką traktat, zapewniający, że nawet podczas wojny pawilon amerykański szanowany będzie, mączka zaś z kolonii amerykańskich ma i nadal do Rosyi, na okrętach amerykańskich, dochodzić. Inni zaś utrzymywali, że na wiosnę okręta

francuskie i angielskie rozpoczną blokadę portów bałtyckich i czarnomorskich, a konsumpcją cukru zaspakajac będzie produkcya wewnątrzna, co znacznie cenę cukru podnieść powinno. Wielu, w zapale, przypominało system kontynentalny Napoleona I, co spowodowało podniesienie się cukru do 120 rubli ass. za pud.

Te wiadomości zachęciły mnie do wstrzymania się ze sprzedażą moich cukrów i do co najspieszniejszego wyjazdu do Petersburga, by tam się lepiej z szansami tego handlu zapoznać. Po przybyciu mojem do Petersburga, udałem się co najprędzej do ministra spraw wewnętrznych Bibikowa, by się od niego dowiedzieć, w jakich stosunkach pozostanie Rosya z Ameryką w razie rozpoczęcia na wiosnę wojny z Francją i Anglią. Ponieważ Bibikow, dawny generał gubernator kijowski, zawsze dla prowincyi zachodnich miał pewne względy, przeto wyprawa moja z cukrami do Moskwy nadzwyczajnie go zajęła; po kilku dniach pobytu mego w Petersburgu, wezwał mnie do siebie, by mi oznajmić, iż przyjechał poseł amerykański — Seymour, zdaje się — by zawrzeć z Rosją układ, co do szanowania pawilonu okrętów amerykańskich w razie wojny z Francją i Anglią. Ostrzegł mnie przytem, iż najpewniej za dni kilka traktat ten z Ameryką zawartym zostanie, i że on sam, jako minister spraw wewnętrznych, wezwany przez cesarza do narady, za zawarciem tego układu głósuje. Byłoby rzeczą, powiedział mi, nadzwyczajnie dla Rosyan zgubną handlu z Ameryką zaprzestać; konsumpcya herbaty, wobec klimatu chłodnego jest dziś warunkiem prawie higienicznym dla mieszkańców Rosyi: nie tylko klasy zamożniejsze, lecz najuboższe nawet, bez herbaty obejść się nie mogą, a znaczne podniesienie się cen cukru, wskutek braku cukrów kolonialnych, uczyniłoby produkt ten dla klasy uboższej niedostępnym. Dla tych powodów układ z Ameryką zawarty będzie w interesie samej Rosyi. Ceny cukru jeszcze się trzymały wskutek tej niepewności, co podczas wojny stanie się z handlem morskim; ostrzeżony przez Bibikowa, nazajutrz zaraz wszystkie swoje cukry sprzedałem po cenach wysokich; a we dni kilka po dokonanej przezemnie sprzedaży, wieść o zawarciu traktatu z Ameryką obiegła giełdy rosyjskie i ceny mączki cukrowej spadły o pół rubla srebr. na pudzie.

V.

Wojna.

Kampania krymska: Przyczyna. — Pewność Rosyi. — Pierwsze niepowodzenia i powołanie rezerw. — Przemarsz przez Kijów. — Niedoleństwo rezerw. — *W Moskwie*: Podróże w interesach. — Wieść o śmierci cesarza i jej wrażenie. — Jermołow. — *W Petersburgu*: Zmiany w rządzie. — Sprawy polskie. — *Śmierć cesarza Mikołaja I.*: Złe nowiny wojenne. — Choroba i zgon. — Pogłoski i przypuszczenia. — Zwrot w polityce i negocjacje pokojowe.

Na wiosnę r. 1854 rozpoczęła się wojna krymska. Jakkolwiek rozmaite powody starano się dla niej wynaleść, wiadano przecież powszechnie, że wynikła ona z nieporozumień osobistych pomiędzy cesarzem Mikołajem a Napoleonem III.

Cesarz Mikołaj tak na ślepo wierzył w bagnet rosyjski, który mu przez jakiś czas zapewniał przewagę w sprawach Europy, że kiedy miał rozpocząć kroki nieprzyjacielskie, nawet względem dwóch tak silnych sprzymierzeńców, jak Anglia i Francya, odezwał się do jednego z posłów tych mocarstw: *Proszę to pamiętać, iż stawię milion wojska; poproszę — stanie drugi milion; każe — stanie trzeci*. Wiele było przesadnej i despotycznej dumy w tem przewidzeniu: prośba miała stanowić tylko drugi, niby podrzędny stopień potęgi; rozkaz dopiero miał posiadać tę moc nadzwyczajną, że nawet niechętnych miał powoływać do szeregów w obronie ojczyzny.

Kiedy zaraz na początku wojny wyszło na jaw, że wojska rosyjskie nie są wystarczające, by stawić opór sprzymierzonym, cesarz Mikołaj powołał do broni werbunkowych, »opółczenicami« zwanych. Miał to być niby ten drugi milion »uproszonych«, którzy przez patryotyzm za broń chwyтали, tymczasem brano żołnierzy tych przymusowo i tylko młodzież z wyższego

towarzystwa porzuciła obrane przez siebie zawody, by zostać dowódcami tych »opółceńców«. Znaną jest rzeczą, iż cesarz Mikołaj wymagał od najbliższej jego stojących ojców rodzin, żeby synów swych w mundur wojskowy ubierali; hr. Bobryńskiego, którego jeden syn był wicegubernatorem stolicy, drugi zarządzał fabrykami cukru i był marszałkiem powiatowym w kijowskiej gubernii, trzeci zaś nie skończył jeszcze nauk, zapytał cesarz Mikołaj z pewną ironią: *Cóż twoi synowie, dobrze cukier fabrykują?* Ta, jak gdyby wymówka uczyniona ojcu, sprawiła, że po dniach kilku wszyscy trzej jego synowie w mundur wojskowy się przybrali.

Przez Kijów szły te hufce, naprędce zebrane, a rzekomo już z dyscypliną wojskową obeznane. Nakazano wszędzie jak najokazalej przyjmować te wojska, które niby przez patryotyzm skupiły się pod sztandarem. Wezwany byłem i ja wspólnie z innymi obywatelami do Kijowa, by tych »opółceńców« jak najgościnniej podejmować. Miasto podejmowało żołnierzy, obywatele — oficerów i dowódców. Składkowe obiady powtarzały się bez ustanku w miarę przemarszu przez miasto wielkorusyjskich oddziałów, przyczem odbywały się rewie. Przez całe lato byliśmy zajęci przyjmowaniem i odprowadzaniem tych wojsk w naszej gubernii.

Jaką zaś korzyść wojska te przyniosły w bitwach, w których je użyto, późniejsze fakta najlepiej tego dowiodły. Nie byli ci wolontaryusze obeznani z wymaganiami służby wojskowej, nie przywykli do żadnej dyscypliny, a co gorsza, zaopatrywano ich w broń najgorszą, którą w pośpiechu wydobywano z arsenałów, gdzie ją niegdyś, jako nieużyteczną już, złożono. W kilku potyczkach dowiedli oni, iż na żadną pomoc z ich strony w wojnie liczyć niepodobna. Powiadano, że pewien generał francuski widząc ich w boju, kazał żołnierzom swoim zaprzestać strzelać do nich i szarżę powstrzymał, twierdząc, iż jest rzeczą niehumanitarną i z honorem wojskowym niezgodną strzelać do bezbronnych; następnie uprosił generał dowódcę tego oddziału wolontaryuszów, aby ich na rzeź pewną nie prowadził.

Już w jesieni tego roku (1854) było rzeczą wiadomą, że wojska rosyjskie doznają wielkich niepowodzeń. Pod Bałakławą ginęły tysiące, o żadnej zaś negocjacji pokojowej cesarz Mikołaj słuchać nie chciał.

W grudniu tego roku wyjechałem znowu do Moskwy z cukrami, a ponieważ transporta ich były tym razem znacznie-sze, gdyż oprócz moich własnych, szły jeszcze pod moim nazwiskiem i inne, z cukrowni sąsiadów lub dobrych znajomych, przeto część tych cukrów sprzedawszy, a na resztę wzięwszy zaliczkę, powróciłem do Kijowa na kontrakty, by rachunki z sąsiadami mymi załatwić i przywieźć im część pieniędzy potrzebnych dla zaspokojenia interesów kontraktowych. W końcu lutego powróciłem znowu do Moskwy, aby dokonać sprzedaży i reszty produktów, które przewożone końmi, nie prędko mogły dojść do Moskwy.

Po czterodniowej, nadzwyczaj uciążliwej podróży, przyjechałem do Moskwy przed południem i zaraz przy wjeździe dostrzegłem w mieście ruch niezwykły: konni żandarmi, policya, wojskowi, wszyscy w pełnych uniformach krążyli po całym mieście, a w środku jego spotkałem policmajstra, pędzącego z oddziałem wojska; dojechawszy do hotelu, zapytałem na wstępie, co by ten ruch nadzwyczajny w mieście miał oznaczać? Odpowiedziano mi, iż właśnie w tej chwili powraca ludność Moskwy z cerkwi, gdzie składała przysięgę na wierność wstępującemu na tron po śmierci cesarza Mikołaja, jego następcy, Aleksandrowi II. Wilią tego dnia jeszcze nikt o tak nagłej śmierci cesarza nie wiedział; dopiero późno z wieczora rozesłano po mieście okólnik, wzywający ludność do składania przysięgi w soborze; przez całą noc w obawie rozruchów, chodziły po ulicach patrole, zaś przysięgę składano nazajutrz zrana w soborze, otoczonym przez wojsko. Mówiono, że dało się słyszeć kilka głosów za W. ks. Konstantym, lecz wnet je uprzątnięto; a wielki dzwon, który spadł z dzwonnicy, miał być złą wróżbą dla nowego monarchy. Tego dnia nie wyjeżdżałem z domu, ale nazajutrz wybrałem się do miasta, by w pewnych domach dowiedzieć się o wiadomościach, jakie nadchodziły z Petersburga. Wogóle Moskwa, jakem to wyżej mówił, zamieszkała przez niezadowolonych z panowania cesarza Mikołaja, dosyć dobrze była usposobioną dla następcy. W jednym z salonów, gdzie się zbierało wyższe towarzystwo stolicy — u pani Nesselrode — zastałem następującą rozmowę. Jeden z kilku gości dowodził, iż wszakże należy oddać sprawiedliwość cesarzowi Mikołajowi, że pomimo błędów w obranym przezeń systemie

rządzenia, postępowanie jego dowodziło, iż był to człowiek charakteru silnego i woli niezłomnej. Na to gospodyni domu, pani Nesselrode odpowiedziała: *Nie był to człowiek nawet charakteru, ale uporu, car le caractère prend sa source à la raison.*

Najpopularniejszą osobą w Moskwie był Jermołow, stary generał, jeden z jawnych nieprzyjaciół cesarza Mikołaja. Ponieważ codzień wysyłano z miasta delegacye do Petersburga dla nawiedzenia zwłok zmarłego monarchy, pracowano bardzo nad tem, by Jermołow, zapomniawszy dawnej urazy, jaką miał do panującego, zechciał wyjechać do Petersburga dla oddania czci zwłokom cesarza Mikołaja. Dostyc długo Jermołow nie zgadzał się na ten wyjazd, wreszcie rozeszła się po mieście pogłoska, iż nazajutrz rannym pociągiem ma jechać Jermołow do Petersburga, a całe miasto miało go na kolej odprowadzać. Ponieważ zamierzałem wyjechać do Petersburga, aby się dowiedzieć, czy ze zmianą monarchy, nie należy się i Polakom poprawy losu spodziewać, obrałem na wyjazd dzień wyjazdu Jermołowa, aby być świadkiem odprowadzania przez całe miasto osoby, która miała w Moskwie wpływ stanowczo silniejszy od panującego. Tłum na dworcu kolejowym był tak liczny, iż zaledwie z trudnością przecisnąć się do kasy można było. Przybyli na dworzec mieszkańcy Moskwy z różnych warstw społecznych, a najwięcej się wyróżniali i jakby najgłośniej się zachowywali mieszczanie w strojach rosyjskich. Widziałem, jak Jermołow niby szukał kogoś z przybyłych na dworzec — wreszcie skinął ręką na kogoś wśród tłumu i na ten znak wyszedł starzec z siwą brodą, w długich butach i w czekmenie, którego Jermołow uściskał najserdeczniej; było to pożegnanie, które widocznie na tłum działało, a świadczyło o popularności Jermołowa, gdy ten tak wysoki dygnitarz państwa z najprostszym z ludu po bratersku się żegnali. Nie słychać było, by tytułowano Jermołowa, a kiedy pociąg ruszał, żegnano go, wołając nań po imieniu jego i jego ojca, jak to jest we zwyczaju u Rosyan. — We 24 godziny dojechaliśmy do Petersburga. Na stacyi czekał powóz dworski, który miał Jermołowa do pałacu cesarskiego odwieźć; a przyjazd jego i jak gdyby pogodzenie się z trupem cesarza Mikołaja, jak mi mówiono, miały wyrzucić na mieszkańców stolicy bardzo przyjemne wrażenie.

Miałem w Petersburgu kilku znajomych Polaków, którzy służyli przy ministrze dla spraw polskich, a ponieważ chciałem być jak najbliższej osób obeznanych ze zmianami, jakich w rządzie oczekiwać wypadało, przenieśliem się do ich mieszkania; a tak mieszkając w pałacu rządowym ministerstwa dla spraw polskich, mieliśmy co dnia wiadomości od ministra Turkułła, jakoteż od innych osób, o zmianach, które rokowało Polakom wstąpienie na tron cesarza Aleksandra. Wszyscy już wiedzieli, że ministrowie Kleinmichel i Bibikow nie pozostaną na swych stanowiskach: obadwaj jeszcze za życia cesarza Mikołaja przeciwko następcy tronu występowali. W dzień wyznaczony na przedstawienie się ministrów, cesarz Aleksander Bibikowa ominął i ten w kilka dni później podał się do dymisji; Kleinmichel zaś na audyencji chciał chwycić cesarza za rękę, by ją uściśkać, jak gdyby przeprasząc za swe dawniejsze postępowanie, ale cesarz rękę swą cofnął, co zapowiadało niełaskę i Kleinmichelowi.

Obejście się z naszym natomiast ministrem Turkułłem było jak najłaskawsze, a ponieważ cesarz, będąc jeszcze następcą tronu, nieraz stawał w obronie Polaków, zdawało się nam przeto, iż co do nas, mogliśmy sobie rokować zmiany na lepsze. Wkrótce rozeszła się wiadomość, iż cesarz Aleksander, po podróży do Moskwy ma wyjechać i do Warszawy. Rachowano na jakieś szczególne łaski, które miał z sobą przywieźć. Trudno się było dowiedzieć, co zamierzał cesarz; co do mnie, gotówem był wierzyć, że stałego projektu sam żadnego nie miał. Kazano wszakże nam wierzyć, iż niby osoby wpływowe powstrzymywały cesarza w zamiarach względem nas nadzwyczaj liberalnych, i że prawie nakazano mu powiedzieć te słowa, które tak niemiło w uszach Europy się odezwały: *point de révéries*. Że żadnego projektu opracowanego cesarz Aleksander dla Polaków nie miał, tego dowodzi już dziś system, który cesarz przyjął podczas swego panowania, a wskutek którego inicjatywę do wszelkich projektów pozostawia komitetom lub osobom *ad hoc* wezwanym; że zaś usposobienia dla nas był jak najlepszego, o tem świadczą wypadki aż do roku 1863, odkąd dopiero w losach naszych tak gwałtowna miała zajść zmiana.

O śmierci prawie nagłej cesarza Mikołaja różne krążyły wieści po Petersburgu. Wiedziano, że od pewnego czasu był gwałtowniejszy niż zwykle; niepowodzenia, jakich wojska rosyjskie doznawały na Krymie, ogromnie go oburzały; każda wiadomość o nowej przegranej odchorowywał. Kiedy na parę dni przed śmiercią otrzymał depeszę z zawiadomieniem, iż w Moskwie do pociągu wsiada kuryer, który mu wiezie wiadomości z Krymu, w oczekiwaniu nań przez 20 godzin oka nie zmrużył i był prawie w gorączce. Cesarzowa i cała rodzina przesiedziały noc całą w sąsiednim salonie. Cesarz pokarmu prawie żadnego przyjmować nie chciał; wieczorem posłano mu herbatę przez jedną z frejlin, którą dość lubił; wszakże kiedy dostrzegł, iż trochę herbaty przelało się na spodek, czego i dawniej nie znosił, uniósł się tak gwałtownie, że ręką uderzył w tacę i podbiwszy ją w górę, omal nie wytrącił z rąk frejliny całego serwisu. Gdy wszedł wreszcie do pokoju kuryer, który przywiózł z Krymu wiadomości o cofaniu się wojsk rosyjskich, cesarz wziął go za rękę i zaprowadziwszy do stolika, na którym leżała mapa Sewastopola ze szpilkami różnokolorowymi, utkwionemi w punktach, w których stały pułki, noszące mundury tych samych kolorów, co główki szpilek, kazał mu cesarz przestawić szpilki odpowiednio do ostatniej sytuacji wojsk. Zaledwie jednak fligeladjutant, zdaje się Sobolew (który był w charakterze kuryera) wziął jedną szpilkę, oznaczającą pułk dragonów, który w ostatniej potyczce się cofnął, i chciał ją przestawić na odległość dalszą od nieprzyjaciela, mówiąc przytem, iż pułk ten w tym a tym dniu się cofnął, cesarz Mikołaj uniósł się ogromnie, chwycił za barki Sobolewa i krzyknąwszy: *Kłamiesz! wojska moje się nie cofają!* — tak nim silnie w drzwi rzucił, że te się otworzyły z łoskotem i kuryer obejrzał się w drugim pokoju, gdzie cała rodzina cesarska zgromadzoną była i poczęła go uspakajać.

Nazajutrz po tym wypadku biuletyny zaczęły ogłaszać, iż stan zdrowia Najjaśniejszego Pana jest niezadawalniający; drugi biuletyn oznajmił w południe, iż stan ten się pogorszył; trzeci, wydany ku wieczorowi, zapowiadał groźące niebezpieczeństwo — zdaje się, że ten ostatni biuletyn wysłany był już po zgonie cesarza Mikołaja i z obawy rozruchów ukrywał prawdziwy zgon panującego.

Krażyły pogłoski, że cesarz Mikołaj się otruł, nie chcąc przeżyć wypadków krymskich, które przy dłuższem życiu cesarza Mikołaja najpewniej inny obrót wziąć mogły. Za panowania swego oddany li tylko musztrom, które w jego pojęciu stanowiły o całej sile państwa rosyjskiego, przejęty nawskróś militaryzmem, który niedawno jeszcze doznał pewnego powodzenia przez skuteczne wsparcie Austrii w wojnie węgierskiej, przyzwyczajony do odgrywania ważnej roli w polityce państw ościennych i zaślepiony w sile i powadze moskiewskiego bagnetu — cesarz Mikołaj nie mógł przeżyć niepowodzeń wojny krymskiej. Wyjście z tej sytuacji było dla cesarza Mikołaja niemożliwe. Dotknął osobiście Napoleona III, opierając się nazwać go *mon cousin*, czego cesarz Francuzów żadną miarą przebaczyć nie mógł; również cesarz Mikołaj zachwiany został w swej wierze w siłę i jak gdyby nieomylność wojsk moskiewskich, których ćwiczeniom całe swe życie poświęcił.

Nie wiadomo, jakiby był koniec wojny, gdyby nie śmierć cesarza Mikołaja, która naraz ujęła wszystkich trudności do zakończenia wojny krymskiej w sposób najłagodniejszy. Cesarz Aleksander nie szczędził wszelkich kokieterii dla zażegnania obelgi wyrządzonej Napoleonowi; w następnym roku rozpoczęto negocyacje pokojowe, a grzeczność dla Napoleona posunięto do tego stopnia, iż zgodzono się na Paryż, jako na miejsce zjazdu obradujących — rzecz rzadka w historii, iżby stolica jednego z państw wojujących obroną była za punkt, przeznaczony na kongres państw zaproszonych do udziału w negocyacjach. Reszty dokonały osobiste — dyplomatyczne i towarzyskie — zalety hr. Orłowa, który salony paryskie przychylnie dla Rosyi usposobił. Zatopienie floty czarnomorskiej zdało się być warunkiem dogadzającym Anglii; Paryż zaś zadowolił się tryumfem sztandarów francuskich, obniżeniem wartości bagnetu moskiewskiego i śmiercią Mikołaja, osobistego nieprzyjaciela Napoleona III, uwielbianego ówczesnie we Francyi.

VI.

Nowa era.

Powien wolności: Pirogow kuratorem. — Samorząd studencki i awantury. — Wybory szlacheckie, obiór na dyrektora Banku. — Prośba do Cesarza o wykład języka polskiego. — Reflexye. — *Wypadek*: Przygotowania do przyjęcia Alexandra II w Kijowie. — Zaniechana wyprawa i niemoc. — *Reforma włościańska*: Za przykładem Litwy. — Komitet gubernialny. — Wybór na deputowanego. — Skład komitetu. — Włościanie w Rosyi a w Polsce. — Polacy i reforma. — Program rządowy, regulamin, komisya redakcyjna, obrady. — Pierwsze zasadnicze uchwały. — Uwłaszczenie. — Koniec obrad i dalsze losy projektu. — Zmiana po 1864 r.: czyny i słowa.

Po zawarciu pokoju z Francją i Anglią, zaczęły się pojawiać w Rosyi liberalniejsze rozporządzenia rządowe. Na stróżów oświaty powoływano zaczęto ludzi, znanych w nauce. Uniwersytet kijowski wyjęto z pod władzy jenerała-gubernatora, a na kuratora powołano znanego chirurga Pirogowa. Ta gwałtowna zmiana systemu władzy nie mogła nie spowodować objawów również gwałtownych i wśród podwładnej młodzieży. Pirogow jak gdyby narzędziem chirurgicznem przeciął węzły, które trzymały dawniej ład wewnętrzny na uniwersytecie. Wezwał młodzież do sali i oznajmił, iż studenci mają nadal sami przestrzegać porządku uniwersyteckiego; wszelkie postępowanie naganne studenta miało być odtąd karcone przez kolegów, za wyrokiem sądów, obieranych z łona studentów.

Uniwersytet cały podzielił się w tym celu na gminy, których było kilka: ukraińska, litewska, kongresowa, małoruska, rosyjska — ta najmniej liczna. Gminy te tworzyły odrębne korporacje, mające prawo powoływania przed sąd swój winnych; jednocześnie jednak przywłaszczyły sobie prawo korporacyjnej obrony honoru studenckiego. Studenci odwoływali się do obrony

koleżeńskiej nawet w zajściach osobistych. Gminy, które połączyły w swoim ręku władze sądowniczą i egzekucyjną, przystąpiły pewnego razu do egzekucyi, przyznać trzeba, nagannej: napadnięto wychodzącego z teatru, bezbronnego pułkownika Brynkina, który miał podobno jakieś zajście ze studentem. Dla zbadania tej sprawy zawezwano ze stolicy fligel-adjutanta; ale na dowód jak nieśmiało rząd zachowywał się ówczesnie wobec ruchów wśród młodzieży uniwersyteckiej — wyznaczono fligel-adjutanta hr. Bobryńskiego, syna właściciela ziemskiego z gub. kijowskiej, a który mając pewien mir u naszego obywatelstwa, już przez to samo niby miał sprawę złagodzić. Niezgrabne nadzwyczaj prowadzenie śledztwa przez niedoświadczonego, młodego fligel-adjutanta narażało go na figle studenckie, które go ogromnie depopularyzowały w łonie obywatelstwa. Skarżył się publicznie, iż prawdy dojść nie może, że studenci w maskach dopędzają konno dorożkę, wiozącą kolegę ich do sądu i dyktują mu, co ma odpowiadać przed sądem. Ponieważ ówczesnie był wielki zjazd w Kijowie z powodu wyborów, a byli też i rodzice skompromitowanej młodzieży, wywarło więc na fligel-adjutanta nacisk tak silny, że sprawa Brynkina, przeciągnęła się bezkarnie, a wreszcie zupełnie upadła.

Były to już przedostatnie tak zwane »wybory szlacheckie«, czyli zjazd mających prawo głosowania obywateli z 12-tu powiatów gub. kijowskiej. Każdy, kto posiadał więcej niż 100 »dusz« (ówczesnie tak obliczano własność ziemską), a miał przytem dyplom naukowy, lub służył rządowo czy z wyboru — stawał do głosowania. Ci zaś, którzy nie posiadali 100 »dusz«, mieli prawo tworzenia głosu zbiorowego na każde 100 »dusz«: był to więc minimalny cenzus, dający prawo elekcyjne. Zjazd ówczesny, rzec można, odczuwał już to, że pewne swobodniejsze cechy towarzyszyły nowemu rządowi i nowym zamiarom Alexandra II. Okres trzyletni obowiązywał obieranych: marszałków, sędziów, podsędków i innych sprawujących urząd powiatowe. Gubernia zaś wotowała na marszałka gubernialnego, prezesów i deputowanych Izby cywilnej, na kuratora honorowego zakładów naukowych i na dyrektora, z łona obywateli, do filii Banku Państwowego w Kijowie. Nie mając lat 30 i nie będąc żonatym, wyznaję, iż nie miałem jeszcze chęci przyjmowania na się obowiązków urzędowych, czułem bowiem dobrze,

iż przekonanie o należytem spełnianiu wobec obywateli przyjętych obowiązków górowało we mnie (i to już mi pewnego zachowania w gronie obywateli nadawało). Wszakże ku końcowi tych wyborów, kiedy szło o wybranie z łona obywateli jednego z dyrektorów do filii Banku Państwowego w Kijowie, oznajmiono mi, iż nazwisko moje znajduje się w urnie wyborczej, i że mam iść w zapasy z drugim pretendensem do tej godności — Antonim Złotnickim, dymisyonowanym pułkownikiem gwardyi, mającym również zachowanie w gubernii. Już to że dyrektorowie Banku obieralni nie mieli stale mieszkać w Kijowie, zajęcia ich bowiem nie były stałe, ile li tylko nadzorcze, i wystarczyło razy kilka do roku przyjechać do miasta i to na czas krótki; już to że trafić do urny gubernialnej człowiekowi w moim wieku było zaszczytem dość znacznym, i bardzo mi się chciało ówczasnie przekonać, ile mogłem mieć głosów w gubernii przychylnych sobie; już to że w razie zwycięstwa mego współzawodnika nie miałbym do niego żalu, bo był to mój daleki krewny, którego powodzeniem cieszyłbym się — zdecydowałem się czekać na skutek głosowania. Po wotowaniu obliczono głosy, i okazało się, że my obadwaj mieliśmy jednakową ich ilość i dosyć znaczną. Szło więc teraz o rozstrzygnięcie między nami, na węzełki, który z nas ma otrzymać pierwszeństwo. Los i tym razem mi dopisał, gdyż z dwóch końców chustki, podanej mi przez Antoniego Złotnickiego, wyciągnąłem koniec zawiązany, i wskutek tego zostałem przedstawiony do władz rządowych jako kandydat na posadę dyrektora Banku. Powróciwszy na wieś, po dwóch miesiącach pobytu, otrzymałem wezwanie jechania do Kijowa, wspólnie z innymi obywatelami, na otwarcie korpusu kadetów, wzniesionego kosztem niemałym, z udziałem obywatelstwa naszych trzech gubernii. Na obiedzie, danym przez władze w sali korpusu, na którym było wielu przyjezdnych i miejscowych gości, podszedł do mnie generał-gubernator ks. Wasylczykow, tłumacząc się, iż zatwierdzić mię na posadzie dyrektora Banku nie może, pomimo jego życzenia, a to z powodu, iż według prawa na tę posadę obranym li tylko taki być może, któryby już ukończył trzyletnią służbę na jakiej innej posadzie, ja zaś przedtem na żadnej takiej służbie rządowej nie byłem; Antoni Złotnicki, jako dymisyonowany pułkownik gwardyi mógł być zatwierdzonym.

Już podczas tych ówczesnych wyborów czuć się dała ła godniejsza ręka nowopanującego Aleksandra II. Ponieważ zaś obywatelom podczas kadencji wyborczych przysługuje prawo zanoszenia prośb wprost do Cesarza, bez pośrednictwa lub sankcyi władzy miejscowej, uchwalono więc prosić Najjaśniejszego Pana o dozwolenie wykładu języka polskiego w zakładach naukowych naszych prowincyi. Sprawa ta, która za panowania cesarza Mikołaja I, uważanąby była za występki, przeszła tym razem bez najmniejszej przeszkody ze strony władzy miejscowej. Zwykle w sali wyborów jest miejsce, przeznaczone dla prokuratora ze strony rządu, który ma za obowiązek ostrzegać koło marszałkowskie, w razie gdy na sali powstaje myśl niezgodna z prawem lub widokami rządu; tym razem prokurator zachował się biernie, co dało możność obrania Komisji dla zredagowania prośby do cesarza, z włączeniem do tej prośby i artykułu o wykładach języka polskiego. Jak liczny był udział Polaków w wyborach obywatelskich, dowodzi ta okoliczność, iż kiedy przeciwko temu projektowi powstał niejaki Beretti, architekt miejski kijowski i profesor uniwersytetu kijowskiego, zakrzyczano go tak gwałtownie, iż musiał zamknięty wyjść z sali. Inni rosyjscy obywatelowie, a było ich niewielu, zachowywali się dość oględnie, i redakcyi prośby dokonano. Szło już teraz o wzięcie tej prośby w ręce i o odwiezienie jej w towarzystwie dwóch obywateli na pocztę. Był to również krok uważany dawniej za śmiały, który najpierwej miał narażać na ogromną odpowiedzialność odnoszącego prośbę na pocztę, jeśli w tej prośbie mogło się zawierać coś przeciwnego przepisom rządowym. Powszechnie tę misję przyjmował na siebie obywatel z powiatu radomyskiego, zamożny szlachcic Wierzbicki, ojciec dwunastu synów i wielu córek. Mały, niskiego wzrostu staruszek wyprostowywał się, szedł do koła marszałkowskiego, przyjmował do rąk własnych prośbę zaadresowaną na imię cesarza, i w towarzystwie dwóch współobywateli odwoził ją na pocztę. W obawie, iż ostrzeżona poczta mogłaby nie przyjmując takiej koperty, oczekiwano powrotu wysłanych i dopiero po przeświadczeniu się, iż celu dopięto, rozchodzono się spokojnie do domów, by nazajutrz przystąpić do czynności elekcyjnych.

Wybory 1858 r. były zatem pierwszym objawem swobodniejszego systemu, który miał zapanować w życiu obywateli naszych prowincyi, a wyswobodzenie się z odrętwiałego systemu Mikołaja I, nie mało przyczyniło się do chętniej inicjatywy w wyswobodzeniu włościan, do czego w parę lat później przystąpiono. Ale aczkolwiek, gdy piszę te pamiętniki, już sporo po trzech i pół krzyżykach od czasu, kiedy owe zmiany w systemacie despotycznym zachodziły, widząc dziś, jakie smutne czasy dla nas nadeszły i przez jakie niezasłużone przechodzimy prześladowania, nie możemy sobie i dziś jeszcze zdać jasnej sprawy z tego, w jakim celu chciano nam Polakom hasło swobody ogłosić? I dziś, tak samo jak ówczesnie, rozumiemy, iż conajmniej chciano nam dać konstytucyę, coś nakształt regulującej stosunek nadbałtyckich prowincyi ze stolicą (dziś i ten przywilej nadbałtyckich prowincyi rusyfikują), ale czy Alexander II mógł przypuszczać, iż do Rządu o formie despotycznej da się przyłątać część kraju z tradycyą inną, cywilizacyą ówczesnie bezwątpienia wyższą, i czy mogłaby podobna forma zarządu Polaków ostać się, nie nawołując Moskali do upomnienia się o szersze prawa, niżli — być to może — na to zasługiwali? Sprzężenie dwóch tak różnych pierwiastków w jedno było nie tylko zadaniem trudnem, ale i niemożliwem. Sporo inteligencji wyższej z pośród samych Rosyan, przeczuwając, iż nas powołują do ukształtowania się politycznego na zasadach liberalnych, przeskakiwali ze swego obozu do naszego pod pozorem sympatyi słowiańskiej; nawet mówiono, że Katkow, ten później zawzięty nasz nieprzyjaciel, chętnie w początkach traktował z organizatorami naszej lepszej przyszłości. Bądź co bądź od r. 1858, t. j. od ówczesnych elekcyi rozpoczęły się u nas prace i starania około przyszłości jaśniejszej, pomimo iż nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, ku czemu dążyć mamy.

Już na jesień tego roku zapowiedziany był przyjazd cesarza do Kijowa. Przygotowywano się do solennego przyjęcia; i ja zostałem wezwany przez gubernialnego marszałka, Jarszyńskiego, do zajęcia się wspólnie z marszałkiem wszystkiemi przygotowaniem do przyjęcia cesarza.

Już miałem na wsi rzeczy upakowane do podróży poczto-

wymi końmi do Kijowa — ówczas bowiem kolei żelaznych jeszcze nie było — i miałem zamiar pojechać tylko na chwilę do wsi Regimentarzówki, gdzie wspólnie ze szwagrem moim, Krasieńskim, mieliśmy cukrownię, by wydać ostatecznie rozporządzenia na czas wyjazdu mojego z domu. Kazałem zaprządź do bryczki parę koni, przygotowanych też dla miasta Kijowa. Konie stały czas jakiś na stajni bez ruchu i tak się rozpały i rozswywoliły, że dano mi znać ze stajni, że rady im dać trudno. Ponieważ ówczas, za pańszczyzny jeszcze, było we zwyczaju trzymać mnóstwo służby po domach i kozaków po stajniach, kazałem, iżby konie zaprzężono i przyprowadzono w rękach kozaków na dziedziniec. Tym sposobem podprowadzono konie pod ganek, a ja wsiałem do bryczki. Wziałem lejce orczykowego konia do rąk, a furmanowi kazałem trzymać tylko lejce »ohłoblowego« konia (był to zaprząg niby dorożkarza rosyjskiego); zdało mi się, iż we dwóch parę koni utrzymać potrafimy. Koń w »ohłoblach«, ze stadniny Jenina, był nadzwyczaj krnąbrny, najbardziej dokazywał i był do unoszenia skory. Stadnina ta odznaczała się zawsze tą wadą charakterów koni, lecz ponieważ były nadzwyczaj silne, muskularne, wiele miały krwi wschodniej w sobie, kupowano więc je chętnie; lecz nawet wojskowi nabywali je ostrożnie, z powodu wad powszechnie znanych. Drażkowy koń był ze stadniny Łopuchina po krakusie Sanguszki; ładny koń, bardzo pięknie chodził w zaprzęgu i później jeszcze przez lat kilkanaście był wierzchowcem doskonałym. Otóż kiedyśmy wsiedli i lejce wzięli do rąk, kazałem kozakom odejść od koni, które wnet z miejsca nosić nas w kółko po dziedzińcu zaczęły. Bryczka, nadzwyczaj lekka, po dwóch lub trzech zawrotach wywraca się i my z furmanem zlatujemy na ziemię, wszakże konie zatrzymujemy. Stałem na nogach, ale wnet upadłem; spróbowałem drugi raz — tak samo na nogach utrzymać się nie mogłem. Zaniesiono mnie na rękach do łóżka; a doktorowie zrazu nawet cierpienia jasno określić nie umieli: zdawało im się, że nogę zwichnąłem, naciągali więc ją niemiłosiernie. Co raz to innych doktorów przywożono, jak to się na wsi zwykle dzieje. Za każdym razem zmuszano nogę do poruszeń w różnych kierunkach, co ból sprawiało; i na myśl, że noga w udzie złamana, żaden z doktorów nie wpadł. Po miesiącu dopiero, brat mój Konrad na polowaniu palca sobie odstrzelił; ucięto

mu go, a dla poświadczenia operacyi posłaliśmy do Kijowa po chirurga Kurdiumowa, który przyjechawszy na wieś i mnie obejrzał. Dowiódłszy doktorom miejscowym, iż mam nogę złamaną w udzie (*collum femoris extracapsularis*) kazał nadal wszelkich ruchów zaprzestać, ale nie można było już temu złamaniu zaradzić. Dziś takie złamania, jak mi mówiono w Paryżu, nadzwyczajnie łatwo się leczą; ówczasie tych środków nie znano, lecz zawsze nakładano gipsowe leszczoty, co przynajmniej zrośnięciu kości dopomagało. Od tego więc czasu musiałem chodząc nalegać trochę na prawą nogę; ale co mi największą przykrość sprawiało — to to, żem już nie mógł konno jeździć tak śmiało i pewnie, jak dawniej: uchodziłem za jednego z lepszych jeźdźców konno, a razu jednego, wobec bałagutów na berdyczowskim jarmarku jazdę moją konno uznano za najlepszą. Skoro uspokoił się trochę ból w nodze i mogłem wyjechać z domu, kazałem się zawieść do Kijowa do tegoż doktora Kurdiumowa, ażeby leczeniem dalszem mej nogi się zajął.

W styczniu i lutym 1859 r., podczas kontraktów kijowskich rozeszła się wieść, iż Litwa zaniósła do Cesarza prośbę o dozwole nie uwolnienia włościan od poddaństwa. Tedy i my również uznaliśmy za stosowne wystosować taką prośbę i w tym celu zbieraliśmy się u gubernialnego Marszałka na narady. Na zgromadzeniach tych nie brak było krzyków — w rodzaju np. niejakiego Pilichowskiego, obywatela z Berdyczowskiego, który był czas jakiś na wygnaniu z powodu, zda mi się, sprawy Konarskiego; nadzwyczaj krzykliwy jegomość ten żądał, by prośbę do Cesarza rozpocząć słowy: *Ideę wolności przyjmujemy z zapalem...* Po pewnym czasie uchwalono, by prośbę zbiorową, podpisaną przez Marszałków wystać do Cesarza, i w tym jeszcze roku przystąpiono do wyboru deputowanych, po dwóch z każdego powiatu, do Komitetu Gubernialnego, któremu miano przekazać opracowanie projektów do reformy włościańskiej.

Zjazdy obywateli naszego Czehryńskiego powiatu, odbywały się latem w Czehrynie. Tego razu zjazd ten był bardzo liczny, wyznać bowiem należy, iż myśl uwolnienia włościan od zależności poddańczej nabrała już podówczas odpowiedniej

powagi i wszyscy obecni na zjeździe obywatele chętnie kandydowali na deputowanego, mającego mandat do podpisania w ich imieniu aktu, wyzwającego włościan od poddaństwa. Trzy dni strawiono na naradach, ociągano się z wyborem deputowanego, ale po porozumieniu ogólnem, iż najliczniejszych zwolenników miałem ja mieć za sobą, obrano mnie i Karola Trypolskiego, ojca Żony mojej dzisiejszej.

W jesieni zjechaliśmy się w Kijowie, a było nas, po dwóch z powiatu, razem 24-ech, oprócz zaś tego dwóch z ramienia rządu wydelegowanych; prezesem naszym był gubernialny Marszałek — Oktaw Jaroszyński. Jakem już wyżej powiedział, z powiatu Czehryńskiego byłem ja i Karol Trypolski, z Czerkaskiego: Walery Florowski i Gustaw Macewicz, ze Zwienogradzkiego: Kaleński i Lucenko, z Humańskiego: hr. Bolesław Moszczeński i Włodzimierz Czarnowski, ze Skwirskiego: Józef Straszyński i Popowski, z Taraszczańskiego: Feliks Szostakowski i Piotr Lipkowski, z Wasylkowskiego: hr. Władysław Branicki i Hudyma, z Kaniowskiego: Zenon Hołowiński i Leon Modzelewski, z Lipowieckiego: Syroczyński i Tadeusz Bobrowski, z Berdyczowskiego: Maryan Wasiutyński i Julian Zaleski, z Radomyskiego: Alexander Horwatt i Kisłowski, z Kijowskiego: Włodzimierz Butowicz i Bolesław Rylski. Rząd ze swego ramienia wybrał też dwóch Polaków: hr. Adama Bierzyńskiego i Gaspra Kozakowskiego. O ile ówczesnie spodziewano się opozycji ze strony Rosyan, dowodzi i ta okoliczność, że w przeprowadzeniu reformy chciano widocznie oprzeć się przeważnie na poczuciach Polaków. W tym celu powołano do inicjatywy Litwę, a mandataryuszami rządowymi w komitetach gubernialnych byli Polacy. Jak się w początkach zachowywała większość wpływowych nawet Rosyan, widać ze śladów tej opozycji, które pozostały w samej organizacji włościańskiej.

Do czasów reformy, w wielu guberniach rosyjskich właściciele ziemscy pobierali znaczniejsze dochody nie z ziemi, lecz z włościan podwładnych przeważnie. W wioskach n. p. w pobliżu Petersburga i Moskwy, właściciele oddawali dzieci włościan, od najmłodszego wieku począwszy, na naukę rzemiosł, lub sposobili do służby dworskiej, kucharskiej np., by później,

za pozwolenie na przyjęcie obowiązku w stolicy, pobierać od osoby poddanego dość znaczny haracz. W guberniach znowuż Orłowskiej, Tulskiej, Kurskiej, gdzie ludność dość zdolna do robót ciesielskich, pozwalano wychodzić na roboty letnie do dalszych gubernii, pod warunkiem też dość znacznych opłat. Gubernia Czernihowska miała garbarzy, też pod takimi warunkami na zarobki wysyłanych. Był to więc terminowy niejako handel niewolnikami, w zasadzie zupełnie z prawem wieczystem zgodny, oparty był bowiem dochód nie na ziemi, lecz na osobie, nie terytoryalny, lecz pogłówny. U nas przeciwnie, dawniej jeszcze zaprowadzono t. zw. inwentarze, które regulowały stosunek z włościanami, oparty na pewnych wyrachowaniach: był to właśnie środek, użyty przez rząd austriacki, po nieszczęśliwych wypadkach galicyjskich, a to w tym celu, by okazać łagodniejszą niby rękę, o los poddanych dbała. Tradycya kraju naszego pamięta przedrozbiorowe czasy, kiedy za rządów polskich włościan traktowano inaczej. W naszych n. p. powiatach gdzie największa własność ziemska należała do Lubomirskich, poddani prawie żadnej pańszczyzny nie odrabiali: było obowiązkiem młodzieży iść raz do roku do miasteczka Śmiły, gdzie był główny zarząd dóbr osadzony, na dni kilka robót nieuciążliwych, najczęściej w ogrodzie, w cieniu drzew odbywanych. Za naszych jeszcze czasów opowiadają włościanie, iż młodzież uważała za przyjemność dla siebie tę wędrowkę do wesołego miasteczka, i chętnie na tę powinność spieszyła. Przywiązanie do gruntu, bez prawa przejścia do innych miejscowości, dopiero za czasów Katarzyny obowiązywać zaczęło.

To też my Polacy w tej reformie widzieliśmy powrót włościan do swych dawnych praw, które im za czasów polskich przysługiwały, i za główne zadanie mieliśmy, bacząc na ekonomiczne względy, wyszukiwanie nowych środków do rozwiązania tego problemu, bardziej w reformach finansowych, niżeli w powstrzymaniu porządku dawniejszego, t. j. obowiązkowej pracy włościan na gruntach folwarcznych.

Ponieważ na początku już prac komitetowych zakomunikowano nam program rządowy, którego ram ściśle przytrzymać się musieliśmy, uchwaliliśmy regulamin postępowania naszego w łonie samego Komitetu. Następnie wybra-

liśmy Komisję redakcyjną, z czterech członków złożoną, która zajmować się miała redakcją uchwał, większością głosów zapadłych. Do tej komisji wybrano mnie, Bobrowskiego, Szostakowskiego i Kozakowskiego. Program zajęć naszych składał się z rozdziałów, kolejnie pod dyskusję członków Komitetu poddawanych; uchwała następnie, większością głosów zapadła, stawała się dla wszystkich obowiązującą — wszakże, gdyby kto z mniejszości życzył swe zdanie wypowiedzieć, wolno mu było takowe zredagować i do protokołu większości dołączyć.

Pierwszy rozdział programu, orzekający o uwolnieniu włościan od zależności poddańczej, przeszedł jednogłośnie; z chwilą podpisania go i zatwierdzenia przez rząd, włościanin przestawał być czymś poddanym i stawał się równie wolnym, jak właściciel jego. Rozdział o nadaniu włościanom tytułu własności nad chałupami przeszedł również jednogłośnie: postanowiono oszacować ziemię, budynki zaś, na które najwięcej pracy własnej łożyli, postanowiono przekazać im bez wynagrodzenia.

Kiedy przystąpiono do dyskusji nad rozdziałem, orzekającym o stosunku włościan do posiadanej przez nich ziemi, wyszły na jaw dwa różne prądy w łonie Komitetu. Nad tym rozdziałem dosyć długo debatowano: jedni byli zdania, że i ziemię należy sprzedać włościanom na własność, i ci byli w mniejszości; większość zaś była zdania, że ziemię należy oczynszować, jako wynagrodzenie dla właściciela za użytkowanie nadziałów, posiadanych przez włościan. Co do mnie, to baczyłem na następne. Już przy uchwale oddania na własność sadyb zazaczyliśmy pogląd nasz na zasadę organizacji włościańskiej, t. j. że uznajemy uwłaszczenie włościan za najodpowiedniejszą podstawę do tej reformy. Wywłaszczając właścicieli z części ziemi, dajemy im możliwość rozporządzania indemnizacyjną sumą, jako kapitałem obrotowym, niezbędnym do prowadzenia gospodarstw na ziemiach folwarcznych. Przez śpieszniejsze rozwiązanie tej kwestyi interes właściciela o wiele na szwank narażonym być nie ma, zaś włościanie przez fakt jaśniejszy, dobitniejszy i prędzyszy uczują swą moralną i materyalną korzyść, a praca ich na-

bierze wartości, bardziej odpowiedniej ekonomicznym wymaganiom tej zmiany. Otóż już z powodu tych konsyderacji przyłączyłem się do mniejszości, zaznaczając, iż uwłaszczenie włościan, i to śpieszne, uważam za najodpowiedniejszą podstawę do tej organizacyi, i to w zdaniu mojem, dołączonem do protokołów, wypowiedziałem.

Następne rozdziały programu szły łatwiej, jako to: organizacya ludzi dworskich, gdzie według zdania mego, trochę nieodpowiednio postąpiliśmy, uchylając ich od uczestnictwa w nadziałach ziemi. Te nasze prace, przyszedłszy później przez decyzję łączną deputowanych z trzech gubernii, były przekazane komisji redakcyjnej w Petersburgu, gdzie zachowano niektóre nasze uchwały, jak tę, co do sadyb włościańskich n. p.; zaś odrzucono nasz projekt, co do ustalania nowej normy, podlegającej wykupowi. Rząd nakazał, aby dawna używalność ziemi, przez włościan posiadana, pozostawioną im była na wykup; część zaś takowej w takim tylko wypadku zwróconą ma być właścicielowi, gdy włościanie zrzeką się dobrowolnie jej kupna. Ta okoliczność była powodem do najróżnorodniejszych nieporozumień, do czego przyczyniali się sami urzędnicy, w których ręce cała regulacya włościańska przeszła po wypadkach 1864 roku.

Na początku załatwienie spraw włościańskich powierzono t. zw. mirowym pośrednikom, wybieranym z łona obywateli. Ludzie najlepszej wiary — w Czehryńskim np. Hubert Krasieński i Wincenty Dobrowolski, nie zrzekali się tych mandatów i chętnie te stanowiska zajmowali, — ułatwiali porozumienie się właścicieli z włościanami, i w większej części naszego powiatu nie tylko wykup lecz i separaty przy zobopólnej zgodzie obydwóch stron zainteresowanych przeprowadzono. Ale kiedy po wypadkach polskich 1864 r. rząd zaczął mianować swoich urzędników, najczęściej napływowych, nie znających miejscowych obyczajów i warunków, powstał taki zamęt, taka kurzawa najdziwaczniejszych pojęć i pretensyi wzajemnych, że trudno było już dojść do układów dobrowolnych ze stron obu; przeprowadzano też regulację, nakazaną z góry, często ekonomicznej strony reformy nie uwzględniając. Jedni tacy »mirowi«, o zachciankach socjalistycznych, dążyli do wywrócenia istniejącego porządku. U hr. Bobryńskich np. żądano zniesienia do

szczętu rafinerii cukru, i oddania ziemi z pod tego budynku włościanom. Znowuż u marszałka Taraszczańskiego powiatu, Szostakowskiego, chciano ogród obok domu, ze znacznym zaprowadzonym kosztem, zniszczyć zupełnie: drzewa zrąbać, wykarczować, i ziemię tę oddać włościanom. Podobnie u X-cia Sanguszki, na Wołyniu, chciano gospodarstwo leśne zniszczyć i ziemię wykarczowaną zwrócić włościanom. Wszystkiego zaś miano tego dopełnić, opierając się na prawie, że używalność dawniejsza, od wprowadzenia inwentarzy — podlega wykupowi włościan, i że zamiana gruntów dokonana być nie może. Mnóstwo powstało procesów, nieporozumień; i tylko po należytem, że się tak wyrażę, obdarcie właściciela, sprawę zażegnano zwykłe. Właściciel robił ustępstwa z sumy wykupowej, za resztę ziemi mu należnej, dodawał część ziemi darmo, tytułem nadatku procentu; suma indemnizacyjna redukowała się w ten sposób do 50% rzeczywistej należności, a często bardzo i niżej; i dopiero wtedy »czynownicy« się uspakajali. O separatach już wtedy mowy nie było. Kiedym przekładał gubernatorowi Kaznakowowi — który był o wiele lepszym od gubernatora Wołyńskiego, Czertkowa — iż separaty należałoby przeprowadzić, z szachownic bowiem w nieładzie, ekonomicznej przyszłości dla kraju nie można rokować, odpowiedział mi gubernator, że szachownice takie wartość majątku obniżają, instrukcyja zaś wyższa, jaką mają, każe na wszelkie sposoby ułatwiać Rosyanom nabywanie majątków od Polaków. Odpowiedziałem na to, że taka regulacyja odstręczyć tylko może kupca: jest to to samo, gdyby on mając dom w mieście, zechciał przedpokój lub wejście do domu sprzedać lokajom; którędyżby (chyba przez okno) wchodził do domu nabywca jego? Zapewneby kupców nie było na dom, w podobny sposób uregulowany. Te moje argumentowania o tyle gubernatora przekonały, iż kilka separatów, przymnie bronionych, zatwierdził.

VII.

O własnych siłach.

Przedsiębiorstwo: Dział majątkowy i dobra nabyte. — Cukrownia. — Kłęska. — *Cesarz w Białej Cerkwi*: Przyjęcie, prezentacye. — Polowanie. — Refleksye Autora. — Bal u Branickich. — *Kontrakty 1861 r.*: Widmo kryzysu finansowego.

Już w r. 1859 zrobiliśmy dział z bratem moim Konradem: miał on mi spłacić 60.000 rs. Z kapitałem tym przystąpiłem do kupna w Skwirskim powiecie majątku Jaropowiec — a korzystając z kredytu swojego, dość wielkiego — gdyż przedtem, jakem to pisał, woziłem cukry moje i z innych fabryk do Moskwy — nabyłem majątek o 12.000 morg ziemi, w tem do 6.000 lasu, reszta ziemi ornej, za 200.000 rs., co stanowiło do 170 rs. za morgę. Dziś ten majątek szacowany jest na milion rs. Ówczśnie jeden ze znaczniejszych agronomów hr. Bobryńskiego, niemiec pewien, Feling, zaproponował mi, że jeśli wybuduję cukrownię o sześciu prasach i do dzierżawy majątku dodam mu 2.000 stosów drzewa z mego lasu rocznie, wypłacać mi będzie rocznej dzierżawy 50.000 rs. za majątek i cukrownię. Uważałem te warunki za dogodne dla mnie, wszedłem w układy z domem Lilpop i Rau w sprawie dostarczenia potrzebnych dla cukrowni machin, które według projektu miały mię kosztować do 85.000 rs., sam zaś niezwłocznie po ukończeniu w lutym 1860 r., prac w Komitecie Włościańskim, wyjechałem na wieś dla pobudowania cukrowni w nowonabytym majątku.

W sile wieku, z całą energią, która mnie nie opuszczała, skoro przyjęty projekt do końca, pomimo trudności, doprowadzić było trzeba, rozpocząłem starania około przybrania sobie

pomocników i przygotowania materyałów, potrzebnych do wykończenia budynków, przeznaczonych dla cukrowni. Już w kwietniu stanęły cztery piece, z których każdy po 250.000 cegieł miał mi wypalać. W kwietniu również fundamenta pod fabrykę założono z kamienia i rozpoczęto murowanie ścian w tych częściach, które najpierwej dla ustawienia machin były potrzebne. Warunek był z domem Lilpop i Rau zawarty, iż jeśli ja mur do 1-go lipca ukończę, fabryka najdalej 1-go listopada powinna rozpocząć pracę. W ten sposób, już w tym roku dzierżawca winien mi wypłacić 50.000. Jeślibym zaś fabryki w roku tym nie ukończył, tracę prawo do pobierania sumy, za dzierżawę mi należnej. Ten warunek uważali kompetentni fabrykanci cukru za nadzwyczaj trudny do spełnienia, gdyż zwykle budowa fabryk cukrowych o tej sile, w przeciągu dopiero paru lat się wykańcza. Z tego powodu już o czwartej zrana sam musiałem być przy robotnikach; gromadziłem też nieustannie zapasy wszelkich materyałów, iżby takowych mi nie brakło, a wyliczywszy z kosztorysów, ile cegły na cały budynek użyć było trzeba, obliczyłem, ile mi jej dziennie w ściany położyć należało, ażeby na termin wyznaczony zdać przedsiębiorcom machin mur, wykończony należycie. Stolarze i cieśle winni byli pośpieszać za murarzami, aby fabryka, w częściach szczegółowych, na wykończeniu nie ucierpiała. Rozpoczęte prace postępowały śpiesznie, wszakże już w drugim tygodniu dostrzegłem, że na wyższych ścianach praca się spaźnia. Nie było ówczesnie kolei żelaznych, musiałem tedy trzydziestu coś murarzy i innych robotników sprowadzić ze Śmiły końmi pocztowymi, pomimo lekkiego oporu ze strony tak zwanego »podradczyka«, budową fabryki mojej zajętego. Od czwartej zrana do śniadania siedziałem pośród budynków, rachując rzędy układanej w mur cegły. Nie odstępowałem pracy i nie zwalniałem robotników, dopóki nie ułożyli w mur ilości cegieł, przezemnie określonej na godzinę. Pod wieczór, kończąc pracę, pilnowałem, ażeby raczej o kilka tysięcy cegieł więcej, niżli mniej, położono. Oto cały sekret ukończonej przezemnie budowy, która ówczesnie wszystkich fachowych ludzi w podziw wprawiała. Ciesielskie i stolarskie roboty napędzane były w miarę wykańczanych przez murarzy części budowy. Najsamprzód część na prasy przeznaczona, pokryta blachą, oddaną została ślusarzom i maszyni-

stom, by przystąpili do należącej do nich pracy; następnie sala przeznaczona na kotły refikacyjne i odparowywujące, wreszcie sala dla przebiałek, turbin i parowiernia. W końcu czerwca miano zaświadczyć, azali prace około budynku, według umowy ukończone będą. Zjechał mój brat, szwagier i dawny a serdeczny mój przyjaciel Wincenty Dobrowolski; zjechał też Władysław Branicki ze Stefanem Potockim, bratem pani Konstawowej Branickiej, Lilpop i Rau — i wszyscy przyznali, iż opóźnienia w budowie nie było. Odtąd już ustawienie machin i puszczenie w ruch fabryki spadało na Lilpopa i Rau, a kontrakt dzierżawny i wypłata 50.000 rs. za rok bieżący nabierały mocy.

Pozostaje mi dziś opisać odwrotną stronę medalu, która na przyszłość moją smutny wpływ wywarła. Zsiew buraków na przestrzeni 600 morg, jakoteż część kupnych, w ciągu dni trzech zniszczone przez gąsienice zostały ostatecznie. Tylko 16.000 korcy stanowić miały cały zasób fabrykacyjny. Dzierżawca mój, który mi dał 10.000 rs. zaliczki, ujrawszy blachą pokryty budynek i огоłocone z buraków pole, zapłakał z rozpacz. Stracił jedno z miejsc nadzwyczaj korzystnych, które mi również rękojmię należnej wypłaty dawało. Należało go zwolnić z układu, a cały ciężar interesu i rok znacznej straty na siebie przyjąć. Załatwiwszy się więc z dzierżawcą według możliwości przyjąłem *volens nolens* następstwa przemysłu cukrowniczego.

W jesieni tego roku otrzymaliśmy zaproszenie do Białej Cerkwi na polowanie, urządzone dla cesarza Alexandra II-go. Z obywateli ziemskich jedni byli zebrani w Kijowie, inni zaś oczekiwali Cesarza w Białej Cerkwi. Aczkolwiek po złamaniu nogi chodziłem jeszcze o kulach, wszakże pojechałem na to polowanie, aby się przyjrzeć rozrywce, urządzonej dla dostojnego gościa.

Goście zjeżdżali się do Białej Cerkwi z wieczora; po kolacji nadjechał jeden z fligel-adjutantów, zapowiadając przyjazd Cesarza na dzień jutrzejszy zrana. Program tego dnia był następujący: po śniadaniu miało się odbyć posadzenie drzewka pamiątkowego w Alexandryi¹⁾; powracającemu z ogrodu Cesa-

1) Od Aleksandra I-go każdy z panujących zwykł sadzić drzewko w Aleksandryi, parku Białocerkiewskim — zdaje się z powodu, iż Hetmanowa Branicka nosiła na ręku Alexandra I-go. — P. A.

rzowi, przed pawilonem miały się prezentować damy; potem wyjazd na polowanie, obiad i odjazd Cesarza; wieczorem bal w pałacu. Wieczorem udaliśmy się do mieszkań, przygotowanych dla nas w miasteczku — żonatyh tylko i damy ulokowano w pawilonach pałacowych. Nazajutrz zjechaliśmy się na śniadanie, poczem wezwano nas do parku, aby być świadkami prezentowania dam Cesarzowi przez Konstantową Branicką. Cesarz, powracając z ogrodu, gdzie posadził pamiątkowe drzewko, zatrzymał się na chwilę przed pawilonem, widząc zgromadzone damy, a Konstantowa Branicka prezentowała po kolei każdą z pań przybyłych; dama prezentowana, przy tej ceremonii, robiła parę kroków wprzód, i z niskim ukłonem cofała się. Następnie oznajmiono nam wyjazd na polowanie, i tu amatorom koni przedstawił się widok najwspanialszy. Co było najlepszego w stajni Branickich, Sanguszków, Potockich, sprowadzono do Białej Cerkwi. Szóstkę kasztanów, ze stada Branickich, przeznaczono do zaprzęgu à la d'Aumont dla Cesarza, który posadziwszy obok siebie trzech braci Branickich, ruszył na przedzie. Za nim wyruszali goście, w powozach zaprzężonych w czwórki — jedna piękniejsza od drugiej. Wsadzono mię z Felixem Sobańskim do powozu zaprzęzonego w czwórkę karych, dobranych, jak jeden koń. Pewien pruski dyplomata, przybyły z Bolesławem Potockim, dowodził, że te zaprzęgi były zdumiewające, przechodzące to wszystko, co mu się zdarzało widzieć na dworach.

Polowanie samo, jak się zdaje, nie zupełnie się udało. Napędzono i nazwożono do lasu tyle różnego zwierza: zajęcy, sarn, lisów; w lesie miały być pozawieszane sznury, a na nich kolorowe sukna, których powiewem zwierzyna miała być pędzona w kierunku stanowiska, przeznaczonego dla Cesarza. Cesarz, który dał kilku strażów, powiedział podobno: *nagnannaja achota*, napędzona zwierzyna! i strzelania zaprzestał. Zapalając papierosa przemówił do Aleksandra Branickiego kilka słów po polsku. Ku końcowi polowania psy gończe tak się ze zwierzem oswoiły i zgraja psów, opasana sieciami, z sarnami, lisami, zajęcami tak się zmieszała i z niemi się oswoiła, że sam widziałem, jak jedne obok drugich szły sobie spokojnie, zmęczone kilkogodzinnem bieganiem po niewielkim stosunkowo leśnym obszarze. Gdy Cesarz z lasku wychodził,

przyprawiono mu wierzchowca, sto innych przygotowano dla gości i jeźdźców. Przez pole, z chartami, ruszył Cesarz konno do bażantarni, gdzie strzelał kulami, dość celnie, do bażantów. Nie mogąc jeździć konno z powodu złamanej nogi, pojechałem wprost do mieszkania w mieście, skąd, przebrawszy się, mieliśmy pośpieszać na obiad do pałacu. Ale taki już zapanował nieład, że zapomniano po gości wczas powysyłać konie z pałacu; wielu pozostało w mieszkaniach swych do wieczora. Ja przyjechałem za późno, a przytem żenowałem się wchodzić o kulach do sali jadalnej, gdzie już siadano do stołu. Cesarz dał dowód, że życzy li tylko przebywać w towarzystwie dam pałacowych; rozmawiał, jak mi mówiono najczęściej z panią Konstantową Branicką; i przed rozpoczęciem balu wyruszył w podróż ku Odesie.

Trzydzieści lat mija od czasu ówczesnych wypadków, do chwili, w której te pamiętniki piszę, a tyle zmian zaszło w stanowisku Polaków, pod berłem rosyjskiem pozostających. Alexander II, aczkolwiek nie całował rąk kobiet polskich, jak to Alexander I. czynił, ale nie miał ówczesnie tej niechęci do nas, jaka go później cechowała. I jeśli na zapadniętej kurtynie po panowaniu Alexandra I-go był napis: »*Arakczew*«, to po Alexandrze II-im, stał napis: »*Reforma włościańska*«. Polowania na Litwie u Tyszkiewicza i na Ukrainie u Branickich, gdzie z woli Cesarza samego żadna policya i gubernator nie byli obecni, były wymownem świadectwem zaufania, jakie do nas żywiono: za prace i starania Litwy i Ukrainy około wyswobodzenia włościan z poddaństwa dawnego. Ponieważ jednak nieraz mi jeszcze przyjdzie powrócić do dowodów, iż Alexander II. posługiwał się li tylko nami, jako liberalniejszymi, w przeprowadzeniu reformy włościańskiej szczególnież ze względu na opór, który mu stawili Rosyanie, a żadnej chęci do powołania nas do życia narodowego, w jakiejkolwiek postaci, nie miał, przejdę do dalszych opisów w pamiętniku moim z życia towarzyskiego i ekonomicznego.

Zjechaliśmy się tedy wieczorem na bal do pałacu tego samego dnia, którego Cesarz z Białej Cerkwi wyjechał. Bal był nie liczny, ba, nawet nudny. Dwie gospodynie: Konstantowa Branicka, łagodna, taktowna, i Alexandrowa Branicka, wymowna, tym razem rozgorączkowany prowadziły między sobą

spór o pierwszeństwo; Alfredowa Potocka, przy nadziei wówczas, siedziała bez ruchu; Bolesławowa Moszczeńska, obejrzawszy się, iż toaleta jej nie była do twarzy, siedziała w odwodzie, bez usposobienia do zabaw. Szło jakoś wszystko tak niesforne, że trzebaby było powziąć przekonanie, że tu swobody niema, i bawić się nie umieją. Ponieważ przed złamaniem nogi uchodziłem za jednego z lepszych mazurzystów, a wypadło mi coś grzecznego powiedzieć siostrze gospodyni, pannie Pelagii Potockiej, przeto podszedłszy do niej powiedziałem: *Pierwszy to raz żałuję, że złamałem nogę; gdybym dziś ją miał całą, poszedłbym zaraz z Panią tańczyć mazura.* Z balu, przed kolacją, pojechałem do swego mieszkania, a nazajutrz zrana wyjechałem na wieś.

Fabryka cukru przed miesiącem ukończyła kampanię. Z powodu klęski na buraki, produkt fabryczny, w małej ilości, nie mógł starczyć na zaspokojenie ciężarów, które na mnie spadły; kredyt mój, aczkolwiek ostatecznie nie ucierpiał — tak dobre i w terminie naznaczonym wykończenie budowy fabryki przezemnie świadczyły o umiejętnem prowadzeniu interesów — wszakże na kontrakty przyjechałem z gołemi rękami, poszukując nowego kredytu. Kontrakty 1861 roku były jeszcze dla poszukujących kredytu cukrowników niezbyt uciążliwe; kapitałów swobodnych, jak w rękach prywatnych tak bankierskich, na początku kontraktów było dosyć; wypłaty też w początkach odbywały się akuratnie. Wszakże, gdy pod koniec kontraktów czynione przez cukrowników starania o nowe pożyczki zdradzały nadwyżkę tych ostatnich, Effruzi, jeden z bankierów odeskich, zapowiedział, iż prawdopodobnie w roku przyszłym nastąpi kryzys finansowy. Już tych kontraktów odjeżdżano do domu z małymi zasobami obrotowego kapitału dla prowadzenia gospodarstwa; wszakże jeszcze paniki niezwykłej nie było. Załatwiwszy trochę moje interesa, bez stanowczego narażenia kredytu mojego, wyjechałem z Kijowa na wieś do Jaropowiec.

VIII.

R u c h.

Towarzystwo Rolnicze: List Fisza. — Pierwsze kroki. — Praktyczność. — Gospodarze a przemysłowcy. — Ustawa Towarzystwa. — Ogólne znaczenie Towarzystwa. — Uchwała i zachowanie się rządu. — *Wybory*: Marszałek zwienogrodzki. — Dyrektor banku. — Dwaj rywale. — Następstwa.

W tym jeszcze roku otrzymałem list od Zenona Fisza, znanego ówczesnie literata, piszącego pod pseudonimem Podolica. List ten dosłownie tu wpisuję:

»Szanowny Panie Zygmuncie,

Wnet po powrocie moim z zagranicy pragnąłem widzieć się z Panem, lecz ponieważ stan zdrowia mego wzbrania mi wyjazdu, a Pan opuściłeś nasze strony, nie widzę innego sposobu, jak porozumieć się listownie, chociaż czuję, że w liście niepodobna mi będzie napisać, co mógłbym powiedzieć. Jestem dobrze powiadomiony, iż w kilku punktach naszego kraju powzięto szlachetne przedsięwzięcie obudzenia się do czynniejszego życia, uczuto potrzebę stowarzyszenia, porozumienia się, wyjścia z tego stanu apatii, w jakim zostaje obecnie społeczność nasza. Każdy zdrowy i praktyczny umysł widzi jasno, iż bez tego moralnego sojuszu możemy posiadać pewne przymioty, wyrazić dobre chęci, zaświecić cnotką oderwaną, ale nie potrafimy nadać im znaczenia zbiorowego czynu, wyrobić opinię publiczną i to stanowisko, jakie nam zdobyć przystoi i należy. Zapomnieliśmy zanadto płocho, że powinniśmy być członkami społeczności, która ma trudne obowiązki wyrobienia w łonie swem dobrych obywateli kraju, a razem oddziaływania na demoralizujące nas wpływy. Ostatecznie marniejemy i zmarnieć możemy, nie obudziwszy się wspólnymi siłami do

ruchu. Mamy wiele do zrobienia i wielkie obok tego przeszkody. Rozsypując się na rozmaite drogi, zaokrąglając sferę działań w egoistyczne kółka, nie zmnażamy ani bogactw krajowych, ani zadośćczynimy obowiązkom naszym, ani wyrażamy zbiorowej siły; w bierne całkowicie przechodzimy położenie. Już dzisiaj przyszedliśmy do tego stopnia moralnej apatii, iż nas nie interesuje żadna kwestya społeczna; a jeśli zainteresuje — że chodzi o koszulę — toć nie umiemy sobie dać z nią rady. Wpatrz się pan głębiej w społeczność naszą, a przyznasz, że nie mamy największego motoru: opinii publicznej, że nic nie czynimy zbiorowie, że nie wyrażamy spokojnej, ale roztropnej opozycji względem Rządu, i że wreszcie, nie przyszedliśmy do tego nawet, żeby odpowiedzieć sobie, wobec ogólnego ruchu, na to proste pytanie: co nam robić wypada? A tymczasem świat przyspieszonym żyje dziś życiem; dokonywują się reformy ogólne, powołują się ważne kwestye do rozwiązania, i pomimo naszej bierności ogarniają nas i zmuszają do udziału. Każde takie zapytanie zastaje nas nieprzygotowanych i rozwiązuje się nie przez nas, a my na żadne zdobyć się nie możemy, pomimo, że do zrobienia mamy bardzo dużo. Zdaje mi się, że tłumaczę się przed Panem najprościej, że mówię o potrzebie dotykanej, że unikam górnych frazesów; ale u nas tak brzmią cudzo podobne wyrazy, iż obawiam się na seryo, ażeby mnie nie wzięto za marzyciela. Doprawdy, że ta bojaźń jest poniekąd dowodem, do jakiego zapuszczenia doprowadziliśmy sprawy, które gdzieindziej są zajęciem powszedniem. Myśleliśmy z początku, ażeby się zawiązać w towarzystwa, któreby bez żadnych masonskich znaków, bez żadnych knowań, dalekie od wszelkich prawem wzbronionych spisków, miały jedynie na straży opinią publiczną i obowiązywały każdego do zbiorowych czynności, do składek, do zarządzenia obowiązkom i potrzebom ogólnym; ażebyśmy spokojnie i szlachetnie stanęli wobec drażliwych stosunków z Rządem, roztropnie skorzystali z prerogatyw wyborowych, opierali się nadużyciom, dali rękę pomocy ubogim, gnuśniejącym bez oświaty lub ginącym po pułkach; a razem, żebyśmy podlegali pewnej wzajemnej kontroli co do nas samych, i zmniejszyli o ile można skandaliczne postęпки i procesa, trujące szlachtę naszą. Jednem słowem, ażebyśmy zbiorowie zaradzali złemu

i zbiorowie czuwali nad wypełnianiem obowiązków naszych. Spotkałem osoby, co się cofnęły, przeczytawszy programat tak obszerny¹⁾, a wszakże przekonałem się że najtrudniejszym zadaniem jest tu stowarzyszenie, a wszystko resztujące wywinie się samo, wedle środków i potrzeby; i że nasze wyjątkowe ofiary, robione dziś nieporządnie, dotyczą nas stokroć bardziej niżby dotknęły stałe, ale ogólne składki. Wszakże po głębszem zastanowieniu się nad sposobem zastosowania projektu tego, przekonaliśmy się, iż musi on wejść w warunki właściwe stowarzyszeniom, ażeby przyodział się ciałem i dostał formę, a tych, jak Pan wie, bez upoważnienia Rządu robić nie można; sekretne zaś takie stowarzyszenie być nie może i nie powinno. Zaproponowano więc, czy nie dałyby się te same warunki przeprowadzić pod firmą »Towarzystwa Rolniczego«, osnutego na wzorze Towarzystwa, istniejącego już w Królestwie Polskiem? Wyznaję Panu, iż myśl ta zdaje się nam możliwą. Sadowi się ona wprawdzie na pierwszym planie, a wszystko, o czem mówiłem wyżej, odnosi do kategorii drugiej, lecz jestem pewny, że osnuta na szerokiej podstawie stowarzyszenia zawładnie ogromnymi środkami, za których pomocą, większa część prac projektowanych znajdzie rozwiązanie, konieczne w naturze pracy. A wreszcie, sam powiedz Pan, czyż stowarzyszenie rolnicze w jednej z najżyźniejszych prowincyi, w kraju, gdzie tyle jest środków do podźwignienia rolnictwa, i tyle do zrobienia jeszcze — nie byłoby korzystnem? i czyż nie jest koniecznem? Dziwić się raczej potrzeba, że mając tak piękny przykład Królestwa, nie zawiązaliśmy je dotychczas u siebie. Mówiąc Panu o tem, umyślnie opowiadam cały proces naszych projektów, od czego zaczęliśmy i do czego przyszli, ażebyś miał ideę ogólną życzeń i pobudek i mógł o nich swoje dać zdanie. Chodzi mi bardzo o to, bo wiem, skoro uznasz myśl taką za praktyczną, Pan właśnie mógłbyś ją rozwinąć i wprowadzić w życie. Do założenia fundamentów takiej budowy potrzeba człowieka czynu, osoby, posiadającej

¹⁾ Nie trzeba się dziwić, iż wobec tak obszernego programu, nie dającego się ująć w żadną organiczną całość, w żaden statut, dający rękojmię, a nawet możliwość wprowadzenia go w życie, cofnięto się w początku. (P. A.).

wpływy i znajomości, osoby, coby mogła wciągnąć do stowarzyszenia Branickich, Potockich, Radziwiłłów; tych wszystkich, którzy mają środki, by odrazu nadać tej organizacyi życie. To jej da renomę i ufność; a projekt jest tej natury, że ani wątpić, że znajdzie sympatyę powszechną. Spodziewam się, że nie posądzisz mnie Pan o komplement, gdy Mu powiem z całą otwartością, iż jeśli zechcesz, możesz go u nas przyprowadzić do skutku, bo rozumiesz lepiej od wielu jego doniosłość i pożytek i masz obszerne stosunki w naszym kraju. Składam go w Twoje ręce, dlatego, że myślę, iż słuszniej jest zacząć go Tobie, jak komuś, który chociaż może mieć dobre chęci, lecz nie będzie miał Twoich wpływów, ani Twego taktu. Nie potrzebuję Ci mówić, Panie Zygmuncie, jakbyś trwałą zbudował sobie pamięć tym czynem. Proszę więc, rozważ mój projekt i daj mi o nim swe zdanie».

Jakem to wyżej powiedział, kraj nasz, powołany do życia, zaczynał odczuwać potrzebę zbiorowego działania. Dwa zadania, towarzyszące Reformie Włościańskiej: pierwsze — zapobiedz potrzebie obrotowego kapitału przez utworzenie instytucyi finansowej, w postaci ziemskiego hipotecznego banku; i drugie — skierować rolnictwo na drogę odpowiednią po wyzwoleniu włościan z pracy poddańczej, w postaci towarzystwa rolniczego, zajęły umysły poważniejsze w kraju naszym. Już przed otrzymaniem listu od Zenona Fisza i projektu¹⁾ »Towarzystwa Gospodarzy na Ukrainie«, do tego listu dołączonego, a na którym notaty ołówkiem porobione, świadczyły, że ten projekt przechodził przez ręce Michała Grabowskiego, a może i Kraszewskiego — już przed otrzymaniem listu tego, zachodziły między nami porozumienia, co do projektów towarzystwa rolniczego i finansowego w kraju naszym. Powiem, że złożenie w ręku moim jak listu, tak i projektu, bardzo jeszcze nie rozwiniętego, wszakże dawało rękojmię, że praca około dobra kraju przestaje się dzielić na obozy: ówczasnie bowiem część literatów, z Kraszewskim na czele, przeciwną była rozwojowi przemysłu cukrowniczego, jako mającemu niby szkodzić poczuciom ducha narodowego. Mając cukrownię, zaliczony byłem do rzędu tych ostatnich (szkodliwych), ale zapewne nie zupeł-

¹⁾ Podany w Dodatkach (P. W.).

nie krańcowych, kiedy oddano program i list w ręce moje. Skomunikowałem się z innymi wpływowymi ludźmi w trzech guberniach naszych, i utworzyliśmy komitet, złożony ze mnie, Zenona Hołowińskiego, Michała Grabowskiego, Ignacego Fudakowskiego, Edwarda Chamca, Leona Modzelewskiego, Emeryka Mańkowskiego, Włodzimierza hr. de Broel-Platera, Leonarda Jankowskiego, Mieczysława Paszkowskiego, by zjechawszy się w Kijowie opracować projekt, przedstawić go do zatwierdzenia władzom miejscowym, i następnie podać do rozpatrzenia zjazdowi obywateli, podczas wyborów, które w tym roku w maju odbyć się miały.

Już na samym wstępie, przy skreśleniu pierwszego punktu statutu¹⁾ i nazwie samego towarzystwa górować poczęło zdanie, iż te towarzystwo ma mieć za główne zadanie: rozwój *przemysłu rolniczego* w kraju naszym. Wyraz *przemysł* miał oznaczać postępową gospodarkę, nie cofającą się przed zmianami, które uwolnienie włościan od pańszczyźnianej powinności wywołało. Wszakże, według mnie, miał ten wyraz w statucie bardziej na celu objąć potrzeby przemysłowców cukrowniczych, silnie w naszym kraju osadzonych. Statut, a raczej projekt statutu, złożony u mnie, a pochodzący od partji Ruchu, miał nazwę »Towarzystwa Gospodarzy na Ukrainie«. Mylnem więc było zdanie, że gospodarz na Ukrainie był zacofany, przywiązany do pańszczyzny, a przemysłowiec postępowy. Sprawiedliwość nakazywała przyznać, wszystkim właścicielom ziemskim, iż do reformy włościańskiej szli chętnie; tylko może przemysłowcy pierwsi, już przed reformą włościańską, znaczny kapitał obrotowy, którego wymagała plantacya buraków i sama fabrykacya cukru, posiadać musieli. Zmiana stosunków włościańskich, ze stanowiska ekonomicznego, dla nich mniej dotkliwą była. Gospodarz zbożowy, nie plantator buraków, zaspakajał roboty w polu pańszczyzną, a z umiejętnem użyciem obrotowego kapitału mniej był obeznanym. W tym celu zajęto się utworzeniem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i Towarzystwa Rolniczego; a pracom jak pierwszego tak drugiego komitetu przewodniczył Zenon Hołowiński, człowiek sprawami kresowemi szczerze przejęty, zawołany przemysło-

¹⁾ Patrz: Dodatki (P. W.).

wiec, który nie mało się przyczynił i do określenia zadania statutu rolniczego, nazwą: »Towarzystwo Przemysłu Rolniczego«. Ja i Leonard Jankowski mieliśmy pióro redakcyi. Ignacy Fudakowski, człowiek zdolny, a zarazem właściciel dóbr w Królestwie i lepiej od nas wszystkich obeznany z działalnością Tow. Rolniczego w Królestwie, stał się dla nas bardzo pożytecznym. Michał Grabowski, rozumiejąc, ile wszelkie solidarne czynności i skupione usiłowania są na dobie, brał udział dość czynny w pracach naszych.

Wszyscy trzej: Hołowiński, Grabowski i Fudakowski, właściciele fabryk cukrowych, uchodząc za przemysłowców zawołanych, a bardziej postępowi, byli niby zaliczeni do obojętnych na sprawę ogółu. Jakem to wyżej powiedział, belletrystyka nasza uważała za zadanie potępiać przemysł cukrowniczy, bardzo rozwijający się w kraju naszym, jako niby mający szkodzić rozwojowi ducha, obudzonego w kierunku narodowym. Na czele tej partyi stał Kraszewski, do niej należeli: Fisz, Prusinowski, Pług i inni. Mieszkając ówczasie w Jaropowcach, w pobliżu Żytomierza, gdzie przemieszkiwał Kraszewski, bywałem często u niego, nie zważając, iż zajęty ówczasie byłem budowaniem fabryki cukrowej w Jaropowcach. Nie musiał wszakże mnie posądzać o obojętność dla spraw ogółu, kiedy list Fisz i program, a raczej projekt »Tow. Gospodarzy« złożony ostatecznie w moim ręku został. Wezwany też na korespondenta *Kroniki*, która ówczasie przez Feliksa Sobańskiego wydawaną w Warszawie była (odebrałem to wezwanie przez Zbyszewskiego, później Zmartwychwstańca), napisałem, jako korespondent z Czechryńskiego, artykuł do *Kroniki*, mający za treść historję cukrownictwa wogóle, i stopniowy jego rozwój w naszym kraju. Już i tym razem złożyłem wymowne świadectwo, że potępiać przemysłowców nie mam zamiaru.

Powołany na redaktora statutu »Tow. Przemysłu Rolnego«, a zarazem przez partyę Ruchu nie odsądzony (sic), stanąłem do pracy, kierując się tą rozsądną zasadą, iżby nikomu się nie narażając i nikogo nie potępiając, skupiać co najwięcej ognisk, rozrzuconych po kraju, w jedną czynną formę, a tą mogło być tylko »Tow. Rolnicze«, przez rząd zatwierdzone. Przy pracy naszej nad statutem starałem się przeprowadzać to wszystko, co w projekcie »Tow. Gospodarzy« było, a co nie przekraczało

granic praktycznego zastosowania. Np. rozumiałem, że należy odrzucić wstęp: *Wiek XIX, dostawszy w spuściznie doświadczenie czasów, przejął się tą prawdą, że w robotach ludzkich tylko zbiorowemi siłami można przedsiębrać wszystko z pewnością otrzymania celu...* Staralem się organizować Towarzystwo Rolnicze, obejmując te wszystkie objawy życia ekonomicznego i społecznego, które przez to zjednoczenie więcej siły nabrać mogły, nie ujmując zaś w ciało organiczne niczego, coby jakąś przemocą tchnęło, jak np. obowiązkowe opłaty członków Towarzystwa, od 2-ch do 3-ch kopiejek z dziesięciny, co też i w liście Fisza się znajdowało w wyrazach: *mając na straży opinię publiczną, obowiązywały (jak!) każdego do zbiorowych czynności, do składek (?)* — albo: *żebyśmy zbiorowie zaradzali złemu i zbiorowie czuwali nad wypełnieniem obowiązków naszych (jak!!)*. Byłoby to odjęciem opinii publicznej tej cechy umiarkowania, która stanowi główną jej siłę i znaczenie. Zaniecham już dalszego rozbioru tych materiałów przygotowanych, które wszakże dla ciekawszych w bibliotece mojej przechowane będą¹⁾; przejdę do samej pracy Tow. Przemysłu Rolnego, jak tego większość komitetu chciała. Przy ostatecznem wszakże opracowaniu statutu i przyjrzeniu się o ile nazwa projektowana niewłaściwą była, zdecydowano nazwę zamienić na: *Ustawa Towarzystwa Rolniczego Zachodnich Gubernii*. W paragrafie zaś pierwszym omówiono cel Towarzystwa: podniesienie i rozwój przemysłu rolniczego w kraju.

Pozostawiając chętniejszym do studyowania ówczesnych objawów życia krajowego przeczytanie jak samej ustawy tak i uwag rządu, któreto w bibliotece mojej przechowane będą, wspomnę o pewnych tylko paragrafach, które świadczyć mogą, o ile ówczesnie zajmowano się rzeczywistemi potrzebami kraju, nie ograniczając się li tylko do teoretycznego kierunku podobnych towarzystw, jak to w innych guberniach Rosyi miało miejsce. Statut nasz chciał, iżby kraj cały poczuł, na faktach jasnych i dobitnych, jak pożyteczny być może dla jego mieszkańców udział towarzystwa, z potrzebami miejscowemi obznajomionego. W tym celu mają być urządzone zjazdy delegowanych w Kamieńcu, Żytomierzu, Dubnie i Humanu; mają

¹⁾ Patrz: Dodatki (P. W.)

się urządzać stacye doświadczalne dla kształcenia praktykantów, a dla teoretycznego wykształcenia mają się urządzać szkółki, w miarę sił i możliwości Towarzystwa. Kontrola nad ofycjalistami i prawo nagrody (dyplomami) odznaczających się w gospodarstwie, rozdawanie nagród pieniężnych i medali za pożyteczne wynalazki jak również za przysporzenie bogactw krajowych — ma należeć do czynności Towarzystwa. Dla zapobieżenia trudnościom finansowym, wypływającym ze zmiany stosunków włościańskich ma Towarzystwo wpływać na zakładanie instytucyi finansowych; ma wspierać chów bydła przez utworzenie asekuracyi takowego, i wreszcie wydawać *Roczniki Rolnicze*, wychodzące w miarę nagromadzonych materiałów.

W tym roku, podczas wyborów, przeczytana była przenie, wobec licznie zgromadzonego obywatelstwa, ustawa Towarzystwa, a Michał Grabowski dawał ustne objaśnienia dopełniające do każdego paragrafu tej ustawy. Przy przedstawieniu rządowi do zatwierdzenia spotkały nas uwagi ze strony generała-gubernatora, ks. Wassilczykowa, które świadczą, o ile należyte zagospodarowanie się nasze po kraju nie zupełnie rządowi do smaku przypadało. Obok innych uwag, ks. Wasilczykow nie uznawał za potrzebne zjazdów delegacyi w Kamieńcu, Żytomierzu, Dubnie i Humaniu. Wszędzie ta biurokratyczna centralizacya, paraliżująca praktyczne korzyści instytucyi odczuwać się dawała.

Wybory w tym roku nabierały też barwy narodowej. Marszałka Zwienogródzkiego p-tu, rosyjanina Protopopowa, zmieniono za przykładem naszego p-tu, który w przeszłym *triennium* Borozdina usunął. Na gubernialnego marszałka wybrano Zenona Hołowińskiego, a na zastępcę Horwatta.

Jednocześnie udało się z tryumfem przeprowadzić wybór Michała Grabowskiego na dyrektora Banku, pomimo iż przeciwnicy postawili jakby dla utrudnienia nam tego zadania swego kandydata: Władysława Padlewskiego, człowieka niezmiernie popularnego w naszym kraju, później rozstrzelanego, jak i syn jego, podczas powstania. Po przeprowadzeniu skutecznem wyborów Michał Grabowski podszedł do mnie uśmiechając się i powiedział: *Panie Zygmuncie, Dawidek pokonał Goliata!*

a Władysław Padlewski poczuł się dotkniętym i nazajutrz powziął zamiar opuszczenia Kijowa. W powozie podróżnym zjechał do mnie i przypisywał mi przyczynę swego upadku. Staralem się go przekonać, iż nie nadchodzą takie chwile, kiedyby można było prywatą się rządzić; że Michał Grabowski na tem, jak na innem takim stanowisku, może być od niego daleko pożyteczniejszym; że zawiązujące się Towarzystwo Kredytu Ziemskiego, do którego Michał Grabowski należał, potrzebuje, by z ramienia obywateli był wybrany na dyrektora Banku Państwowego człowiek świadomy przedmiotu, już dla tego, że towarzystwo to będzie musiało się posiłkować w Banku rządowym; że zaś jego, Padlewskiego, wpływ i udział w sprawach krajowych, jako już zajętego tylu rozmaitymi interesami, też jest pożądanym i pożytecznym będzie; że więc powinien złożyć ofiarę z prywaty i nie wyjeżdżać. Wszakże wyjechał. Po upływie jednak paru godzin zajeżdża znowu do mnie: uściślał mi najserdeczniej, powiadając, że z drogi wrócił, zastanowiwszy się w drodze głębiej i spokojniej nad racyami, przymownie mu przedstawianemi.

Były to już ostatnie wybory w kraju naszym. Zenon Hołwiński na stanowisko marszałka zatwierdzony przez rząd nie został, zastępca zaś, Horwatt, objął ten urząd. Na nim to spoczywały trudności utrzymywania stosunków z rządem podczas Rewolucyi, co mu jako człowiekowi młodemu, giętkiemu, daleko łatwiej przyszło, niż gdyby komukolwiek innemu, wieku starszego, usposobienia choćby nawet poważniejszego ale szorstkiego, utrzymywać ten naprężony stosunek z władzami trzeba było.

IX.

W Europie.

Podróż: Cele i zlecenia. — Wzruszenie. — Do Wrocławia. — Słynny administrator. — Pamiątki i tradycje. — *Kuracja*: Dyagnoza Langenbecka. — Berlin. — U wód. — *Rolnictwo*: Hohenheim. — Prof. Stoeckhardt w Dreźnie. — Polskość i Polacy. — Ferma strasburska. — Miasto. — M. Lebelle. — Boussignault. — Kongres chemiczny w Karlsruhe. — *Warszawskie Towarzystwo Rolnicze*: Warszawa a Kijów. — Hr. Andrzej Zamoyski. — Sprawozdanie. — Zakład fabryczny hr. Zamoyskiego. — Towarzystwo i Ruch.

W tym też roku wyjechałem po raz pierwszy zagranicę, już to w celu, by chirurg Langenbeck w Berlinie obejrzał nogę moją, czy nie można jej zaradzić: chodziłem bowiem od paru lat o kulach; a zarazem, by obejrzeć zakłady agronomiczne za granicą, i jeśli można korespondentów światłych *Rolcznikowi Rolniczemu* przysporzyć. Jednocześnie w imieniu Towarzystwa Rolniczego, włożono na mnie obowiązek obstarowania medalu pamiątkowego od obywateli ku czci profesora uniwersytetu kijowskiego Fomberga (dawniej prof. uniw. wileńskiego), i w przejeździe przez Warszawę, zdania sprawy z czynności naszych Towarzystwu Rolniczemu w Warszawie, o czem miało pójść od Towarzystwa kijowskiego zawiadomienie pisemne. Zakończywszy szarowanie buraków i mając z parę miesięcy wolnego czasu do rozpoczęcia kampanii cukrowej, wyruszyłem zagranicę. Miałem zamiar zrobienia zagranicą chemicznej analizy ziemi; wziąłem z sobą dwie beczułki czarnoziemu ze wsi mojej Jaropowiec, bardziej dla tego, iż kolor liści burakowych w tej wsi był za jasny, nie wiele obiecujący, iżby słodycz buraków była obfitą. Poznać skład chemiczny tej nowonabytej ziemi, a również powziąć wiadomość, jak z taką

ziemią postępować należy, by buraki w cukier obfitszymi były: to właśnie wielce mię skłaniało do podróży i do przyjrzenia się wzorowemu gospodarstwowi w Królestwie i zagranicą.

Kolei żelaznych ówczasnie nie było, podróż odbywałem do Warszawy pocztą, w dość wygodnym powozie. Nie mam potrzeby mówić, jakiego uczucia doznałem, kiedy przejechawszy przez Uściuług, zaprząg polski z trąbką poczarza unosił mię w kierunku stolicy naszej. Dziś już szósty krzyżyk przeżywam, a na wspomnienie tej chwili niby młodziej. Nie było to uczucie jednym tylko systemem nerwowym odczute; cały mój organizm pod tem wrażeniem stał się czynniejszy: serce zadrgało, puls przyspieszył bicie, wzrok jaśniejszym się wydał, a słuch poczuł niby harmonię nową, dawniej mi nieznaną. Całą drogę do Warszawy, jadąc przez Królestwo, odbyłem jakgdyby w rodzinnem kółku: wszyscy mieszkańcy zdawali się być mi pokrewnymi, nie obcymi.

Przyjechawszy do Warszawy, nie miałem zamiaru stać tym razem przed Towarzystwem Rolniczem; wolałem w powrocie z zagranicy misję mi daną przez kijowskie Towarzystwo załatwić. Wziąłem od zakładu mechanicznego »Ewans, Lilpop i Rau« list do Rau we Wrocławiu, jednego ze zdolniejszych administratorów rozmaitych spółek przemysłowych, jakoto: kopalni ołowiu, węgla etc., a również i gospodarstw w dobrach pod Wrocławiem; i wyruszyłem w dalszą podróż. Przyjechawszy do Wrocławia, nazajutrz udałem się do Rau. Zostałem zaproszony do obszernej dosyć kancelaryi, pośród której stał spory stół, a raczej biuro, a przy niem siedział słuszny i otyły niemiec, siwawy ale jeszcze dość czerstwy. Uskarżając się na podagrę, która go przytrzymuje na miejscu, prosił mię usiąść obok niego, i rozpoczęła się między nami rozmowa treści adminjstracyjnej. Na wszystkie moje za pytania odpowiadał treściwie, uprzejmie. Obeznawszy się z obszerną działalnością jego adminjstracyjną, zapytałem, jak sobie radzi nie ruszając się z Wrocławia, by mieć dokładny obraz wszystkich czynności miejscowych, tak gospodarskich jak i przemysłowych? Niektóre z nich bowiem, kopalnie ołowiu np., są w państwie austriackiem, pod innym rządem, z innymi warunkami najemnego robotnika. Wszystko to oparte jest na ściślejszej kontroli, ujęte w korespondencję treściwą, by nie utru-

dniać pracy centralizacyjnej. Tego rodzaju zarząd, według jego zdania, ułatwia osiągnięcie arytmetycznego zadania, i nie daje miejsca zбочeniom, do których najczęściej zbyteczne przyglądanie się miejscowym szczegółom prowadzi. Jest to tak wielka prawda, że nieraz w życiu mojem dostrzegłem to na sobie i na innych, i jeśli stawiałem sobie za zadanie dojście do celu przez z góry dobrze obmyślony kierunek interesu, to starałem się jaknajmniej uwzględniać jakieś podrzędne okoliczności, które, jeśli im posłuch dawać, coraz bardziej się gromadzą, aż wreszcie z drogi obranej wykoleją. Kiedy spadły na mnie zajęcia gospodarskie, wolałem też z biurka dawać rozporządzenia, z arytmetyką w ręku, niżeli decentralizując me rozporządzenia na skutek oględzin polowych. Tu nabrałem przeświadczenia, iż po sie w dobry stanowi treść powodzenia agronomicznego, i tych tylko podwładnych ceniłem, którzy również to odczuwali, u takich bowiem inne czynności gospodarskie szły, ma się rozumieć, porządnie i niegorączkowo, gdyż ich uwaga przedewszystkiem była zwrócona na działalność produkcyjną.

We Wrocławiu zabawiłem dzień jeszcze na oględzinach miasta, a towarzysz mój doktor Rudnicki mówił mi, że na jednym z cmentarzy, przy kaplicy, widział grobowiec Ks. Kotiużyńskiego z XVII wieku, z herbem naszym Przyjaciel. Bardzo to być może, gdyż rodzina nasza pochodzi z Poznania¹⁾ i tem się odznaczała, że zawsze jeden z rodziny pozostawał księdzem. Brat mego Ojca, ksiądz, który tłumaczył Wirgiliusza, o czem wspominają w Literaturze polskiej, był bardzo światłym księdzem; później jeszcze biskup Krasieński przez Huberta Krasieńskiego wiele mi o ks. Kotiużyńskim, jako o swoim przyjacielu, rzeczy ciekawych komunikował. Nas było trzech braci; mówiono mi, że ojciec nasz, dostrzegłszy, iż brat mój średni był charakteru najłagodniejszego, jego na księdza przeznaczał. Inaczej się stało: okoliczności zmusiły go pozostać wojskowym, a zresztą już nie w młodym wieku jako kawaler życie zakończył.

Z Wrocławia pojechałem do Berlina, jako do głównego celu mojej podróży, dla obejrzenia nogi mojej przez Langenbecka. Zatrzymaliśmy się »Unter den Linden«, niby w najlep-

¹⁾ Ob. Wstęp. P. W.

szym hotelu, i tegoż dnia jeszcze posłałem towarzysza podróży mojej, dra Rudnickiego, by zaprosił do hotelu Langenbecka, który też nazajutrz przyszedł. Po obejrzeniu nogi mojej powiedział, że te złamanie jest już po upływie tak długiego czasu trudnem do wyleczenia; że się formuje fałszywa artykulacja koło złamania, która z czasem może nabrać tyle mocy, że nogą władać będzie można; że dziś lepiej kąpielami w Wildbadeniu wzmacniać te artykulacje muskularne, niżli robić próby przez tarcie rękoma dwóch złamanych kosteczek w parowej kąpeli. W ten sposób można niby spowodować nowe zapalenie w końcach przełamanych, które pobudzone mogą utworzyć nową ich spójnię, collum zwaną; wszakże ta nowa operacya i bolesna, i to rzadko się udająca. Postanowiłem dać za wygraną i jechać do Wildbadenu na kąpiele.

W Berlinie pozostaliśmy jeszcze przez dni kilka. Obejrzałem znakomity zakład mechaniczny Borsiga; obstalowałem też ówczesnie w Berlinie medal pamiątkowy dla Fomberga, jeden złoty dla niego, dwa srebrne dla jego rodziny i 200 mosiężnych dla obywateli. Przez różne koleje później przechodził ten medal, aż nareszcie bodaj czy nie we 20 lat później, wręczono go Fombergowi; bawiącemu ówczesnie za granicą nie przypadło mi w udziale być przy wręczeniu, tylko po powrocie z zagranicy wręczył mi Moszkowski medal mosiężny, jako dowód, że i o mnie pamiętano. Pierwszy to raz byłem w stolicy, a ponieważ znalazł się ówczesnie w Berlinie Zakrzewski z Warszawy, reprezentant domu win francuskich, przedtem przez Kościelskiego sprzedawanych w kraju, zabawiłem w Berlinie dni kilka dla użycia stołecznych rozrywek. Wieczorami w ogródkach muzyka i teatrzyki, w dzień spaceru po szosie i rzucanie kwiatami — było to święto kwiatów. Wreszcie, po kilkodniowym pobycie w Berlinie wyjechałem do Wildbadenu.

U wód zastałem trochę znajomych: był tam Rübinder, dawniej kurator okręgu naukowego kijowskiego; był hr. Lambert, później namiestnik Warszawy, a który, rzecz dziwna, tego samego dnia co i ja złamał nogę, spadając z dorożki w Petersburgu, i złamał nogę też w tem samym miejscu co i ja, bo w biodrze, wszakże mając zaraz dobrych lekarzy na zawołanie, miał nogę chociaż nieco krótszą, ale dobrze nią władał. Przy obiedzie siadałem obok Odescalchich z Rzymu:

był ojciec, żonaty z Branicką, i dwóch synów, przy których l'abbé Coronel, niezmiernie światły ksiądz, z którym się nie rozstawaliśmy.

Po zakończeniu kąpielowej terminowej kuracji chciałem już odbyć trochę podróży w celach agronomicznych. Pojechałem nasamprzód do Hohenheimu; tu zastałem i młodzież polską, kształcąca się w tym kierunku. Ledochowski, później rządca Branickich, Kwilecki, Ostrowski z Królestwa radzi mi byli i wszelkich informacji udzielali. Zabawiłem z nimi tydzień cały. W Hohenheimie w muzeum znalazłem całą historię pługa w małych modelach, rozpoczynając od rogu bawolego, osadzonego zamiast lemiesza, który to miał pruć ziemię, co wystarczało, by posiane ziarno plon obfity dało (taka to była początkowo bogata ziemia); następnie pług, w miarę postępu nauki (sic) przyjmował formę doskonalszą: było tam w muzeum t. zw. ruchadło, dawniej używane, był pług o odkładnicy, z lemieszem obracającym się na szornierach, aby przy powrocie też samą skibę orać można było, postępowy pług, zwany hohenheimskim, i inne, a było ich modeli z kilkadziesiąt, z różnych części świata. Miałem zamiar, po ustaleniu się u nas Towarzystwa Rolniczego, sprowadzić taką kolekcję i dla naszego muzeum, a tymczasem kupiłem kilka ciekawszych modeli, które tam na obstalunki robiono; w późniejszych czasach ofiarowałem moje modele do muzeum Baranieckiego w Krakowie.

Z Hohenheimu pojechałem do Drezna, by stamtąd odwiedzić Stoeckhardta, ówczesnie profesora agronomii w zakładzie naukowym pod Dreznem. Niezmiernie przyjemny i przystępny uczony — kiedym go poznał w jego własnym domu — wyznał mi na ten sam dzień widzenie się w jednym z ogródków, by przy kuflu piwa dłużej z nim pogawędzić. Dzieła jego były mi znane, ówczesnie bowiem Towarzystwo Rolnicze w Królestwie kosztem własnym tłómaczyło je na język polski, jako najpożyteczniejsze. Ponieważ trudno mi trochę było rozmawiać z nim po niemiecku, innego zaś języka nie znał, rozmowa toczyła się powoli. Kiedy zaś rozpoczęliśmy mówić o tem, o ile praktyka w gospodarstwie ma być uwzględniana i przez teorię — chemia bowiem organiczna ówczesnie poczęła stawiać, rzec można, pierwsze i to nieśmiałe kroki na drodze zastoso-

wywania jej do agronomii — powiedział mi Stoeckhardt, że podziela zupełnie zdanie moje i na dowód zaprosił mnie na posiedzenie agronomiczne, które miało się odbyć w Dreźnie za dni kilka, aby mię przekonać, o ile cenil wnioski, robione przez doświadczonych fermerów, którym, jak się to nieraz zdarzało, i sam ustępował. Powróciwszy do Drezna, zabawiłem tam jeszcze dni kilka, by się doczekać tego posiedzenia. Odbyło się w dość dużej sali, przyozdobionej zielenią i insygniami gospodarskimi: sierpy, kosy i motyki były pozakładane w rozmaitych kierunkach, tworząc girlandy, gwiazdy lub wieńce różnych kształtów i rozmiarów. Na ławach siedziało kilkuset słuchaczy, przeważnie fermerów w długich butach i kurtkach saskich. Przy tablicy stał Stoeckhardt, przeprowadzając nową teorię Liebicha: pognojów mineralnych. Dostrzegł mnie wchodzącego, i nieraz jeszcze rzucił okiem w stronę, gdzie siedziałem, prawie za każdym razem, ilekroć mu przyszło wspomnieć o znaczeniu praktyki w nauce. Po wykładzie profesora wystąpił do tablicy otyły fermer, w długich butach, z grossbuchem pod pachą, i datami, opartymi na nadzwyczaj ściśle arytmetycznym obliczeniu — wyniki dziesięcioletniego doświadczenia, wpisywane systematycznie do grossbuchu — przekonywał, iż rezultaty pognojów mineralnych nie odpowiadają ich zadaniu, wskazywanemu przez teorię. Tym razem profesor odszukiwał mię w tłumie i uśmiechał się z zadowolenia. Doszedłem do przekonania, iż Stoeckhardta głównie zajmowało leśnictwo, był bowiem w zarządzie szkoły leśników pod Dreznem jednym z przełożonych; chemii zaś oddawał się o tyle, o ile każdy naturalista niemiecki tą nauką się zajmować winien.

Wszakże, już zapewniwszy dwóch korespondentów *Kocznikowi* Towarzystwa kijowskiego, jednego Stoeckhardta, a drugiego prof. Rau z Hohenheimu — obydwóch jednak za pewnem wynagrodzeniem od wiersza korespondencyi, innej bowiem niemcy grzeczności nie znają — pozostałem jeszcze przez dni kilka w Dreźnie. Pozostałem na dłużej, by się napirzeć na arcydzieła w galeryi obrazów (choć o wcześnie nie byłem jeszcze tak wtajemniczony w dziedzinę sztuki, jak to później w podróży moich po Włoszech się stało), a bardziej jeszcze, by się nacieszyć pamiątkami polskimi, nagro-

madzonemi w muzeum drezdeńskim, przywiezionemi tam za czasów saskich. Te pamiątkowe szafy z Orłami białymi, suto obsypywane brylantami karabele, guzy do kontuszów, kity — wszystko to królewskiej wartości, i dziś jeszcze błyszczą mi w oczach na ich wspomnienie. Dwór ówczesnie łaskawie przyjmował Polaków, z tego powodu w Dreźnie domów polskich zamieszkałych było poddostatkiem. Potocki, humański oryginał, chodził po ulicach, rozdając dzieciom cukierki, a gdy kobiety słusznego wzrostu spotykał na ulicy, zatrzymywał je, prosząc, iżby się z nim mierzyły siłą, i dawał zaraz do rąk siłomierz, który zawsze nosił przy sobie w kieszeni. Gdy na dworskie obiady proszone chodził, za każdym razem przyczepiał sobie papierowe kołnierzyki, tyle koszula jego była nie do pokazywania. Mieszkał też w Dreźnie i Gustaw Olizar, którego rozmowę ceniono u dworu; bawili też Aleksandrostwo Braniccy, bardziej dla wychowania syna swego Władysława; ówczesnie panny Czetwertyńskie słynęły z urody i wdzięków. Bawił tam również Dowgiałło, ożeniony z Potocką, nadzwyczaj uprzejmy Litwin — w jego to towarzystwie i Ledochowskiego, który nadjechał z Hohenheimu, zwiedzaliśmy muzea i posiedzenia agromaniczne.

Z Drezna wyjechałem do Strasburga, a to by obejrzeć wzorową fermę pod Strasburgiem, a zarazem, by zajechać do p. Lebelle'a, jednego z najświetlejszych korespondentów *Journal d'Agriculture Pratique*, którego i gospodarstwo było najmniej ciekawe. Ferma strasburska niewielka, zabudowana z niemiecka dość oszczędnie, dawała widok nadzwyczajnej czystości, utrzymywanej w niej przez garbuska — niemczurę malutkiego wzrostu, z wypukłym garbem. Karmiono tam gęsi, z których wątroby robiono tuż w fermie słynne strasburskie pasztety. Było tam wszelkie ptactwo, rozmiarów i kształtów niezwykłych, przytem nierogaczna wzorowa, a wszystko opasłe, chodziło po dość obszernym dziedzińcu wybrukowanym, z małemi wyżłobieniami, po których czysta woda, umyślnie sprowadzona, spływała i przez to samo w nadzwyczajnej czystości podwórko utrzymywała. Zaprezentowałem się dozorczy, jako członek towarzystwa rolniczego z Rosyi, podróżujący w celu obejrzenia wzorowych ferm i gospodarstw. Dumny garbusek powołał całe ptactwo i nierogaczinę, która na jego wezwanie

sztynnie się przedstawiała, niby w tej prezentacji udział brać miała. Dał mi przy pożegnaniu kawał pasztetu do zjedzenia, który mi z powodu pory śniadaniowej smakował.

W Strasburgu prześlicznie wyglądała wieża i sama katedra po małym deszczyku, który spadł w południe, a ciosowy kamień nabrał niby dyamentowego połysku. Na placu, ku wieczorowi, zagrała muzyka wojskowa francuska — ówczesnie Alzacya i Lotaryngia należały do Francyi — a wieczorem w kawiarniach przy stolikach mężczyźni grali w domino, popijając absynt.

Nazajutrz wyjechałem do p. Lebel'e'a, który mieszkał w pobliżu Strasburga. Wśród dziedzińca dość obszernego stała kamienica dwupiętrowa, żadnym stylem lub ozdobami nie celująca. Właściciel — francuz niskiego wzrostu, ugrzeczniony, posiadał z paręset morgi ziemi; rodzina składała się z żony i trzech ładniutek, hoźych i rumianych córek. Dowiedziawszy się o celu podróży naszej, przyjął nas najuprzejmiej. W godzinę później oglądaliśmy jego gospodarstwo. Pisywał on do gazety rolniczej francuskiej najwięcej o plantacyi chmielu, który w Alzacyi piwowarnie nadzwyczaj cenily. Oglądaliśmy tę plantację, chodząc po deskach, z powodu, że po deszczu było trochę błocka; daje to wszakże obraz gospodarstwa nie nadzwyczaj obszernego. Co bardziej mnie zbudowało, to liczenie się z urodzajnością ziemi. To podwórze było zarazem tokiem dla zwożenia zboża, tu były też stajnie i obory; dwie bramy komunikowały z polem; przez jedną z nich wjeżdżano do obejścia: w bramie centymalna waga, osadzona w ten sposób, iż jej żaden wóz ominąć nie mógł, a w pokoiku (łóży) obok siedział pisarz, który wpisywał do księgi wszystko pod wagę, co z pola wwożono do gumna; w drugiej bramie wpisywano, co na pole wywożono w nawozach rozmaitych. W ten sposób p. Lebel'e, posługując się tablicą, w której zawartość fosforu, azotu etc. przywożona w postaci różnego zboża, zanotowana była, miał za zadanie wywieźć w nawozie taką samą ilość pierwiastków chemicznych na pole, iżby przy końcu roku ekonomicznego ziemia to odebrała z powrotem, co w plonie od niej wzięto. Ponieważ kijowskie Towarzystwo przygotowało tematy do rozpraw, ja zaś miałem do rozwiązania zadanie: *Czy buraki przez często powtarzaną plantację nie zniszczą ziemi ukraiń-*

skiej? wiele mi do tej pracy dopomogło poznanie p. Lebellego, który również i w tym przedmiocie pisywał, a który tak sumiennie umiał się rachować z zasobami ziemi własnej. Otóż dowiedział mi, iż ostatecznie produkt z buraków, t. j. cukier posiada trzy części składowe: tlen, wodór i kwas węglowy — wszystkie trzy pierwiastki, które buraki biorą z deszczów i powietrza; inne części składowe, chociaż i są w burakach, ale pozostają na miejscu w postaci pulpy, odpadków i soli defikacyjnych. Racyonalny gospodarz jest w najzupełniejszej możności zwrócić to ziemi z powrotem. Wywożąc zaś cukier nawet poza granice swego gospodarstwa, nie krzywdzi ziemi, składowe bowiem części cukru, jakem to wyżej mówił, burak dostaje z powietrza. Inaczej się to ma ze zbożem: wywozimy poza granice nasze znaczną część co rok fosforu, który bardziej mineralnym pognojem zastąpić można, lub w części, i to nieznacznej, obornikiem. My zaś przy naszym ukraińskim gospodarstwie i oborników nie mamy; pszenicę bez obawy wysyłamy poza granice państwa, a co do buraków obawiamy się, by ziemi nie wyniszczyły.

Ponieważ siostra p. Lebellego była za p. Boussignault, znanym chemikiem, a ten mieszkał o godzinę drogi od własności p. Lebellego, zaproponował mi więc uprzejmy gospodarz pojechać nazajutrz do jego szwagra. Chętnie przyjąłem tę propozycję, i nazajutrz wsiedliśmy do rodzaju szarabanu, o trzech ławkach, na których dość wygodnie pomieścić się nam wszystkim siedmiu można było. Na przodzie siadł p. Lebellego z żoną. Na środkowej ławeczce umieściły się trzy hoże córki, ja zaś z doktorem zajęliśmy przez grzeczność ostatnią ławkę, co nam ułatwiało szeptać do panięskich uszek sporo słodczy, którym z zadowoleniem paryżanek się przysłuchiwały. Para roślących folwarcznych koni powolnym kłusem dowiozła nas do bardzo ładnego parku. Po drodze żwirem wysypanej jechaliśmy przez park do bardzo gustownego pałacu, stojącego na górze, wśród jodeł i świerków, z bardzo ładnym widokiem na otaczające go okolice. Było to mieszkanie książęce, nabyte na własność przez znakomitego profesora chemii, dziś tam zamieszkałego. Przez obszerną dosyć sien, średniowiecznymi pamiątkami ozdobioną, wprowadzono nas do sporej sali. W kącie siedział mężczyzna otyły, w mycce, wzrostu więcej jak średniego, o ry-

sach twarzy wyrazistych. Po pierwszym zaprezentowaniu się i zamianie słów zwykłej grzeczności, prosił mnie, bym usiadł przy nim i włożył kapelusz na głowę. Zrozumiałem, iż to było grzeczne tłumaczenie się, że swojej mycki zdejmować nie ma zamiaru, a ponieważ otwarte okna na przelot powodowały przeciąg powietrza, nie dziwiłem się bynajmniej, iż mu w tym wieku ostrożność nakazywała ochraniać się przed reumatycznymi bólami głowy, przeciągami powietrza powodowanymi. Po złożeniu w rękę szanownego profesora beczułki czarnoziemiu ukraińskiego, przywiezionego z sobą, rozpocząłem dowodzić, że zarzut robiony przez niego południowej Rosyi, iż nieogłędnie postępują, wyrzucając słomę na groble — zarzut ten na publicznie przez niego czytanej lekcyi w Paryżu okrywał niby śmiesznością gospodarstwa nasze — nie daje się zupełnie usprawiedliwić, wobec przez się już bogatego w organiczne pierwiastki naszego czarnoziemiu, i że produkcyja zboża, przeważnie pszenicy, mineralnych pognojów potrzebuje. Dosyć łaskawie ze mną — ówczesnie jeszcze bardzo niedojrzałym gospodarzem i chemikiem organicznym — rozmawiał; dodał przy końcu, iż miał kilku uczni Polaków, bardzo zdolnych i że z ich postępów bardzo był zadowolony. Ponieważ za parę tygodni (we wrześniu 1860 r. (P. W.) miał być zjazd chemików w Karlsruhe, przeto i nas uprzejmie na ten zjazd zaprosił, a wszelkie ułatwienia w dostaniu biletów wejścia na salę obrad nam obiecał. Chętnie przyjęliśmy zaprosiny, i czas jakiś jeszcze podróżowaliśmy po Alzacyi dla przypatrzenia się gospodarstwom miejscowym, przeważnie w winogrody obfitym.

Przyjechaliśmy do Karlsruhe wilią dnia na zjazd przeznaczony. Weszliśmy nazajutrz do sali, w której stu kilkudziesięciu chemików z całego świata zgromadzonych siedziało na ławach deputowanych. Na prezesa w dniu pierwszym był obrany Dumas; obok niego komisya redakcyjna, złożona z sześciu osób, w niej profesor z Rosyi przybyły, Sziszkow, się znajdował. Z Polaków — Aptekarz Lesiński z Warszawy i Natanson też z Warszawy, ja i mój towarzysz, doktor Rudnicki, razem czterech, stanowiliśmy cały kontyngens przybyłych rodaków. Profesor Cannizzaro z Włoch, wymowny dosyć, przez parę dni dowodził, iż należałoby się porozumieć co do ekwiwalentu wodoru, który nie wchodząc w żadną kombinacyę chemiczną,

jak w podwójnej ilości, t. j. w formie H_2 , za jeden ekwiwalent uważany być winien, i z tego względu wszystkie dotychczas istniejące formuły chemiczne tych kombinacji, do których wodor wchodzi, zmienionemi być winne. Nie wszyscy wszakże obecni na zjeździe na to się zgadzali, Dumas więc wniósł, iż należy wypowiedzieć życzenie (*emettre un voeu*), ażeby w tym przedmiocie porozumienie nastąpiło, wszakże wkładać obowiązek przymocą nauka nie daje jeszcze prawa. Drugiego dnia na prezesa obrano Boussignault'a; zawsze ten sam przedmiot był debatowany; poczem wyjechaliśmy z Karlsruhe, każdy w inną stronę, a ja przez Kraków do Warszawy pojechałem.

Zdobywszy już trochę materyałów, które mnie zapoznały nieco z gospodarstwem zagranicznym, miałem zamiar poznać się teraz z członkami Towarzystwa Rolniczego w Królestwie. Nazajutrz po przyjeździe do Warszawy udałem się wprost do sali, gdzie się miało odbywać posiedzenie, tym razem nieliczne, ale złożone z najwybitniejszych członków tego towarzystwa. Przy wejściu spotkałem p. Ludwika Górskiego, któremu gdy wymieniłem nazwisko moje, odpowiedział mi uprzejmie, iż znany mu już jestem z prac moich w Komitecie Włościańskim i w Towarzystwie Rolniczem Kijowskiem. Wskazał mi drogę do sali, gdzie się miały odbywać tego dnia narady rolnicze. Tu poznałem pp. Gruszeckiego, Adolfa Kurca, sekretarza Tow. Rol., Garbińskiego i wielu innych. Oczekiwano na przyście hr. Andrzeja Zamoyskiego, jako prezesa, a któremu miano mnie zaprezentować, jako przyjeźdnego z Ukrainy dla zdania sprawy z czynności naszych. Uważaliśmy się zawsze w nowozawiazanem Tow. Rol. w Kijowie, jako południowo-zachodnią część lub oddział centralnego Tow. Rol. w Królestwie, a przyjazd mój dla zdania sprawy miał na celu węzeł ten zaświadczyć i nadal utrwalić — przez przyjęcie instrukcyi, jak nam nadal działać wypada.

Po godzinie wszedł do sali człowiek słusznego wzrostu, nieco pochylony, z włosami do góry przyczesanymi, z wzrokiem czynnym, ruchliwym, ale pracą nieco przyćmionym. Podał mi rękę po przedstawieniu się jemu; wrażenie zaś, jakie na mnie sprawiła dłoń szorstka, spracowana tego człowieka, naraz przypominało mi odpowiedź, daną przez niego cesarzowi

Mikołajowi I, na jednym z balów warszawskich: *Sire, je m'amuse, quand je travaille...* Uprzejmie hr. Andrzej Zamoyski ze mną rozmawiając, zaprosił do zdania mu sprawy z czynności naszych rolniczych; następnie przeszliśmy do kwestyi finansowych. Tu zapytywano mnie, jak możemy myśleć o urządzeniu tow. kredytowego ziemskiego, kiedy nie mamy w kraju naszym praw hipotecznych, na to potrzebnych? Tłómaczyłem im że aczkolwiek kraj nasz nie może się chlubić uporządkowaniem hipotecznem, wszakże posiadamy w Izbach Sądowych — ówczesnie istniejących — „stoły“, czyli działy hipoteczne, w których wyrabiane świadectwa starczą bankom ziemskim na dowód, iż majątek nie jest obciążony długiem prywatnym. Gdyby który z wierzycieli życzył sobie odebrać swą należność, nie chcąc być zepchniętym przez bank ze swej pierwszej hipoteki, mocen jest wystosować w tej sprawie pisemne żądanie, a dług jego — z pożyczki bankowej przedewszystkiem zaspokojony być musi. W ten sposób pożyczka bankowa staje na pierwszej hipotece i zaspakaja wymagania kredytowej instytucji hipotecznej.

Po tem wyjaśnieniu i wielu jeszcze innych, zawsze li tylko w przedmiotach, tyczących się nowozawiazywanych Towarzystw: Rolniczego i Kredytowego, pożegnał mnie uprzejmie i wyszedł z sali; ja zaś udałem się do swego hotelu, gdzie tego dnia jeszcze przyszedł do mnie Ledochowski, mówiąc, iż hrabia Andrzej pragnąłby, iżbym obejrzał jego zakład maszyn i narzędzi rolniczych. Ówczesnie most przez Wisłę był już na ukończeniu, a praca ta olbrzymia była powierzona zakładowi hr. Andrzeja. Wiele ten człowiek najczystszych zasług położył w drodze starań około ekonomicznego rozwoju Królestwa, ale strona cyfrowa cierpiała na tem niezmiernie: fortuna jego już się chwiała; wiadomość ta i do nas na Ukrainę w tym jeszcze roku dochodziła. Wezwanie hr. Andrzeja przyjąłem, chociaż wypowiedziałem zdanie, że nie uważam się za kompetentnego technologa. Nazajutrz przyjechał hr. Andrzej do hotelu i zabrał mnie z sobą do powozu. Przyjechaliśmy do zakładu, gdzie oczekiwało na nasz przyjazd dwóch jego synów, z którymi mnie zapoznał. Po obejrzeniu zakładu zapytał mnie, jakie zdanie wyniosę o jego zakładzie? Odpowiedź była łatwa, gdyż przedtem oglądałem zakład Borsiga w Berlinie. Odpowiedzia-

łem, że kiedy dowiedziano się w zakładzie Borsiga, iż wjeżdża na podwórze gospodarz z gościem, ruch w zakładzie zdawał się być większy: młoty i piły, ręce i nogi pracujących poruszały się, zda się, energiczniej; kiedyśmy się pokazali z hrabią w jego zakładzie, ten ruch jakby ustawał: ludzie przy pracy, chcąc się napatrzeć na swego chlebobawcę, zaprzestawali pracy, przyglądając się każdemu ruchowi, przysłuchując się każdej uwadze robionej przez swego dobroczyńcę. Był to zakład raczej dobroczynny, niżeli przemysłowy; co prawda miał on na celu przede wszystkim dobro kraju — dobro ludzi i rodzin pracujących przy zakładzie. Była tu szkółka dla dzieci rodzin, zajętych w jakimkolwiek oddziale zakładu; był i szpital dla chorych. Trudnoby jednak było przypuszczać, aby dział cyfrowy zakładu należycie był zaopatrzony i należne mu zyski dawał. Wygrała Wisła na puszczonej w ruch statkach parowych z tego zakładu, wygrała Warszawa na moście, ale zakład tu stratę poniósł. O zaopatrzeniu budujących się na Ukrainie fabryk cukrowych w maszyny wyrobu zakładu hr. Andrzeja nie można było myśleć: stały one niżej od niemieckich i Lilpopa i Rau w Warszawie, zaś z maszynami Derosne'a i Cail'a porównania nie było — ostatnie górowały nad innymi. Obydwaj synowie hr. Andrzeja przyszli nazajutrz do hotelu, jakoteż hr. Ledóchowski, znany mi z Hohenheimu, o którym przedtem wspominałem; a tak we czterech bawiliśmy się jużto rozmową o przemyśle i gospodarstwie, jużto uczęszczając do teatru, jak to młodym ludziom przypadało.

Byłem też z wizytami u czynniejszych członków Towarzystwa Rolniczego, między innymi u Adolfa Kurca. W rozmowie z nim powiedziałem, iż aczkolwiek przystępujemy do prac rolniczych, wyznać musimy, iż bardzo mało wiadomości o rolnictwie posiadamy. Odpowiedział mi na to: *i my mało mieliśmy nauki; nakupiliśmy książek, i to co nam było potrzebne, tegośmy się nauczyli!* Była to greczna z jego strony zachęta dla mnie; nakupiłem bowiem ówczasem za granicą i w Warszawie sporo książek treści rolniczej i ekonomicznej. Kiedym już wstał, by się pożegnać, wziął mnie na stronę i powiedział: *Fundusze P. Andrzeja Zamoyskiego są bardzo zachwiane; zamyślamy o utworzeniu spółki, któraby miała na celu podźwignięcie meża tak zasłużonego dla kraju; gdybyś Pan*

ze swej strony dopomógł, by na Ukrainie rozkupiono część akcyi, wielkabyś Pan jemu usługę oddał. Odpowiedziałem, że chętnie podejmę się tę myśl między znajomymi przeprowadzać, zaś o skutkach zabiegów przesądzać nie mogę. Kiedym się Kurca zapytał, jaką siłę ma w kraju, t. j. w Królestwie, organizacya »Towarzystwem Rolniczem« nazwana? odpowiedział mi na to: *wszystko jużesmy wypowiedzieli cośmy o plugu powiedzieć mieli i mogli — kraj czeka od nas czego innego!* Były już w powietrzu objawy poczuć patriotycznych, które się później w ruch zamieniły.

Ponieważ byłem w Warszawie we wrześniu (1860 r.), kiedy już rozpoczęto fabrykacyę cukru, dłużej więc tam bawić już nie mogłem.

Przewroty.

Kryzys: Deficyt. — Powszechna klęska. — Bankructwo. — Przyczyny polityczne. — *Powstanie*: Wygnańcy i więźniowie. — Egzekucye. — Dwaj rozstrzelani. — Represye. — Ruch i rząd tajny na prowincyi. — Zmiana kierunku i udział w tem Autora. — Komitety prowincjonalne. — Kospiracye. — Naczelnik m. Kijowa. — Zanik ruchu i dalsze zlecenia. — Fatalny formalizm. — Niebezpieczeństwo zażegnane. — W Odesie. — *Po powstaniu*: Spaczenie reformy włościańskiej i »mirowi«. — Deska ratunku. — Trzy drogi. — Na posterunku obronnym. — Minister Wałujew. — *Reflexycje*: Konserwatyści a Katkow. — Nierówne siły. — Przyczyny wygranej Katkowa. — Nemezis. — Smutne świadectwa. — Jenerał-gubernator Bezak. — U szczytów kariery i pieniądze żydów. — Temporum mutatio. — Ukaz 10. X. 1865. — Osobliwi nabywcy. — Biurokracya napływowa i jej siła. — »Elementy«. — Wywłaszczenie. — *Szykany*: K. hr. Branicki i F. Sobański. — Paliatywy. — Ucisk. — Odprawy.

Trzydzieści lat mija od czasu przejść, które opisywać teraz będę, do dnia, w którym ten pamiętnik piszę, a te wspomnienia i dziś mi jeszcze trwogi przyczyniają. Stanowią one przełom w mem życiu młodem tak gwałtowny, i tak znowuż pouczający, że naraz wszystkie me illuzye młodego wieku ustają, zmieniając się w szereg prób najcięższych, jakie tylko los na człowieka zesać może.

Fabryka cukru źle prowadzona przez dyrektora, poleconego mi przez firmę »Lilpop i Rau« z Warszawy, daje rezultaty najgorsze: soki ustawicznie się psują. Musiałem w czasie kampanii cukrowej zmienić dyrektora, co było rzeczą nie łatwą, z powodu iż wszyscy dzielniejsi dyrektorowie pozostawali na stanowiskach i wśród rozpoczętych robót zmieniać miejsca nie ehcieli. Dociągnęliśmy z biedą do stycznia, ale cukru daleko

mniej się okazało i trzeba było jechać na kijowskie kontrakty z zasobami nie odpowiadającymi ciężarom. Przytem wieści o ruchach, które miały wkrótce nastąpić, podkopały nam przemysłowcom kredyt. Jeden z odeskich bankierów, Effruzi ostrzegł, mnie, że na przyszły rok będzie kryzys finansowy.

Kontrakty 1860/61 r. szły nadzwyczaj trudno. Widziałem pod koniec kontraktów, iż jeśli jeszcze nic mnie nie zmusza do zawieszenia interesu, to trudności, jakie zarówno ja, jak i inni cukrownicy w pozyskaniu nadal kredytu napotykaają, z czasem mogą doprowadzić do przymusowej likwidacji, co też później nastąpiło. Czując przytem, iż te przejście bardzo jest dla mnie bolesne i na zwłocę mogę tylko moralnie stracić, a materyalnie narazić mych wierzycieli na większe straty, zwierzyłem się z tą tajemnicą jednemu z najdoświadczeńszych cukrowników, I(gnacemu) F(udakowskiemu), prosząc by mi poradził, co mi czynić wypada. Rada jego była: zebrać jeszcze trochę zasobów, wyjechać na wieś, na wiosnę zająć się plantacją buraków, i po przerwie zebrać wierzycieli na wieś dla narady, co robić nadal wypada. Uspokoiwszy się nieco z myślami, przeniosłem się na Kreszczatyk, opuściwszy Padół, tak zwaną dzielnicę Kijowa, gdzie zwyczajem ówczesnym było zamieszkiwać podczas kontraktów. Pod koniec kontraktów kilka jeszcze dramatów przemysłowo-cukrowych odezwać się dało: zachwiało się kilka firm, między innymi Jachnenka, która to zdawała się być tak potężną. Nawet hr. Władysław Branicki i hr. Bobryński uczuli potrzebę odwołania się do kredytu nowego: pierwszy przez utworzenie silnej spółki, do której weszli hr. Adam Potocki, szwagier jego i dwaj bracia — Konstanty i Alexander Branicki; w ten sposób spółka ta potężna wytrzymała kryzys finansowy 1861/62 r. i następny rok. Hrabia zaś Bobryński udał się z Kijowa wprost do Petersburga, gdzie go cesarz Alexander II, jak mówią, wsparł kredytem 5-cio milionowym z własnej szkatuły. Był to początek, wskazujący na niemożność prowadzenia przemysłu cukrowego usiłowaniami osobistymi, które w historii tego przemysłu w kraju naszym odegrały główną rolę, a które przechodząc przez różne koleje od tego roku, po kilku latach zamieniały się stopniowo w spółki, i wreszcie w stowarzyszenia akcyjne, oparte na statutach, przez rząd sankcjonowanych, jak to dziś widzimy. Towarzystwa te wyniosły ten

przemysł z rąk, że tak powiem, prywatnych, lichwiarskim kredytem najeżonych (s), i postawiły go na drodze, świetną przyszłość mu rokującej. Bądź co bądź inicjatorom tego przemysłu należy się pamiętać w historii jego rozwoju; ba, nawet niektórzy, w czasach kiedy przerabiano buraki na cukier w kociolkach, że tak powiem, kuchennych, powodzenia finansowego doznali.

Wyjechałem więc z kontraktów kijowskich 1860/61 r. pod wpływem najsmutniejszych wrażeń, które i na mój organizm silnie oddziaływały: dostałem ostrego kataru żołądka, który przez lat kilka mnie nie opuszczał, a który i dziś, powróciwszy, mi dolega. Nie mogłem wyjechać do Jaropowiec z powodu zdrowia mego, lecz pojechałem do Ositniaczki — do Matki i do brata, i tam parę miesięcy w łóżku wyleżałem. W Jaropowcach zaś dałem rozporządzenie, iżby żółte piaski sprzedawano i tymi opędzano koszta plantacyi buraków, których urodzaj tej wiosny zapowiadał się świetnie. Sam zaś lecząc się, starałem się nabrać sił, przygotować sobie wyjście jaknajszlachetniejsze z moralnego i materialnego upadku. Nabrawszy trochę sił, w czerwcu wyruszyłem do Jaropowiec, skąd napisałem listy do wszystkich wierzycieli, by zechcieli tu zjechać dla narady, co robić wypada. Treść listów, mniej więcej, była następująca: *Niepowodzenia i trudności zmuszają mnie odkryć interesa. Uważając się za stróża kapitałów mi powierzonych, upraszam o zjazd, dla narady, co dalej robić wypada. Oddając wszystko co mam, dopełniam swej powinności.* Zjazd odbył się jaknajporządniej. Widząc, że oddając się zupełnie do decyzji wierzycieli, ustanowili zarząd przy mnie do następnych kontraktów: przyjęli interes w ręce swoje mnie zaś pozostawili udział w nim 5%.

Podczas kontraktów 1861/62 r. już i innych interesów wiele likwidowano; kryzys finansowy był ogromny, powodowany jeszcze bardziej konsyderacyami politycznymi; kredyt osobisty obywateli upadał, a ruch corazto nabierał siły i powagi, aż w następnym roku w rewolucję się zamienił.

Jakem to wyżej powiedział, prawie we trzydzieści lat później pisząc ten pamiętnik, przychodzi mi wspomnieć i o wypadkach 1863 r., których szczegółoty zresztą należą do historii,

i nie brak do nich materiałów. Wspominać li tylko będę o tych czynnościach zbiorowych, w których mi udział brać wypadło.

Po kontraktach 1861/62 r. powróciłem znowu na wieś do brata, do Ositniaczki, nasamprzód by przyjść do zdrowia, które z powodu przejść kontraktowych było nadwątlone. Brata zaś mojego, jako Marszałka czehryńskiego powiatu, z powodu iż śpiewano hymny narodowe w kościele złotopolskim, wysłano z rozporządzenia władz do Saratowa; później szwagra mojego wysłano do Ekaterynosławia. W ciągu roku tego fortece kijowskie napełniły się już jeńcami schwytanymi na polu walki, jużto zwożonymi z trzech gubernii pod pozorami, często bardzo opartymi na »donosach« chłopów lub popów. Należało więc mi, przyszedłszy do zdrowia, wyruszyć do Kijowa, by jeśli można, dopomagać niektórym jeńcom fortecznym do uwolnienia ich zupełnego, a jeśli to było niemożliwe, przynajmniej ulżyć im w ich losie przez zaopatrywanie w lepsze wygody więzienne, a wreszcie w obuwiu cieplejsze i ubranie na wymarsz w głąb Syberji, na wygnanie. Dwa lata spędziłem w Kijowie na wyłącznem zajmowaniu się losem jeńców fortecznych. W mieście otworzono biuro, do którego zwożono z miasta wszystkie ofiary *in natura*: herbatę, cukier, bieliznę, ubranie, obuwię — wszystko to przyjmowano i raz na tydzień odwożono do fortecy, gdzie pod egidą władzy wojennej, jeńców dozorującej, przekazywano to bardziej potrzebującym. Rodziny z miasta miały prawo widywania swoich krewnych przez kraty okna; od nich to dowiadywano się o potrzebujących wsparcia — chociaż, kto tam nie potrzebował wsparcia! Całe mienie konfiskowano, a przed wprowadzeniem do fortecy rozbierano do naga i wszystkie pieniądze, jakoteż kosztowności w zegarkach, łańcuszkach etc. odbierano. Przy wysyłaniu na Syberję — partyami po stu kilkudziesięciu — byliśmy uprzedzani na dni kilka przedtem; wyjeżdżano więc za miasto i odprowadzano ich najczęściej do pierwszej stacyi za Dnieprem, gdzie też zawożono im zapomogi w baszłykach, które na ten cel szyto, i w innych rzeczach. Wożenie zaś do fortecy nie ustawało: ciągle to kogoś nowego osadzano; kiedy brakowało winnych, zaczęto zwozić niewinnych, a następnie i takich, których majątki chciano konfiskować, by je rozdarować wyższym urzędnikom. Tak padł majątek Abramowicza, Radziwiłła Lisianka i wiele innych.

Odbywały się też i egzekucye: rozstrzeliwano bez litości. Jeden z najzawziętszych przeciwników naszych, Katkow, redaktor pisma *Moskowskija Wiedomosti*, wymawiał głośno w swem piśmie generał-gubernatorom, że nie skazują na śmierć, i cytował przykład Murawjewa, jen.-gubernatora w Wilnie. Pod wpływem tego artykułu i w naszych guberniach dokonano kilku egzekucyi, któreby najpewniej ominięto.

Pewnego dnia dowiadujemy się w mieście, iż nazajutrz mają rozstrzelać dwóch skazanych, zawezwano bowiem księdza. Wpadamy na myśl, że to musi być Padlewski i Rakowski. Wstajemy do świtu i w kilku wyruszamy do fortecy, na miejsce przy fosie, gdzie odbywały się egzekucye. Przy brzasku porannym ukazało się od strony odwachu kilku żołnierzy z bronią w rękę, a w środku niby trzy punkciki, które odróżnić na początku było niemożliwie. Coraz to bliżej postępując, krokiem powolnym, dawały się poznawać te trzy osoby, aż wreszcie w bliższej odległości poznajemy: w środku księdza z krzyżem w ręce, po prawej stronie Rakowski, po lewej Władysław Padlewski, właściciel z powiatu berdyczowskiego, ojciec rozstrzelanego w Królestwie. Kiedy szli obok nas, zdjęliśmy kapelusze — skazani zdjęli swe czapki, oddając nam ukłon. Kiedy już nas mijali, dał się słyszeć głos Rakowskiego: *Bywaj zdrów Zygmuncie!* Był to głos do mnie; chociaż go osobiście nie znałem, musiał wszakże wiedzieć, iż dokładałem wszelkich możliwych starań, i to najśmielszych i najenergiczniejszych, by ich obydwóch od kary śmierci uwolnić. Kiedy nas minęli, ukłękliśmy i modlitwą towarzyszyliśmy im do chwili fatalnego strzału, który ich życiu kres położył. Czuli oni, że obecnością naszą świadczyliśmy, o ile współczujemy ich nieszczęśliwemu losowi, i że nie sama tylko ciekawość nas tu sprowadza. Padlewski, przechodząc obok nas, rzucał niespokojnym wzrokiem po tłumie i widocznie szukał swej żony i córek, by ich pożegnać — ale rodziny najczęściej w udręczeniach i chorobie te smutne chwile przeżywały; matka zaś Rakowskiego bez przytomności prawie przez jakiś czas pozostawała.

Corazto nowych spiskowych, lub tylko podejrzanych, przywożono do fortecy kijowskiej, gdzie tysiąc nowych z górą więźniów wyczekiwało po dwa lata czasami, dekretu uniewinnającego. Po dwóch latach więzień forteczny, pod wpływem

już tylko dusznego powietrza, pokarmu i myśli samych życia odosobnionego, wychodził na wolność nie podobny do kółka towarzyskiego, do którego przedtem należał. Sam widziałem moich blizkich znajomych i przyjaciół, którzy często po kilka miesięcy, obojętni na wszelkie objawy życia towarzyskiego, jakby zachować się nie umieli, dopóki ich myśli i organizm na dawny tor zejść zdołały.

Ruch wołyński, jak wiemy, przeszedł do Galicji, pod wodzą Różyckiego. Ukraiński ruch, często przez chłopów powiązany i szkaradnie traktowany, osadzony nareszcie w fortecy, oczekiwał wyprawy na Syberję. Podolski ruch, jeszcze powstrzymany, wyczekiwał jakby hasła złożenia daniny poczuciom patriotycznym, w ofiarach na to przygotowanych. Niepowodzenie, zarówno w Królestwie jak i na Litwie, coraz to bardziej osłabiały znaczenie organizacji Rządu Narodowego; ofiary zaś z fortecy, coraz to bardziej doznając biedy i nędzy, poczęły odwoływać się do Rządu Narodowego o pomoc w pożywieniu i odzieży. Skład tego rządu zmieniał się ustawicznie, już to z powodu aresztowań, już to iż niektórzy, wykryci, ratować się musieli ucieczką i następnie emigracją za granicę.

Przez ostrożność by nie powiększać liczby ofiar, poczęto składać nowy Rząd Narodowy z żywiołów bardziej umiarkowanych, chociaż cecha pozostawała ta sama — władza ukryta o 4-ech działach składowych, całość zarządu stanowiąca: dział wojskowy, policji, finansów i opinii publicznej. Wszakże dział wojskowy był zakłopotany, w jaki sposób spiskowych w kraju rozwiązać; dział policji — w jaki sposób skompromitowanym ucieczkę i emigrację ułatwić; dział finansowy — jak środki, jeżeli gdzie pozostały, zagranicę przesłać, — i dział opinii publicznej — jak odezwaniami drukowanymi (w drukarniach pod ziemią się kryjących), skłaniać publiczność do niesienia pomocy osadzonym po fortecach i na duchu nie upadać. Dotychczas zachowanie się moje, aczkolwiek wtajemniczonego, ograniczało się do niesienia możliwej pomocy osadzonym po więzieniach i fortecach, i na ratowaniu, przez stosunki krewnych i przyjaciół od dekretów sądu polowego. Zapowiedziano przyjazd z Warszawy ajenta, który miał Rząd Narodowy zreformować — i pewnego poranku przychodzi do mnie A(ntoni) Ch(amiec) który złożywszy dowody — w pieczęcie — iż jest tym ajentem, mianuje mnie

również agentem Rządu Narodowego, najprzód przy komitecie Rz. N. w Kijowie, a następnie przy wydziale Rz. N. w Żytomierzu. Na przedstawienie moje, iż mieszkać muszę w Kijowie, bowiem tu forteca wymaga nieustannych starań, zgadza się, bym mieszkał w Kijowie, ale bym w poczet wydziałowych w Żytomierzu zaliczony został. Do Żytomierza zaś mam wyjeżdżać raz na miesiąc, lub rzadziej, o ile mi na to czas i okoliczności pozwolą. Poznajomiłem się z członkami Kijowskiego Komitetu — wszyscy byli mymi najbliższymi przyjaciółmi.

Organizacja Rządu Narodowego w naszych trzech guberniach składała się z trzech Komitetów, po jednym w każdej gubernii: w Kijowie, Żytomierzu i Kamieńcu, nad którymi był Wydział, osadzony w Żytomierzu, otrzymujący rozporządzenia z Warszawy i nakazujący trzem wyżej wzmiankowanym Komitetom gubernialnym. Zarówno Wydział, jak i Komitety składały się z czterech działów. Pod tym Wydziałem była też i organizacja południowa w Odesie, której podlegały organizacje w Mikołajowie (Nikołajewie), Konstantynopolu, na Kaukazie i w Galicyi.

Zostawszy członkiem-agentem Wydziału, miałem za zadanie utrzymywać bezpośredni stosunek z Kijowem, Kamieńcem i Odesą. Ten bezpośredni stosunek niezupełnie był dla mnie bezpieczny: gdy inni, mając stosunek na zewnątrz z jedną tylko osobą, ryzykowali, iż może być odkryty przez tę jedną tylko osobę, ja — mając tyle dróg otwartych, mogłem się narazić na nieostrożność wielu, którzy mieli ze mną do rozmowy i do czynienia. Należy jednak oddać wszelką sprawiedliwość spiskowym, przez naszych nawet nieprzyjaciół nam przyznawaną, że nie było wypadku, ażeby wiezień wypytywany — a nawet dręczony tak, jak Dr(uzbacki) — przed karą śmierci, zdradził lub dał się zagmatwać przez sąd polowy w niedyskrecyę na krzywdę kolegi. Była też ostrożność przez Rząd Narodowy i organizację nakazywana. Ponieważ, jakem to wyżej powiedział, wszelkie rozporządzenia Komitetu szły przez jednego na zewnątrz, owóż w razie pojmania i osadzenia w fortecy którego z tak zwanych delegatów, rozwołujących rozporządzenia te po kraju, wnet przerywano nić komunikacyjną, i taki spiskowy, który miał styczność z delegatem, chronił się — jeśli

to był znaczny spiskowiec — zagranicę, a wtedy pozwalano więźniowi wymieniać spiskowca — ale już go wtedy dobrze schowano.

Owóż pierwsze moje spełnienie obowiązku było następujące. Doszło do wiadomości Wydziału, że Naczelnik miasta Kijowa nie spełnia poleceń, a nawet szafuje kasą; kiedy zaś mu nakazano, by urząd złożył i wręczył swą pieczęć innemu, zagroził, iż pierwszego, który mu to rozporządzenie Wydziału przywiezie, odda w ręce rządu. Odebrałem zlecenie zdjęć z niego mandat i wręczyć Tr(etiakow)i, ze wszech miar zasłużonemu młodemu człowiekowi — później tak chlubne stanowisko w Krakowie i w Literaturze naszej zajmującemu. Poleciałem więc powiedzieć temu pierwszemu, ze wszech miar złej wiary¹⁾ Naczelnikowi miasta Kijowa, iżby pewnego dnia, o wieczornej godzinie, czekał na placu przed Uniwersytetem, a podejdzie do niego osoba, która mu zlecenie ważne zakomunikuje. Jakoteż o wyznaczonej godzinie poszedłem na plac, a widząc zdaleka pod czarnym płaszczem ukrytego mego winowajcę, podszedłem do niego, i po zamienieniu znaku umówionego, powiedziałem, iż w imieniu Rządu Narodowego wymagam, by dziś jeszcze złożył urząd. Zmieszał się widocznie, nie spodziewając się mnie przed sobą zobaczyć, zdało mu się bowiem, iż ja do organizacji należeć nie mogę, będąc w styczności z władzami fortecznymi — z powodu nieustannych starań o polepszenie losu więźniów. Niezwłocznie kazałem się przezeń zaprowadzić do domku, daleko za miastem położonego, gdzie oczekiwali jego powrotu trzech inni miejsko-komitetowi (zawsze każdy Komitet składało 42 członków z jednakiemi atrybucyami: wojska, policji, finansów i opinii publicznej). Tym trzem jego kolegom powiedziałem, że mandat z niego jest zdjęty, a przyjdzie na jego miejsce inny, który z odpowiednią godnością i dobrą wiarą ten urząd spełniać będzie. W kilka dni później wyszedł drukowany okólnik, oznajmiając o zmianie Naczelnika miasta, i odezwa Tr(etiakja), który w gorących i starannie opracowanych wyrazach odwoływał się szczególnie do kobiet, by pamiętały o osadzonych w forticy więźniach, zaopatrując ich w bieliznę i odzież, potrzebną wy-

¹⁾ Ten ostry sąd autora zdają się łagodzić świadectwa współczesnych, któreśmy co do osoby tego Naczelnika zebrali. Jedyne słuszny zarzut — nadzwyczajnej próżności i drażliwości osobistej byłby tu na miejscu. P. W.

gnańcom w podróży. Rzec można — zaufanie miasta do organizacji wróciło, skargi jeńców fortecznych ustały.

Latem tego roku odebrałem zlecenie jechać do Kamieńca, gdzie, jak mówiłem, wszystko pozostawało w gotowości do ruchu. Krążące pogłoski o mającem jakoby wybuchnąć powstaniu na Podolu niepokoiły publiczność, która już teraz była świadkiem smutnych prób ruchu na Wołyniu i Ukrainie. Nie mając zaś na to upoważnienia od wyższej władzy, Komitet Rządu Narodowego w Kamieńcu sam rozwiązywać spiskowych nie mógł, którzy z obawy, iżby ich nie wykryto i nie pozabierano z domów, gotowi byli iść w pole i lasy, by za przykładem może wołyńskiego ruchu przejść przez granicę i schronić się do Galicyi. Miałem upoważnienie jechać do Kamieńca i organizację, w znaczeniu militarnem, rozwiązać, pozostawiając im za zadanie dopomaganie więźniom — wszystko zaś, co mogło grozić jakimkolwiek niebezpieczeństwem indywidualnej wolności, lub konfiskatą majątku, wyrzucić z programu ich czynności. Program więc działalności Rządu Narodowego stawał się coraz bardziej konserwatywnym, od chwili, kiedyśmy weszli do komitetów tajnych. Wyruszyłem w podróż na Berdyczów, i drugiego dnia, zbliżając się do jakiegoś mostku, który był w dolinie, z góry już widziałem włościan, uzbrojonych w lance, stojących przy mostku, których zadaniem było zatrzymywać podróżnych. I najczęściej chłopstwo to, nie łamiąc sobie głowy nad rozpatrywaniem paszportów, odprowadzało jadącego, pod eskortą, do zarządu gminnego najbliższej wioski, gdzie często dzień cały przesiedzieć wypadało; lub od humoru chłopów zależało odprowadzić do pobliskiego miasta powiatowego i oddać w ręce policji, która z obawy przed odpowiedzialnością, wolała odsyłać do miasta gubernialnego, gdzie w więzieniu przesiadując, nieraz trzeba było przez rok cały wyczekiwać z kolei dekretu uniewinającego, jeśli nowych komplikacji nie zaszło. Często nawet, jeżeli to był właściciel ziemski, rozmarzone¹⁾ chłopstwo i pop miejscowy, dowiedziawszy się o odstawieniu właściciela, podczas podróży nawet, do gubernialnego miasta, naraz wysyłali dopełniające denuncyacje własnego pomysłu do sądów polowych,

¹⁾ Rozpuszczano bowiem wieści między chłopstwem, że majątek zesłanego na Sybir ma być skonfiskowany i chłopom miejscowym rozdany. Nie chłopom, lecz urzędnikom rozdawano. (P. A.).

które nawet niewinnych dekretowały. Tak Rudzki np. z Radomyskiego najniewinniej rozstrzelany został. Owóz widząc z góry, że chłopstwo skupia się przy mostku, by mnie zatrzymać, dałem śpiesznie na piwo furmanowi pocztowemu, a ten wcał konie puścił i batogiem znaczył, by chłopstwo się rozstało i nie tamowało mi przejazdu przez mostek. Ujrawszy tę pewność mego woźnicy, chłopci usunęli się z drogi, a ja wcał przez mostek przejechałem, niby kurier jaki. Przed samym Kamieńcem spotkałem mego znajomego Wł(odziemierza) Cz(arnowskiego), który wyjeżdżał w okolice, lecz widząc mnie, do miasta powrócił, by się ze mną zobaczyć.

W Kamieńcu parę dni bawiłem, znajomych odwiedzałem, zanim do członków Komitetu poszedłem. Byli to Wł(adysław) G(órski), Z(ygmunt) S(tarorypiński), G(iżycki), J(abłonowski). Zlecenie moje spełniłem, nakazując, by wszystkie insygnia, jak pieczęć Rządu Narodowego, oraz druki, do wody powrzucali i wszelkie ślady zatarli. Zawiele było tam jeszcze militaryzmu, by z dyscyplinarnych przepisów i obowiązków zwolnić chciano. Nieszczęście chciało, iżby wysłano to przez kurjera do Wydziału... przez Drużbackiego, którego pojmano i osadzono w fortecy. Jedyny to był może wypadek, gdzie z taką jawnością na drogę władzy tajnej wpadł rząd zaniepokojony. Męczono Drużbackiego w fortecy; generał-gubernator Bezak sam chodził do więzienia, by wszelkimi obietnicami wyrwać od niego słowo prawdy, łudzając go przyrzeczeniami najwspanialszemi. Nic nie wskórał władca; zamarły na ustach Drużbackiego nazwiska udział biorących w zarządzie tajnym i z tem poszedł do grobu, rozstrzelany...

Ja, powracając z Kamieńca, zajechałem w Berdyczowie do Szafnaglów; na wsiedanem już do powozu podała mi gospodyni domu kurę upieczoną, w papier zawiniętą; ponieważ zaś później i Szafnagel był osadzony w fortecy, przy rozpatrywaniu sprawy Drużbackiego, który tuż za mną był wyprawiony z Kamieńca, zmieszano moją kurę z pakunkiem Drużbackiego. Woźnica pocztowy, który mnie wiozł z Berdyczowa, zaczął opowiadać, że mi dano u Szafnaglów jakąś paczkę, w papier owiniętą; i tylko, gdy go na sądzie polowym postawiono obok Drużbackiego, zeznał, iż to nie był ten podróżny, co i Szafnagla i mnie od fortecy uwolniło.

W jesieni odebrałem zlecenie od Rządu Narodowego, abym wyjechał do Odessy, zawsze dla zamknięcia czynności organizacyjnych, w celu zmniejszenia liczby ofiar, i tak już dostatecznej. Zwykle przed wysłaniem ajenta specjalnego zawiadamiano o tem zarządy miejscowe, nie wymieniając nazwiska tego, który posiadał nadzwyczajne umocowania. Przyjechawszy do Odessy, w celu odwrócenia od siebie podejrzeń, które najczęściej przez nieostrożność i gadulstwo wielu kompromitowały, przez kilka dni odwiedzałem krewnych i znajomych, a nawet bywałem w towarzystwach rosyjskich. Po tygodniu dopiero, wieczorem, wszedłem do mieszkania W(ernickiego?) i zastawszy go w domu, po znaku umówionym, oznajmiłem mu, iż dalsze czynności Rządu Narodowego mają być zawieszane, spiskowi rozwiązani, pozostawieni zaś tylko stróże bezpieczeństwa, w celu ratowania więźniów i niesienia pomocy potrzebującym. Powiedział mi W., iż skorom się pokazał w operze, wszyscy wpadli na myśl, iż to ja muszę być tym przysłanym nadzwyczajnym ajentem. Bardzo mi to było nie na rękę, zawiadomiono bowiem z Kijowa generała-gubernatora odeskiego, by śledził i odszukał ajenta. Poszukiwania zaś władz odeskich były energiczne, szczególnie z tego powodu, że emigrującym zagranicę ułatwiano najczęściej schronienie na statkach zagranicznych, odpływających od brzegów odeskich. Wielu tak bardzo skompromitowanych, że im kara śmierci groziła, chroniąc się przez Odese, zagranicą się ukryli. Zostałem w Odessie pewne jeszcze ślady czynności Rządu Narodowego, dowodzące, o ile były dla obrony sprawy narodowej niedostatecznymi, i że kierownikami tych robót była młodzież, pod której naciskiem starsi musieli ustępować. Zorganizowano np. do trzystu marynarzy w Mikołajowie, którzy to mieli tworzyć flotę — siłę morską, dla obrony sprawy narodowej przeznaczoną; dla nich to nabyto jakiś stary okręt, który miano naładować zbożem; a partya ta miała wyruszyć ku brzegom Kaukazu, gdzie za zboże miano nawołać Czerkiesów do ruchu i do dywersyi. Było to to samo, co owe nadzieje, nasamprzód w Galicyi w r. 1848, a później u nas, w 1863, iż za różne obiecanki znajdziemy pomoc we włościanach, którzy nam za to zaufanie najsmutniej się wypłacili. W każdym razie wiele osób, mieszkających w Odessie, znajdowało się w niemałym kłopotcie: wymagano bowiem od nich złożenia dla sprawy narodowej ofiary w zbożu, by je na

stary ten okręt ładować. Marynarze zaś spiskowi, wyczekujący w Mikołajowie lada chwila wezwania do ruchu, z obawy, iżby ich nie wykryto i nie aresztowano, chcieli co najspieszniej się uzbroić i zająć okręt, którym miał dowodzić admirał Z. A., mający w tym celu przybyć z zagranicy. Ma się rozumieć, że spiskowi, jak zawsze i wszędzie, o sile całkowitej pojęcia nie mieli, zawsze bowiem dla dodania ducha o tej sile rozsiewano wieści najrozmaitsze i przesadne. Co najspieszniej więc kazałem ich rozwiązać, okręt i zboże — jeśli jest jakie zebrane — wyprzedać, a pozostałe pieniądze wysłać przez ludzi wybranych, zagranicę X(ięciu) C(zartoryskiemu), który ich użyje jako funduszów, na potrzeby narodowe przeznaczonych. Ustaliłem w tym celu nowy zarząd, do którego powołałem z zamieszkałych w Odesie: B(agueńskiego?), C., Jo., Je. Również należało wysłać do Konstantynopola i do Galicyi zlecenie rozwiązania i tam pomocniczych działów (s), które odeskiemu zarządowi podlegały. Tego wszystkiego dopełniwszy, powróciłem do Kijowa.

Na wiosnę roku następnego wyjechałem na wieś do Osiniaczki, do majątku brata, aby trochę do porządku doprowadzić interesa jego, które były również zachwiane z powodu, iż go wysłano do Saratowa. Po powrocie do Kijowa odebrałem wezwanie od gubernialnego marszałka, Horwatta, bym tam pozostał. Tu mi przypadło w udziale być świadkiem zmian, a raczej zwrotu, jaki rząd nadał całemu kierunkowi sprawy włościańskiej, ponieważ oburzony na Polaków za ruch, wywołany w naszych guberniach i na Litwie, postanowił nas od wszelkich wpływów na włościan usunąć. Wszystkie posady »mirowych pośredników«, przez Polaków, właściciele ziemskich, zajmowane, obsadzono urzędnikami rosyjskimi, z różnych gubernii powołanymi, a co gorsza, ludźmi rozmaitych kolei i stanowisk, żadnej uprzednio styczności z włościanami nie mającymi, a więc i najmniejszego pojęcia o warunkach agrarnych. Byli to urzędnicy wojskowi dymisyonowani, ba, nawet i generałowie ze służby usunięci, którzy zjeżdżali się z najodleglejszych części Rosyi do naszych prowincyi dla zajęcia tych posad, dosyć korzystnych. Hasło liberalizmu w imię reformy włościańskiej nawołało roje urzędników pseudoliberalnych, czyhających na wszystko, co tylko miało cechę własności obywatelskiej, prze-

dewszystkiem polskiej. Obcinano ziemię większych gospodarstw, obniżano szacunek wykupowej sumy do minimum, a wszystko to pod pozorem humanitarnych skłonności dla włościan. Powstała taka kurzawa pojęć i tendencji napływowych urzędników, że trudno było rozpatrzyć wszystkie szczegóły każdej sprawy, opacznie tłumaczonej.

Wszystkie te sprawy podlegały wyrokowi komitetu gubernialnego do spraw włościańskich. W tym komitecie, pod prezydencją gubernatora, zasiadał i marszałek gubernialny, Horwatt, a również dwóch deputowanych: Karol Trypolski, ojciec mojej dzisiejszej Żony i hr. Bolesław Moszczeński, wszyscy trzej koledzy moi w pracach naszych komitetowych około uwłaszczenia, o czem pierwszej wspominałem. Otóż, ponieważ wyroki komitetu gubernialnego tylko jednogłośnie zatwierdzały bez prawa apelacji przedstawienia »mirowych«, dotyczące ilości i szacunku ziemi obywatelskiej, podlegającej obowiązkowemu wykupowi przez włościan, odmienna zaś opinia jednego z członków, a przede wszystkim gubernialnego marszałka, dawała prawo przenieszenia sprawy do wyższych instancji: do generał-gubernatora i do ministra, każdy więc obywatel pokrzywdzony udawał się z prośbą do marszałka, by swą opinię protestującą do jego sprawy przyłączył, co go mogło jeszcze ratować w dalszych wyższych instancjach. Przekonano się następnie, iż wszystkie prawie sprawy musiał marszałek protestować i do każdej z nich opinię swą dołączyć. Zdarzało się, iż po kilkadziesiąt opinii takich na każde posiedzenie przynosić Horwattowi wypadało. Praca ta dla niego była ogromnie uciążliwą, a wobec innych zajęć, do wykonania niemożliwą. Powołano więc i mnie do studyowania spraw i redagowania tych opinii, które Horwatt podpisywał i do dekretów, większością głosów zapadłych, dołączał. Obywatelstwo, jak pierwaj dla odwiedzenia krewnych uwięzionych, tak teraz dla skarżenia samowolnych czynności »mirowych« zjeżdżało się tłumnie do Kijowa.

Nie mając żadnego zajęcia, zarazem pozostawszy bez żadnych środków do życia — 5% pozostawiony mi przez wierzyteli Jaropowieckich, najczęściej rąk moich nie dochodził — zmuszony byłem jakieś zajęcie wynaleźć, by sobie środek do życia zapewnić. Trzy drogi były dla mnie otwarte. Jedna — naukowa; mając bowiem z uniwersytetu stopień kandydata nauk

przyrodzonych, mógłbym zająć katedrę i nawet były poczynione dla mnie ułatwienia przez Michała Grabowskiego, który jako minister wyznań i oświaty w Warszawie katedrę ekonomii politycznej mi proponował; przedtem bowiem napisałem kilka artykułów treści ekonomicznej do gazet, co świadczyło, iż ten przedmiot obcym mi nie był. Ale jużto cały system Wielopolskiego nie robił nadziei powodzenia, a ślady prędkiego zgonu, czuć się dawały, z tem zaś i posady ministrów w Królestwie trwałemi być nie mogły; jużto czułem w sobie silne przywiązanie do kraju swego, gdzie łatwiej mi było, wśród swoich, znosić upadek mój materyalny. Przeniósłszy się do Królestwa, chociażby do Warszawy, nie łatwoby mi było pozyskać względy, których w swym kraju doznawałem. Przytem mając w swym charakterze, który miałem czas w różnych kolejach życia snadnie wystudować, czułość dla prześladowanych, bez najmniejszej zazdrości dla doznających w życiu powodzenia; usposobienie szczere nieść pomoc powołanym do walki o byt, przez rząd zagrożony — do zajęcia jurydycznego się skłaniałem, tem bardziej jeszcze, że zarówno moje interesa, jak i brata mojego, i całej rodziny, wymagały stróża prawnego, co, jak się później okazało, było koniecznem, i powodzeniem mnie wynagrodziło. Miałem takż możliwość zajęcia miejsca przy jednej z rafinerii cukrowych, co, może to być, i materyalnie w początku dogodniejszym było — ale wyznaję, że niepowodzenie przedtem moje własne przemysłowe pewną urazę, a raczej pewien wstręt do przemysłu wzbudzały. Miałem jeszcze propozycję od jednego z przyjaciół dzierżawić na wspólnkę, z jego kapitałem — i tu nie chciałem już ryzyka nowego przedsiębrać, doznawszy zawodu gospodarczego; rozumiałem to dobrze, iż jedno niepowodzenie ludzi nie zrazi, ale powtórne może i zawsze spotyka sąd ostrzejszy, nie dający się przy powtarzaniu błędu niczem naprawić.

Osiadłem więc na dobre w Kijowie i sprawami na początku włościańskimi, a później wogóle obroną jurydyczną się zająłem. Jakem to wyżej mówił, obrona interesów właścicielskich wobec górującego systemu obcinania większych własności na korzyść włościan, była nie łatwą. W każdej sprawie jużto część własności zagrożona, jużto szacunek wykupowy obniżony, czy zredukowany prawie do zera, wymagał procesowego dochodzenia.

sprawiedliwości; ale z kimże ten proces miał być prowadzony? z tym samym przecie rządem, który od najniższej do najwyższej instancyi jednym duchem był owiany: stać po stronie chłopa. Dostrzegłem więc prędko, iż nie tyle o treść idzie, ile o formę: należy pilnować terminów apelacyjnych, skarżyć nieustannie, aż dopóki biuro komitetu gubernialnego, zarzucone skargami apelacyjnymi do stolicy, skąd oskarżoną sprawę najczęściej zwracano dla powtórnego i często potrójnego rozpatrzenia, skłaniało urzędników gubernialnych, zmęczonych, do zakończenia sprawy polubownie na miejscu. Ten kierunek, nadany przeze mnie sprawom mi powierzonym, zmuszał mnie wyjeżdżać do stolicy, gdzie miałem się starać już nie o wygraną — ta droga była niemożliwą — ale o zwrot sprawy na miejsce, dla powtórnego rozpatrzenia. Była to niby kasacya, przy ministrze spraw wewnętrznych osobnemu wydziałowi powierzona. Dostrzegłem wprawdzie minister Wałujew, iż sprawy z naszego kraju noszą cechę odrębną: że własność, szczególnie polska, jest w sposób niesprawiedliwy organizowana i że przy takim ogólnym nastroju i własność rosyjskich obywateli cierpi; rzeczą byłoby bowiem niemożliwą nadawać włościanom własność — u Polaków po cenie o wiele niższej i w ilości daleko większej, aniżeli u sąsiadów rosyjskich, a roczny czynsz u tych ostatnich prawie w dwójnasób większy oznaczać, niż dla włościan przy folwarku polskim.

Zebraliśmy się na narady u gubernialnego marszałka Horwatta, jak się tu nam na przyjazd ministra Wałujewa zachować wypada? Uradzono, ażeby powierzyć mnie i marszałkowi Podola Jakubowskiemu, przygotowanie memoriału, który na ręce marszałka mamy złożyć, a ten na audyencyi, przez ministra mu danej, ma przy rozmowie i objaśnieniach tym memoriałem się posługiwać. Minister Wałujew, urodzony z matki Niemki z Nadbałtyku, z wykształceniem europejskiem, z darem wymowy niepoślednim, czuł to dobrze, o ile poczucia konserwatywne, zrążone kierunkiem rozkiełzanego liberalizmu na gruncie reformy włościańskiej, i rządowi na przyszłość szkodzić mogą. Przyjechał minister do Kijowa w towarzystwie publicysty z Nadbałtyku, barona Fürchs'a, korespondenta *La Revue des Deux Mondes*. Ten baron, ze stanowiskiem nieoficyalnym, bywał w domach polskich w Kijowie, w celu nabierania conajwięcej faktów

przeciw nadużyciom urzędników przy kaleczeniu organizacji włościańskiej; z nim to miałem rozmowę ożywioną, a przygotowany przezemnie memoriał w duchu konserwatywnym, przeczytałem Horwattowi na godzinę przed audyencyą u ministra, aby mu pozostały w pamięci fakta, których nie brakło na miejscu. Obok sprawy włościańskiej nie można było przemilczeć i o tem, że już trzeci rok po rewolucyi polskiej połowe sądy nie zamknięte zaczynają napełniać fortecę właścicielami ziemskimi, którzy najmniejszego udziału w wypadkach politycznych nie brali, a których powoli ogołacać zamierzają z własności, celem dopisania widokom urzędników, którzy, jako nagrodę za swe starania, po majątku ziemskim dostać mają.

Przy tym to ministrze utworzyło się pismo konserwatywne *Wiest*, którego zadaniem było bronić interesów własności rosyjskiej przed napadami *Moskiewskich Wiedomości*, gazety, wychodzącej w Moskwie i redagowanej przez Katkowa, profesora historii rosyjskiej na katedrze uniwersytetu moskiewskiego. Katkow, ten piorun patriotyczny, który całą Rosyę zagłuszył, tatarskim napadem na stary porządek wywracał wszystko, co jego widokom szkodziło. Do tego wypadki w Polsce ogromnie mu dopomogły. Chwalił Murawjewa, robił zarzuty nawet generał gubernatorom Kijowa, że mało Polaków rozstrzelali. Na wszystkich i wszystko, gdzie się trochę przychylności dla naszej biedy kryło, rzucał klątwę, zowiąc »opolaczonem«. Ministrom robił zarzuty, że opór stawiają sprawie włościańskiej; każdy krok z naszej strony ku obronie zwał »jezuityzmem«; a nareszcie targnął się na brata Cesarza, W-go Ks. Konstantego, czasowego namiestnika Królestwa, któremu zarzucał złą wiarę i zdradę przeciw bratu i całemu państwu, przez skryte protegowanie Polaków. Za zarzut, zrobiony w gazetach ministrowi spraw wewnętrznych, dostał wprawdzie od ministra ostrzeżenie, ale Cesarz, wkrótce potem zjechawszy do Moskwy, z tym samym Katkowem przechadzał się publicznie, jakby dając mu tem świadectwo uznania. Cóż dziwnego, że gazeta *Wiest*, stając niby w obronie praw własności i w duchu konserwatywnym, coraz to słabła w swem znaczeniu, to ustępowała przed pociskami Katkowa.

Zwykle pióro ludzi liberalnych, niby energiczniejszych;

śmielszych, nie wybiera dróg lub środków do napaści, lecz trafiając do mas o cywilizacji niepełnej, w wyrazach nieokrzyszczonych, w epitetach często nieprzyzwoitych, nawołuje opinię już nie do sądów, ale do rozbudzenia pasji najdzikszych. Tę drogę obrał Katkow. Organa prowincjonalne, jak *Kijewlanin* w Kijowie, pobierają subsydia od rządu i miotają na nas, Polaków, zamieszkałych w południowo-zachodnich prowincjach, najohydniejsze oszczerstwa, dodając otuchy urzędnikom do przeprowadzania reformy włościańskiej według swych widzeń i widoków. Organa konserwatywne, jak *Wiest'*, jak nawet *Tielegraf* w Kijowie, jako pisma umiarkowane, ze stylem odpowiednio przyzwoitym czyż są w stanie trafić do czytającej publiczności o popsutym już smaku, poklaskującej nowemu jakgdyby tytanowi narodowemu?

Szlachta rosyjska, *dworjanstwo*, postawiona jakby na drugim planie, zatrzaża się, staje się chwiejną, wobec chwiejności i samego mocarza; zakańcza swą walkę, wręczając brylantowe pióro Katkowowi, przez swego przedstawiciela, marszałka szlachty w Moskwie. Do wygranej Katkowa dopomaga wiele dyplomacya rosyjska, z Gorczakowem, ministrem spraw zagranicznych, na czele; a to z powodu, iż do wypadków r. 1863 dyplomacya rosyjska i państwo nawet, prawie do drugorzędnych zaliczone były. Niepowodzenie w wojnie krymskiej, zakończone zniszczeniem floty czarnomorskiej i śmiercią cesarza Mikołaja I, o żadnym odwiecie myśleć nie pozwalają. Aleksander II rozpoczynawszy reformę włościańską, zajęty sprawami wewnętrznymi, spogląda na Zachód, jako na mocarstwa, które o wiele Rosję w swych cywilizacyjnych krokach wyprzedziły. Wszystkie pisma zagraniczne są czytane z uwagą, a jakikolwiek ustęp krytyczny trwogą przejmuje i do ustępstw skłania. W ten sposób staje się Rosya coraz dostępniejsza dla przeprowadzenia projektu Wielopolskiego w Królestwie. Sam Wielopolski, jako wyższa inteligencya, poczyna nabierać siły i powagi w oczach Rosyan; znajduje dostęp do dworu; przyjmowany przez Najjaśniejszego poufnie, sam sobie obiera miejsce na audyencyach oficjalnych i staje w szeregach, przeznaczonych dla ambasadorów zagranicznych. Jak powiadają, Katkow ówczasem sympatyzuje z objawami liberalizmu w Królestwie i z Polakami negocjuje. Naraz wypadki 1863 r. oburzają Cesarza — przeskakuje

ten Katkow do obozu innego, chwytając za pióro, wywraca porządek i w imię przebudzonego patriotyzmu zrywa z Zachodem, nazywając zgnilizną, co tylko z polityką Piotra I i Katarzyny II nie licuje. Kolektywne noty państw ościennych, wstawiających za dolą naszą, otrzymują odpowiedzi Gorczakowa śmiałe, treściwe, redagowane przez Hamburgera, jednego ze zdolniejszych urzędników ministra spraw zewnętrznych — korzysta z tego Katkow: obsypuje pochwałami Gorczakowa; zyskuje silnego i mocnego stronnika przy dworze. Oparty o Murawjewa przesładuje Polaków, nawołując wszystko co rosyjskie do nienawiści narodowej; wsparty przez Gorczakowa opiera się wszelkim związkom w polityce wewnętrznej, szczególnie z Niemcami, rozpoczynając jednocześnie rozbudzanie nienawiści w narodzie rosyjskim i do Niemców nadbałtackich. W sprawie polskiej uznaje szkodliwość wpływów brata Cesarza, W-go ks. Konstantego, którego powoli opuszczają stronnicy najbliżsi. W sprawie konserwatywno-rosyjskiej napada na *Wiesł*, na ministra Wałujewa, posądżając go o sympatyę dla Niemców, z powodu, iż się rodzi z matki Niemki — dostaje ostrzeżenie od ministra. Cesarz, niezdecydowany wówczas co do obozu, w Moskwie przechadza się z Katkowem — minister Wałujew się usuwa. Nadchodzą wypadki pruskiej wojny z Francją; po przegranej Francuzów rozpoczyna się negocjacja Kongresu Berlińskiego, podczas którego Bismarck obiecuje Rosji rozpatrzenie kwestyi czarnomorskiej, ale nie czeka Gorczakow spełnienia obietnic Bismarcka: pióra Katkova używa do rozbudzenia zbrojnego tętna w sercu Rosyi — Moskwie. Przechodzi przez Bosfor flota rosyjska do Czarnego Morza — Traktat Paryski upada. Bismarck z cesarzem Niemiec i wojskiem przechodzi przez lasy bułońskie — a kamień, leżący na sercu Rosyan od porażki krymskiej, spada tym razem na urojonego obrońcę honoru narodowego — Katkowowa, zmieniając się w brylanty, obsypujące pióro, ofiarowane mu przez szlachtę rosyjską...

Ponieważ najsilniejszym hasłem tego pióra było nie kierowanie się rozsądkiem w polityce wewnętrznej i zewnętrznej, ale poruszeniem najsmutniejszej strony natury ludzkiej: passyi i nienawiści do obczyzny, co łatwo mogło się udawać wobec narodu, zaledwie powołanego do cywilizacji nowej, z której objawami liczyć się wieki mają, nie od rzeczy będzie wspo-

mnieć też o odwrotnej stronie tego medalu, której za naszych czasów przypatrzeć się przypadło nam w udziale. Nienawiść do Polaków rodzi nienawiść do Niemców i Żydów; nienawiść do większych własności — ta znów rodzi nienawistną obyczajową sektę nihilistów. Chwytając się dynamitu walczą oni z porządkiem dawnym i władzą; mierzą w Cesarza, po kilka razy go mijają; wreszcie ten cesarz, który wskutek miękkości serca zbyt często pokochuje jednych, znienawidza drugich, ginie z ręki nihilisty, od kuli dynamitowej. Konserwatyści rosyjscy, chociaż występują do walki, ale tworzą pomiędzy sobą podrażnienia i obozy, cechujące ich słabość.

Zacytuję kilka opowiadań o zajściach między stronami, do jednego wszakże stronnictwa należącami. W-ki ks. Konstanty, charakteru prędkiego, prezydował w Radzie Państwa, gdzie nad prowincjami nadbałtyckimi debatowano. W obronie tych prowincyi stanął hr. Piotr Szuwałow, były generał-gubernator Rygi, i świadomy potrzeb miejscowych opierał się zmianom, czem się naraził prezydującemu. Po zakończeniu sesyi W-ki książę, chcąc dotknąć hr. Szuwałowa, żegna go z niemiecka: *Praszczajcie, Herr von Szuwałoff!* na co hrabia odpowiada mu po polsku: *Żegnam Najjaśniejszego Pana!* Smutne to zaiste, iż dwaj ludzie o charakterach najsilniejszych, ulegli w tej chwili uniesienia — wpływowi gazety moskiewskiej, postugując się, niby obelgą, cechami narodowościowymi krajów, pod jednym i tym samym rządem pozostających. Gdy potem W-ki książę skarżył się Cesarzowi, hrabia tłumaczył się, iż tą samą bronią zmuszony był się posługiwać. A przecież obydwaj byli to najwierniejsi stróże stopniowej cywilizacyi państwa.

Innym razem W-ki ks. Konstanty, który omijał Moskwę w przejeździe przez Kijów do Krymu, zatrzymuje się u generał-gubernatora Bezaka. Wiedząc, iż ten ostatni, party przez czerwonych miejscowych urzędników, w drodze do Petersburga zboczył na Moskwę, by być z wizytą u publicysty Katkowa, co stanowisku generał-gubernatora uwłaczało, zapytuje W-ki książę Bezaka: *Czy byłeś z wizytą u Katkowa?* a po odpowiedzi Bezaka twierdzącej, splunął w uniesieniu na bok i do swoich pokoi przeszedł. Tegoż dnia, na audyencyi obywateli poznawszy ks. Romana Sanguszkę, który doznał prześladowania Bezaka, powołał ks. Romana do swoich pokoi i grzecznie go przyjął.

rozpytujac się o powód nieporozumień z Bezakiem. Obawialiśmy się, by to jeszcze więcej ks. Romanowi nie zaszkodziło.

Ale generał-gubernator Bezak był to człowiek co najpewniej rozumu szczerego, wyszukiwał w sprawach prawdy, łatwo ją odkrywał i w postanowieniach nie błędził. Generał artylerji, żołnierz o formach szorstkich, w ruchach i w mowie niezgrabny bardziej, niż układny, mając do czynienia z armatami, przechował też w sobie coś armatniego. Nie unosząc się głos podnosił, ale wolno było w obronie sprawy bodaj się z nim sprzeczać; przysłuchiwał się cierpliwie i uważnie każdej obronie, każdemu argumentowi przeciwnika, i jeśli obrona była trafna, argument armatni — to ustępował. Ładną jeszcze miał i tę stronę charakteru, iż często wspominał, że kiedy będąc jeszcze junkrem stał z pułkiem w Braiłowie, chodził do właściciela Jukowskiego, a jednego razu ten się odezwał do Bezaka: *Zdejm, młodzieńcze, mnie buty!* dopomógł młody Bezak zdjąć buty, na co Jukowski, który był wiekowym, zwrócił uwagę i w te słowa się odezwał: *Będzie z ciebie kiedyś człowiek, kiedy umiesz wick szanować, i dobrej czynności się nie wstydzisz!* Panią Jukowską, która jeszcze żyła, przyjmował jak najuprzejmiej, kiedy do Kijowa zjeżdżała.

Chcąc zakończyć z Katkowem, muszę tu dopełnić, iż po piórze brylantowem nie długo gościł w Moskwie: zebrawszy sporo grosza, powołany został do Petersburga na członka Rady Państwa, jednocześnie z Gałaganem, luminarzem małoruskim. Chciano albo dopełnić Radę przez udział w niej dwóch wpływowych ludzi — jednego z Moskwy, a drugiego z Małorusi, albo wprost zabrać ich z miejsc zamieszkania tam, gdzie już dla rządu szkodliwymi być nie mogli; przedtem bowiem z nimi się liczyć, osobliwie z pierwszym, rząd był zmuszony. Katkow, chociaż pozostał właścicielem *Moskiewskich Wiedomosti* i do nich czasami pisywał, a w każdym razie niemi kierował, nie mógł już, będąc członkiem Rady Państwa, swobodnie i grubijańsko w nich występować. Żydzi, dostrzegłszy to, opłacili mu się sowicie i kupili jego milczenie; zobowiązał się bowiem, kupiwszy sobie krociowy majątek, o żydowskiej kwestyi przemilczeć, pomimo, iż zaczęto zlekka ją w sferach wyższych poruszać. Po śmierci Katkowa dopiero do żydowskiej kwestyi wzięto się silniej, jak to dziś widzimy; ale *Moskiewskie Wiedomosti*,

choć w obronie żydów nie stają, jednak i o prześladowaniu milczą, co zaczyna inne pisma rosyjskie gniewać, a nawet czynią one tej gazecie otwarte dzisiaj zarzuty.

Musiałem w krótkości zrobić przebieg 25-letni publicystyki rosyjskiej, a to z powodu, iż z niej uderzył piorun złowrogi, który w nas trafił, i z którym liczyć się nam nadal wypadnie. Po śmierci Katkowa rozpoczął się wyłanianie nowy gabinet, z sekretarzem Synodu Pobiedonoscewem na czele, który buduje dla Wszechrosyi jedyny kościół prawosławia, nadaje kierunek nowej cywilizacji, pod hasłem, w imię której prowadzi 60-milionową ludność, wyzwoloną z poddaństwa, do nowego życia politycznego. Dziś rok 1893 — czytamy rozporządzenia zamykania kościołów katolickich; dziś gaża popów prawosławnych podwojona; dziś 1500 urzędników kolei żelaznych południowo-zachodnich, usuniętych, pozostaje bez chleba. Przeżyliśmy militarizm Mikołaja I, który ginie wraz z krymską wojną; ale ten, aczkolwiek despota zarówno dla wszystkich poddanych, nie cierpi rewolucyi 1831 roku, ale też nie cierpi samowoli w sądach polowych i je po wojskowemu skraca; w podróży zaś przez Rzym, jako głowa kościoła prawosławnego, łącznie z Papieżem, głową kościoła katolickiego, korzy się po chrześcijańsku przed Grobem Piotra św., rachuje się z sumieniem i przyrzeka Papieżowi, po powrocie do Rosyi, powołać biskupów katolickich na posady opróżnione, mianując jednocześnie ks. Hołowińskiego metropolitą — arcybiskupem — duchowieństwa katolickiego i osadzając go w Petersburgu, przy Akademii Duchownej katolickiej, której nie odmawia kosztów na należyte utrzymanie i kształcenie. Przeżyliśmy panowanie Aleksandra II, który zmieniając politykę ojca i rozpoczynając od chwalebnej karty uwłaszczenia włościan, posuwa się i w innych reformach ku poczuciom liberalniejszym, ale oburza się niepomnie przeciw Polakom, jak to sami Rosyanie znajdują, iż *il est toqué sur la haine contre les polonais*. Rozkiełznał on ludność, pozwalając roznamiętniać zawziętość ku nam, z czego powstały inne prześladowania i wreszcie zginął z rąk rozkiełzanych namiętności nihilistycznych, jako następstwo, pobudzonych do czynu nienawiści, w celu utrzymania polityki wewnętrznej. Przeżywamy dziś panowanie Aleksandra III, który czyni zmianę w polityce, wysuwając szlachtę na pierwsze miejsce, ale tylko w drodze

ekonomicznej pomocy; wszelkie zaś ślady nienawiści powołują się do czynów w granicach nadbałtyckich, w synagogach, i stosować się mają do chrześcijan katolickiego wyznania.

Wracając do wypadków początkowego usposobienia, wzburzonego już to przez publicystykę, już to przez *haine* Monarchy, już to przez różne stronnictwa, korzystające z prześladowań, należy zacytować ukaz r. 1865, z dnia 10. grudnia, wzbraniający Polakom, zamieszkałym w wojennym okręgu kijowskim (w trzech guberniach) i w pięciu guberniach litewskich, nabywania własności ziemskich, oprócz w drodze spadku, jednocześnie obciążający własności Polaków w tych guberniach kontrybucją 10%, dodatkowy do zwykłego opodatkowania. Innemi słowami, było to dążenie do pozbycia się co najspieszniej właścicieli-Polaków, a jeszcze jaśniej: wypowiedzenie wojny własności ziemskiej polskiej w drodze jurydycznego, policyjnego i ekonomicznego prześladowania.

Przyklasnęli nasamprzód temu ukazowi nieprzyjaciele wszelkiej własności, przyklasnęli organizatorowie włościańscy, przyklasnęli przyjaciele otwarcia cudzej własności, roje urzędników rosyjskich, czyhających na opróżnione miejsca i posady dochodowe. Zjawili się nabywcy na majątki nawet tacy, którzy oprócz kapturka, często próżnego, innych środków dobrobytu nie wykazywali; snuły się po kraju najzabawniejsze kreatury, które oglądały majątki ziemskie, robiły wyliczenia na miejscu, i z całą dziecinną naiwnością przedstawiały swoje warunki kupna u Polaków, na podstawie zrobionego przez siebie obliczenia... Mianowicie, po odebraniu wykupowej sumy, należnej od włościan — rząd bowiem i tę zabronił wypłacać do rąk właścicieli-Polaków — po zniszczeniu majątku przez sprzedaż młynów i lasów żydkom, tuż stawiającym swe ceny i warunki, a często nawet i przez sprzedaż mieszkalnego domu, miał taki nabywca część tylko wypłacić właścicielowi, tłumaczył się bowiem, iż z realizowanej sumy musi coś sobie zostawić na zagospodarowanie się, na »faktorne« żydowi, na łapówki, a co najważniejsza: na przehulankę. Roje takich »pierwiastków« pojawiały się w naszym kraju.

Czerwoni Ignęli do posad »mirowych«, uposażonych pensją 3000 rs., t. j. większą, aniżeli połowa gaży gubernatorów i gubernialnych marszałków. Pomiedzy tymi napływowymi do

reformy włościan urzędnikami znajdowali się też ludzie zdolności niepoślednich do wywracania podstaw organizacji prawidłowej, i z nimi to miałem niemało trudności, zanim z ich strony ustępstwo, na drodze polubownej, otrzymywałem. Dla tych właśnie najważniejszych powodów i do stolicy jeździć musiałem. Jenerał-gubernator i inne władze oglądały się na stolicę: sami przez się czuli niesprawiedliwość, ale przychylić się na stronę właścicieli nie mieli odwagi. Odkrywali drogę do skarg, ale w odmówieniu włościaninowi najniesłuszniejszych pretensyi odpowiedzialności wzięść na siebie nie chcieli. Najjaśniejszy pokładał zaufanie tylko w tych ludziach, którzy go bawili nadziejami wdzięczności i niezłomnej wierności chłopca, stanowiącego 60-milionową ludność. Milutyn i ciotka Cesarza Helena Pawłówna strzegli tej iskry w Monarsze, dopuszczając do jego bliższego otoczenia ludzi, li tylko ze swej ręki pochodzących. Z pośród tych napływowych urzędników młodzież, często bez żadnego jurydycznego wykształcenia, wysadzała z biur zasłużonych Polaków, nieskazitelnością nawet celujących. Wszyscy ci nowi przybysze, w razie odmowy im miejsca, oskarżali gubernatorów, że przytrzymują Polaków na posadach i urzędach rządowych.

Ale wśród nich najzabawniejsi byli wywłaszczyciele folwarków. Berdyczów, miasto przez żydów zamieszkałe, ściągało ich najwięcej. Wjeżdżał do miasta nad wieczorem taki nowo-przybyły a śpieszny nabywca na własność folwarku, rozpytywał się faktorów o majątki Polaków, o dogodność jak najspieszniejszego wyciągnięcia, co można, gotówki, chociażby spowodowało to rujnę majątku, zlekka wspominał faktorowi żydowi o szkodliwości żywołu polskiego, oddawna osiadłego w kraju i o pożytku zastąpienia go elementem rosyjskim. Dzieciaki myszuresy, chwyciwszy ten wyraz, takiego wjeżdżającego do miasta zapraszali, by do ich domostwa zajeżdżał, wrzeszcząc na całe gardło: *Prosimy pana jenerała! prosimy pana »elementa«!* Ośmielony przybysz — tym drugim tytułem — wjeżdżał do domostwa, z całą patrycyuszowską powagą zasiadał do samowaru, faktorowi, tuż przybyłemu z miasteczka, całą głęboką myśl nowego ukazu wykladał, wszystkie najzjadliwsze argumenta, wyuczone przedtem na pamięć z pióra Katkowa, recytował jak z kranu; uczył, jak ma faktor zniechęcać Polaka do własności: strasząc go to tem, iż należnej od włościan wyku-

powej sumy nigdy nie odbierze, to znowu, że lada moment może być powołany — właściciel-Polak — przed sąd polowy, osadzony w fortecy i wysłany na Syberyę a majątek jego skonfiskowany, że on przyjezdny wie o pewnych kondemnatach (które to przez chłopów, to przez popów naprędce się układają) na takiego właściciela i że deską zbawienia — przybyły »element«, który ma cały projekt przygotowany dla wyratowania właściciela-Polaka z rodziną od zguby ostatecznej¹⁾.

Często taki przyjezdny »element«, wyszkoliwszy należycie faktora, kończył przemowę uprzedzeniem, iż jako dowodu patriotyizmu, wymagać może od żyda trochę gotówki, a przede wszystkim zaspokoiwszy się pewną ilością tytoniu, wsypanego do opróżnionego kapszuka, wyruszał z tymże faktorem do pierwszej upatrzonego właściciela na oględziny majątku. Na nieszczęście parę interesów udało się tą drogą złożyć: zatrwożony właściciel ziemski ratować się musiał. Zachęciło to przybyszów do coraz większych poszukiwań. W gronie ich znalazł się i Grek jakiś, i »sprawnik« miejscowy, i krewniaczek gubernatorów, i dawny kolega tegoż — gdzieś usunięty z urzędu za przeszkobanie dawniej, a wszyscy prawie podrójnowani na kawałkach ziemi wielkorosyjskich gubernii, i z »formularnym spiskiem« nie zupełnie jasnym. Musieli już przedtem, po podrójnowaniu się, gdzieś i na urzędach w nadużyciach się odznaczyć, więc do zajmowania innych posad, jak np. »mirowych« nawet chęci nie mieli, w »patriotyźmie« na cudzą kieszeń celowali. Zjeżdżali i do Kijowa, do władz dawniej przez nich znanych, lub jako nabywcy nowoprzybyli. Dokuczali nieustannie władzom, skarżąc się, iż Polacy uporczywie trzymają się przy własności, i na ich uprzednio wspomniane — projekta i wyliczenia z tabliczek, nie zgadzają się.

Jenerał-gubernator Bezak, ze szkoły Mikołaja I, i gubernator kijowski Kaznakow, ze szkoły pałacowej, gdyż był uprzednio »diad'kiem« — mentorem — następcy tronu, przyzwycza-

¹⁾ Trzeba pamiętać, że sądy polowe, trwające przez lat 6 po wypadkach r. 1863 — gdyż skasowane przez Cesarza dopiero w Wierzbolowie, w drodze do Paryża — nie mając do czynienia przez tak długi czas ze schwytanymi z bronią w rękę, zapelniały więzienia już tylko podejrzanymi o udział, a najbardziej właścicielami ziemskimi, którym posiadanie własności za występki poczytywano. (P. A.)

jeni do rygoru wojskowego za rządów despotycznych, zrazil się do tej napływowej pseudoliberalnej zgrai; konserwatyści zaś stołeczni w początku nie szli chętnie do kupna własności u Polaków, a bardziej jeszcze nie chcieli należeć do kompanii »elementowych« nabywców. Bezak — zajechał w Moskwie do Katkowa; wysnuto nowy projekt wynarodowienia Polaków, wyrobiono nowe prawo dla generał-gubernatorów, iżby niekoniecznie zapelniać fortecę właścicielami-Polakami w celu ich wywłaszczenia, ale dozwolić generał-gubernatorom uznawać za winnych w sprzyjaniu rewolucyi — *w przyczastii k miatieżu* — i tych wysłać do głębszych gubernii Rosyi, dając im dwuletni termin do obowiązkowej sprzedaży majątku. Tak wpadł Teodor Jełowicki, którzy sprzedał majątek Humański, jeden z najpiękniejszych, Siwersowi; tak zmuszony był Henryk Jaroszyński wyprzedać Tywrowszczyznę Koczubejowi; tą drogą szwagier mój, Świętosław Metelicki, wysłany do Ekaterynosławia, zmuszony był do wyprzedania dwóch wiosek, ale od tego udało mi się go uwolnić.

Zaszedł wypadek w Białej Cerkwi: strzelono przez okno do lokaja Konstantego hr. Branickiego, który to lokaj, po ułożeniu swego pana do łóżka, odmawiał modlitwę przed obrazem, w rogu pokoju zawieszonym. Nie tylko złoczyńcy nie wykryto, ale policya, zjechawszy na miejsce, rozpoczęła swe poszukiwania, wzbraniając równocześnie Konstantemu Branickiemu wyjazdu zagranicę. Zniechęcony tem hr. Konstanty postanowił cały swój majątek w Rosyi wyprzedać i wynieść się zagranicę bezpowrotnie. Cesarz, dla zachęcenia innych możniejszych Rosyan do wywłaszczania Polaków, kazał nabyć schedę Konstantego Branickiego na własność rodziny cesarskiej, t. zw. *udiel*.

Bezak, po wizycie u Katkowa w Moskwie i po powrocie z Petersburga, objeżdża kraj nasz; do swoich notat zamieszcza majątki możniejszych Polaków: Felixa Sobańskiego z Obodówki na Podolu, Romana Sanguszki ze Sławuty; wysłała adjutanta swego bar. Ixkuella do Sobańskiego, do Sanguszki, dla wyszukania powodów do kary administracyjnej. Felixostwo Sobańscy (pani — z domu Łubieńska) przyjmują bar. Ixkuella (brata ówczesnego posła w Wiedniu) jak najgościnniej. Przechadza się baron po domu, zagląda do biblioteki, do szafek — w jednej z nich widzi butelkę szklaną w formie pistoletu, z kurkami też

szklanymi, w której znajdowało się trochę prochu, przeznaczonego dla wiosennej obrony drzew od kruków. To miało posłużyć za podejrzenie Felixa Sobańskiego w chęci brania udziału w powstaniu: nie wolno było Polakowi trzymać broni w domu, a zatem i prochu. U ks. Romana Sanguszki w księgach kasowych miały być zapisane sumy, wypłacane do rąk ludzi, nie mających styczności z gospodarstwem, przypuszczano więc, że to dano powstańcom.

Doszło to do naszej wiadomości; zawiadomiliśmy Felixa Sobańskiego, aby zamiast mieszkać na wsi, przyjechał na zimę do Kijowa, dokąd zjechali hr. Władysławostwo Branicy (pani z domu ks. Sapieżanka), Antoniostwo Złotnicy (pani — z domu Jełowicka), Adamostwo Bierzyńscy (pani — z domu Czarkowska) i inni. Zaczęto bywać u Bezaka, u gubernatora Kaznakowa, na rautach i wieczorach tańczących. Przyjeżdża W-ki ks. Konstanty; przyjęciem Romana Sanguszki osłabia kroki prześladowcze Bezaka. Pani Kaznakow, z wychowaniem pałacowym, tłómaczy się najotwarciej, iż większej przyjemności doznaje w towarzystwie dam — Branickiej, Bierzyńskiej, Włodkowiczów, Cieszkowskiej — aniżeli żon czynowników; urządza wieczory dzieciinne, na których dzieci gubernatorów, w kostymach, szczerze się bawią z dziećmi kostymowanymi domów polskich. Gniewa to czerwonych: paszkwilują i przedstawiają w karykaturach damy polskie; *Kijewlanin* i *Moskiewskie Wiedomości* podnoszą hałas. Tegoż roku zapada ukaz — 10. grudnia 1865 — wzbraniający Polakom nabywania majątków w południowo- i północno-zachodnich guberniach.

Ale Alexander II, miał w swoim otoczeniu jeszcze ludzi ze szkoły Mikołaja I. Byli oni nawskróś militarystem przesiąknięci; karność wojskowa, dyscyplina była ich hasłem; dykcjonarz konserwatystów był dla ich umysłu dostępny. Hałas pseudoliberalnych, wojna z własnością, objawy swywoli rewolucyjne nie smakowały im, chociaż stawali w obronie nowych prądów, jak się wyrażali: wyższego ducha ukazu 10. grudnia; ale nie sędzę, że nie czuli niesprawiedliwości prześladowania wszystkiego, dlatego tylko, że polskie. Pomiędzy ludźmi zasłużonymi wyższych stanowisk był i hr. Adam Rzewuski, pełny generał i J. Montrezor, pełny generał, i ks. Leon Radziwiłł; byli katolicy, np. hrabiowie Lambert; było wielu protestantów nadbał-

tyckich: Dryzdynów, Adlerbergów, Heustenzweigów; byli urodzeni z Polek, hrabia Szuwałów i inni. Jedni — już dotknięci, inni czuli, że i ich to spotkać może, co już dziś w r. 1893 w nadbałtyckich prowincjach widzimy; a wszystko to rozpoczęte nie w drodze zmiany systematu, ale nakazu, w sposób wywracający istniejący porządek. Konserwatyści stołeczni — właściciele ziemscy, odarci z własności wskutek hasła »mirowych« braku szacunku dla sprawiedliwych podstaw organizacji włościan, mieli możność robienia przedstawień Monarsze; a powoli otwierała się droga wyjątków dla Polaków od ukazu 10 grudnia. Znalazł się Rzewuski, siostrzeniec Montrezora, ks. Antoni Lubomirski, krewny Suworowa, hr. Alfred Potocki, namiestnik Galicji, Józef Tyszkiewicz na Litwie, i wielu innych, którym opiekę prawa przyznano. My radziliśmy i życzyliśmy bez zazdrości, iżby się najwięcej Polaków, jeśli jest droga wyrobku, od ukazu 10 grudnia się uwalniało. Józef Jaroszyński, uwolniony za czasów, zdaje się generał-gubernatora Dundukowa, znacznej fortuny się dorobił. Ten bowiem wyłom w ukazie, już przez to się zalecał, że jeśli w tak gwałtownym ukazie robi się ekscypcy, to nie tyle krzywd i niesprawiedliwości dopuszcza się w jego aplikacyi, przez coraz nowe dodatkowe ukazy i tłumaczenia ducha prawa, przeciwko nam wymierzonego, jak to za generał-gubernatora Drentelna i dziś się praktykuje. Powstały bowiem ukazy, wzbraniające zastawów, pożyczek polskich kapitałów na pierwszą hypotekę; powstały procesa generał-gubernatorów, rozpoczęte przeciwko działom familijnym, i jawne jednocześnie wskazania ministra sprawiedliwości sądownictwom, iżby nie śmieli odmawiać generał-gubernatorom, gdyby nawet to się z prawami ogólnymi nie zgadzało. Powstały ukazy, wzbraniające rozporządzeń testamentowych, i Bóg wie jeszcze jakie i ile ich wystąpi.

Każdy z Rosyan, nawet z władz wyższych, czuł się w obowiązku jakby się zamanifestować przy świadkach i wobec Polaka, iż mu nie wierzy; było to niby świadectwo nieomylności (s) narodowej. Bezak powiada hr. Adamowi Rzewuskiemu, iż mu jako wyżej od niego stojącemu generałowi wierzyć należy, ale któż zaręczy, iż synowie hr. Adama będą wiernymi poddanymi rosyjskimi? Na co hr. Adam Rzewuski odpowiedział: *A któż mógł zaręczyć twemu ojcu wyznania hebrajskiego, iż jego synek*

*będzie generałem? Niedalej bowiem jak ojciec lub najdalej dziadek Bezaka był żydem. Ks. Dunduków, przyjeźdznego na kontrakty kijowskie w celach przemysłu cukrowniczego — hr. Alfreda Potockiego, namiestnika Galicyi na urzędzie, spotyka temi słowami: *Mamy od was wysyłanych emisaryuszów do gubernii Wołyńskiej i Podolskiej, którzy mnie niepokoją, i do nieporządków ludność skłaniają; Na co hr. Alfred odpowiada: Nie wiem, co by mieli tu robić? ja zaś we Lwowie mam kilku osadzonych z Rosyi, po kraju pładrujących, a w tej liczbie znajdują się i urzędnicy kancelaryi księcia...**

XI.

Obrona obywatelska.

Sytuacja polityczna, praca, sposoby. — *Sprawa Morgulca*. Ucieczka więźniów. — Odpowiedzialni. — Trud i poświęcenie. — Józefowicz. — Intryga i pomyślny koniec. — *Adwokatura*: Jedyna droga. — Sprawy włościańskie i dwie z nich najgłośniejsze. — Uznanie i pomocnicy. — Po stronie słuźności. — Trudności pokonane. — Praca codzienna. — *Delegacja po zamachu Karakozowa*: Polacy i opinia przeciwko nim. — Przeszkód usuwanie. — Przychylni. — Lista ułożona. — Audyencya. — Petersburg dawniej a dziś. — Stosunki. — Rodzina ks. Dołgorukich. — *Sprawa Metelickiego*: Hr. Szuwałow. — Niepomyślny dla hr. J. Tyszkiewicza wyrok i zwłoka. — Peterhof. — Wodotryski w Rzymie, Wersalu, Zofijówce, a w Peterhofie. — Asocjacje. — Towarzystwo i uroczystości. — Przedstawienie sprawy. — Jednanie poparcia. — Motywy i obrona. — Charakterystyczny epilog. — *Inne sprawy*: Negocjacja finansowo-przemysłowa. — Rozwój stosunków finansowych. — Nadzieje. — Bliski cel i przerwa w pracy przymusowa.

Wobec takich usposobień wiele to było trudności mnie, jeżdżącemu do Petersburga ze sprawami mi powierzonymi, takowe klientom w sposób ich zadawalniający oddawać; ale nie szczędząc starań i kosztów, jakoś mi ludzie nieźle pomagali. Powoli stosunki moje w Petersburgu stawały się obszerniejsze; rozgłos trafnego prowadzenia przezemnie interesów rozszedł się po kraju. W dziale obron włościańskich wiele kosztów miałem; długo ciągnęły się sprawy, nakładów zaś wielkich robić klienci nie mogli. Wielkie klucze miały adwokatów rocznych, mnie w udziale trafiały się tylko sprawy właścicieli mniej zamożnych, ale była to obrona obywatelska, z udziałem gubernialnego marszałka i dwóch współobywateli: Karola Trypolskiego i Bolesława Moszczeńskiego, członków, pozostałych na czas jakiś, gubernialnego Komitetu włościańskiego. Szło tu

o zasadę strzeżenia cudzej własności. Do takich spraw często nie starczyły przeznaczone przez klientów fundusze, które się składały w ręce Karola Trypolskiego. Po wyjeździe marszałka i dwóch członków Komitetu włościańskiego, zastąpionych przez Rosyan, składano mi nawet wynagrodzenia za pracę, ale jak powiadam, włościańskie sprawy nie mogły opłacać koniecznych wyjazdów do stolicy; potrzeba było przyjmować i inne interesa. Z tych — obrony polityczne więźniów — nie mogłem i nie życzyłem sobie przyjmować: dróg pewnych do obrony nie było, a jeśli przez stosunki można było co dopomódz, to robiłem to z najlepszą chęcią. Tak zająłem się sprawą obrony przyjaciela mojego, Adama Bierzyńskiego, który był osadzony w fortecy, a rodzina jego zjechała do Kijowa; tak obroniłem Teodora Morgulca, krewnego mojego, o którym trochę dłużej napiszę; tak uwolniłem szwagra mojego Metelickiego od przymusowej sprzedaży, któremu li tylko stołeczne stosunki dopomogły. Znajomym otwierałem drogi do osób wpływowych. Najwięcej zaś korzyści i mnie dać mogły i na inne koszta wystarczały — to interesa cukrowników: pisanie im dzierżawnych kontraktów, doprowadzanie spółek akcyjnych do układów.

Sprawa Teodora Morgulca, osadzonego w fortecy, ogromnie była utrudnioną, chociaż on był wzięty z domu, nie z konia — tak, jak to spotkało dwóch braci jego: Bolesława i Stefana, z Berdyczowskiego powstania. Osadzony w fortecy Teodor był tamże wybrany starostą, czyli starszym, nad stukilkudziesięciu więźniami osadzonymi w jednej kamerze. W tej to kamerze podkopano się pod fundamenta fortecy i przekopano otwór na zewnątrz, którądy kilku więźniów, którym groziła kara rozstrzelania, uratowało się ucieczką. Nad rankiem, kiedy jeden z więźniów chciał umknąć, i wychylił głowę przez otwór zewnątrz fortecy, pies silnie zaszcekał — szyldwachy, otaczający fortecę, dostrzegli otwór w ziemi. Dano znać do komendanta, zjechały władze forteczne z generał-gubernatorem, sprawdzili co wieczór i co rana powtarzającą się listę więźniów, i okazało się, iż kilku zabrakło.

Odpowiedzialność ciążyła nasamprzód na staroście — Teodorze; zaraz tedy postawiono przy nim dwóch żołnierzy. Przy nim rozpoczęto przeszukiwanie jamy: znaleziono w niej kompas, który kierował robotą podkopową. Kierunek podkopu,

jak również wyjście na zewnątrz wymagało wyliczeń, inżynierom tylko wiadomych: nie mogły być pionowe, co utrudniałoby zejście i wyjście z jamy; musiały mieć pewne wyliczenia robót podziemnych pod kątem, trwałość arki ziemnej zapewniającym. Wpadnięto na myśl, że musi być między więźniami inżynier; zapytano więźniów: *Czy jest między wami inżynier?* Wyszedł naprzód Od., i przy nim postawiono dwóch żołnierzy.

Roboty, jak nam opowiadano, szły prawie przez rok cały; w nocy kilku sprzysiężonych ukrywało się pod podłogą; pazurami biedacy wydrapywali ziemię; musieli ją rozsypać gdzieś pod podłogami więzień, wynosić ją bowiem na zewnątrz nie było możliwości: dowiedzianoby się niezwłocznie. Między sprzysiężonymi byli i tacy, którzy się sami ratować ucieczką nie chcieli, lecz pracowali dla czterech czy pięciu, których czekało rozstrzelanie niechybne.

Przystąpiono niezwłocznie do sądenia sprawy podkupu. Widząc Teodora zagrożonego, jadę do Józefowicza, dawnego mojego studenckiego naczelnika. Był on przedtem pomocnikiem kuratora okręgowego, dawniej huzar ze szramem pojedynkowym na twarzy; trochę literat, był panslawistą, kiedy panslawizm był w modzie; małorus z urodzenia, cukrownik — miewałem z nim interesa cukrowe; traktujący z nami, kiedy my mieliśmy przewagę, następnie piszący w Kijowie najzawziętsze artykuły i paszkwile do *Kijewlanina* przeciw nam, kiedy nas prześladowano; wierny satelita siły. Tym razem był w blizkich stosunkach z naczelnikiem sądu polowego, generałem Nowickim: tłumaczył mu z polskiego na język rosyjski korespondencye kompromitujące, które u więźniów znajdowano. Do tego więc Józefowicza zmuszony byłem udać się. *Wiem, że słowa moje do ciebie trafiają. Byłeś moim naczelnikiem, aresztowałeś mnie z parę razy za sekundowanie kolegom za pojedynki, za „Pierścień Swidzyna“ — wszystko to było za obronę korporatywnnej studenckiej powagi: nazywaliście to swynolą. I tuż, w fortocy, ta jama do korporatywnnej obrony należy: starostę rozstrzelać czyż wypada? czyż to napad na władzę to schronienie? Do twego huzarskiego życia się odwołuję; to cięcie pałasza na twarzy, czyż licuje z chęcią zemsty za zachowanie się starosty? Zresztą dwóch braci już idzie na Syberyę; jeden pozostał w domu, przy starych rodzicach, i ma pokutować srożej od innych?*

Zmiękł mój słuchacz; wyjechałem z nadzieją, i ojcu Teodora to zakomunikowałem.

Intryga wśród władz dopomogła osłabieniu odpowiedzialności więźniów: generał Nowicki, chcąc zająć miejsce komendanta fortecy, zwałił całą odpowiedzialność na komendanta, generała Musnickiego, dowodząc, iż więźniowie mniej winni, aniżeli dozorca forteczni z komendantem, którzy tego w ciągu roku nie wykryli. Teodor wyszedł z fortecy na wolność; inni więźniowie tej kamery od sądu za jamę uwolnieni; za tymi którzy się skryli, wysłano pogoń w różnych kierunkach, lecz biedaków przechowywano w Kijowie, bez światła dziennego dość długo, dopóki wszystko nie ucichło, i później dopiero przez Odessę, na okrętach zagranicznych, znaleźli schronienie.

Wracając do innych spraw moich — zwykle podczas kontraktów kijowskich, kiedy zjazd cukrowników i obywateli był liczniejszy, wtedy też interesów zbierało się więcej. Przez trzy lub cztery miesiące należało przygotowywać te sprawy na miejscu; jedno się wygrywało — to je oskarżano, inne, jeśli nie było powodzenia na miejscu, należało skarżyć do wyższych instancji w stolicy, gdzie najczęściej bezapelacyjnie je decydowano. Stosunki więc stołeczne były niezmiernie wielkiej wagi; przed nimi bowiem i biurokracya miejscowa, osłabiona, się korzyła.

Sprawy włościańskie, przegrane przez adwokatów rocznych, znaczniejsi właściciele poczęli mnie oddawać; jak sprawę ks. Sanguszki, w której przysądzono włościanom zwrot ziemi, która już w gospodarstwie wzorowem leśnem miała 30-letni porost drzew z zasiewu; jak sprawę marszałka Szostakowskiego przegraną, w której część ogrodu i parku angielskiego odcięto od domu mieszkalnego, rozporządzając, by park w pień wycięto a ziemię włościanom zwrócono — jednocześnie hr. Bobryńskiemu w Śmile dowodzono, iż rafinerya kosztowna, wybudowana na ziemi włościańskiej, powinna być zniesiona a ziemia zwrócona. Nawet marszałek gubernialny Horwatt zwrócił się do mnie, bym mu w wikłaniu z »mirowymi« dopomógł. Wszystkie te sprawy, przez mirowych rozpoczęte, opierały się na prawie, iż te ziemie, które w r. 1848 t. j. przy wprowadzeniu inwentarzy, czyli regulacji, stosunków włościańskich, były w posiadaniu włościan, w r. 1862 wykupowi przez włościan

podlegają. Dwie pierwsze sprawy — ks. Sanguszki i Szostakowskiego — trafiły do mnie i ma się rozumieć, musiano większą sumkę przeznaczyć do mego rozporządzenia: starałem się bowiem innych adwokatów nie dyskredytować, i z części, dla mnie przypadającej, i im udzielać.

Ponieważ brałem li tylko te sprawy, w których krzywda obywateli była widoczną, u władz stołecznych nabrano przekonania, iż sprawy, przezemnie bronione, nie są wyrobkiem, lecz mają ślady niesprawiedliwości widocznej. Przytem wielu życzliwych, a w tej liczbie i Karol Trypolski, radzili mi, bym plenipotencyi na swe imię nie przyjmował; bym wziął pomocników do zajęć, których się coraz więcej zbierało. Chętnych do zajęć w biurze mojem było poddostatkiem; z nich wybrałem Włodkowskiego i czasami Bielskiego, obydwóch zdolnych do pióra. Doktor Krzyżanowski prosił mnie, bym wziął ciotecznego jego brata, młodego jurystę, którego bliżej poznavszy, iż stróżem może być niezłym, ale w redakcyi był jeszcze niedoświadczony, użyłem do pilnowania po biurach, iżby na wyjazd mój do stolicy wszystkie moje sprawy, przezemnie apelowane, były z sądownictw gubernialnych do senatu lub do ministrów powysyłane; trudno mi bowiem było w stolicy, pędząc życie dla mnie za kosztowne, długo czekać na sprawę — dopóki jej »naczelnik stołu« do Petersburga nie wyśle. Trzecim pomocnikiem moim w Kijowie został Koryolan Bieliński, współobywatel, stary kawaler, człowiek światły, nie jurysta. W kraju znany z uczciwości, on to miał powierzony sobie dział umawiania się z klientami o wynagrodzenia, rzecz dla mnie najdrażliwszą.

Ponieważ w sprawach klientów przychodzących znajdowały się czasami pretensye, za któremi słusność, według mego zdania, nie przemawiała, odmawiałem ich przyjęcia, chociażby były nawet korzystne; przyczem powstawały zarzuty niezadowolonych, mówiących, iż biorę sprawy łatwe; zaś rzecz się miała zupełnie przeciwnie: w początku — i tak do końca — trafiały do mnie sprawy najtrudniejsze, poprzegrywane przez innych adwokatów, i te skoro można było je przyjąć, były najkorzystniejsze. Brałem sprawy, które na żadne uprzednie koszta nie narażały klientów, gdyż przestrzegałem ściśle zasady pobierania honoraryów po wygranej sprawie, prowadząc ją kosztem własnym. A często nawet uprzedniemu adwokatowi coś odda-

łem, by ich, jako Kolegów, sobie nie zrażać. Jednemu nawet z dawniej zasłużonych adwokatów R., który doznał niepowodzenia w sprzedaży narzędzi rolniczych i dom jego, jedyną własność, zasekwestrowano; dopomogłem w senacie do wygranej, co mu układ ułatwiło.

Przez dwa pierwsze lata szło mi bardzo trudno, następnym — coraz to spraw przybywało. Jeżdżąc do stolicy dostrzegłem, iż ogromna różnica zachodzi w obronie miejscowej gdzie się ściśle litera prawa przez urzędników pilnuje, a w objaśnieniach stołecznych, gdzie ducha prawa przestrzegają, i gdzie te prawa piszą. W stolicy, jeśli słuszność przemawia za sprawą, i należycie ta strona w pisemnych lub ustnych objaśnieniach się przedstawi, to duch prawa, strzegący słuszności, odnajdzie odpowiednią literę prawa, bo nawet jak senat i ogólne zgromadzenie ma prawo bezapelacyjnie rozstrzygać. W ciągu tych lat kilku nabrałem takiej wprawy w obronie słuszności, że stawałem w senacie sam do głośnej obrony swej osobistej, jaropowieckiej, sprawy. Nie przyjmowałem plenipotencji na imię własne; podpisywali skargi sami właściciele, lub wydawali plenipotencję na imię jednego z wyżej wspomnianych pomocników moich: ja zaś dawałem ustne objaśnienia, stosownie do potrzeby. Tym sposobem zostawałem zawsze zapraszany na wszelkie zgromadzenia towarzyskie, na wieczory i obiady do władz wszelkich. Życie kawalerskie, skromnego trybu chociażby dla samego taktu, było dla mnie nie uciążliwym; owszem, w duchu cieszyłem się z każdej wygranej zarówno jak i moi klienci; a to zaufanie w mojem umiejętnem prowadzeniu spraw klientów, które mię otaczało, tak mi schlebiało, tak byłem wesół, że o dawnym niepowodzeniu zapominałem.

Zorganizowawszy biuro moje w Kijowie w ten sposób, wstawałem o 8-ej z rana; od 10-ej przychodzili nowoprzybyli do miasta klienci. Każdego z osobna trzeba było wysłuchać w wykładaniu swej sprawy stawali często na szczegółach, nie mających żadnej z nią styczności, ale cierpliwie trzeba było wyczekać chwili, kiedy często inni, wyczekujący kolei, o swe prawa się dopominali. Jeśli mieli jakie pisemne przy sobie dowody, to łatwiej było powziąć wiadomość — to zapewne i klienta prędzej z miasta do domu na wieś wyprowadzić można było, by nie potrzebnych kosztów w mieście nie ponosił. Ale

jeśli przyjeżdżał klient bez papierów, trzeba było uprzednio przy pomocy naszej, kopie wszystkich potrzebnych dokumentów wydostać, a wtedy mogłem sprawę należycie wystudytować i coś o niej wypowiedzieć. Sam najczęściej wysłuchiwałem spraw — pomocnicy moi byli przed obiadem w sądownictwach, zbierając kopie dokumentów potrzebnych, lub śledząc sprawy biura mojego, które z nich i kiedy mają być w kolei rozpatrywane. Do 2-jej tego tylko rodzaju zajęcie czas mój zabierało; czasem przychodził ktoś dla zasiągnięcia rady, czasem ktoś i bez interesu, z wizytą tylko, do mnie zajeżdżał. O godz. 2-giej szedłem do poblizkiej restauracji na skromny obiad. Ze spraw rannych wybierałem te, które miały należycie ułożony karton, z odpowiednimi dokumentami, i takowych klientów zapraszałem na godzinę 4-tą do siebie; często jednego, lub dwóch najwięcej. Od 4-tej do 8-jej studyowałem już pilnie interes — tuż byli już przy mnie pomocnicy, i jeśli sprawa była mniejszej wagi, redakcyja łatwiejsza, znacząc na marginesie zasady obrony, oddawałem ją pomocnikom, by skargę redagowano; sam zaś zatrzymywałem sprawy większej wagi dla zrobienia redakcyi już nocną porą, kiedy mi nikt na przeszkodzie nie stawał. O 8-jej jechałem gdzieś na wieczór, lub do teatru — potrzeba bowiem trochę umysł rozerwać — a o 11-jej lub 12-jej, przy szklance herbaty by sen odpędzić, siadałem do pisania. Często dopiero o godzinie 4-jej spać się kładłem, a zdarzało się czasem, że któryś z obywateli ziemskich, pokrzywdzony przez »mirowego«, a przywykły w gospodarstwie wiejskiem o 5-jej z rana w letniej porze być na nogach, już o 6-jej z rana do drzwi pukał, i starego mojego sługę do gniewu doprowadzał. *A co twój panicz jeszcze w łóżku leży? jużby pora wstawać.* — *Niech pan zdrów idzie,* odpowiadał mój sługa, *mój pan do 4-jej siedział nad papierami i może dopiero od godziny usnął, a kazał mi o 8-jej już budzić, gdyż mają przyjść interesanci...* Praca była trudna, ale zdrowie i siły dopisywały.

Już się przygotowywałem na wyjazd do Petersburga, kiedy rozeszła się wiadomość o strzale Karakozowa do Cesarza, zda się w r. 1866, czy 1867¹⁾, i o wysyłaniu ze wszęch stron delegacyi do Cesarza. Horwatta, gubernialnego marszałka, w mieście — Kijowie — nie było: wyjechał na wieś. Zajechałem do

¹⁾ Zamach Dymitra Karakozowa miał miejsce 16 kwiet. 1866 (P. W).

marszałkowej, namawiając ją, by niezwłocznie wysłała po męża, sam zaś wyjechałem do Stolicy. Przyjechawszy do Petersburga, zastałem już tam dwóch Branickich: Władysława i Aleksandra, Antoniego Złotnickiego, Antoniego Lubomirskiego z gub. kijowskiej, z Wołynia był młody Roman Sanguszko, Mieczysław Trzeciak i inni; przybył i generał-gubernator Bezak. Idę do Branickich, zastaję naradę, co tu robić wypada? trzeba i guberniom naszym wystąpić, ale nie wszyscy rosyjscy obywatele chcą sobie iść w towarzystwie Polaków.

Ministrowie dzielą się na partye. Wałujew — zdania, że i Polakom brać udział w delegacyi można; najbardziej się temu sprzeciwia Zielonyj, min. dóbr państ. i Zinowjew, min. spraw.; ale w stolicy o tem minister dworu i cesarz sam stanowi. Antoni Złotnicki, powiada, że już był u Bezaka, że ten chwiejny, ale bardzo się sprzeciwia, żeby Aleksander Branicki był w delegacyi u cesarza, uprzednio bowiem był skompromitowany i do głębokiej Rosyi zesłany. *Tak, ale dziś uniewinniony i jest w stolicy!* Jedzie Aleksander Branicki do Aleksandra Bobryńskiego, byłego gubernatora petersburskiego, który się zgadza, jako właściciel z gubernii kijowskiej, w delegacyi z Polakami brać udział. Siadamy z Władysławem Branickim do powozu i jedziemy do Stojanowskiego, towarzysza ministra Zinowjewa (wielkiego naszego przeciwnika). Stojanowski zaś, z czechryńskiego, początkowe wychowanie odebrał w domu naszym na wsi, ze starszym moim bratem; byłem z nim na »ty«; ale skrajny czerwony, wysokie urzęda w Petersburgu piastujący, znany z uczciwości urzędnikowskiej, obywatel z czechryńskiego, odmawiać nam udziału nie chce, lecz i nie przyrzeka; a chociaż minister sprawiedliwości, wielki nasz przeciwnik, staje przeciwko nam, jednak znacznie w swej opozycyi słabnie. Jedziemy do Trepowa, oberpolicmajstra, dobrze nam znanego z Kijowa, ten, choć nie widzi, przeszkody w przyjęciu Polaków, w delegacyi, ale oznajmia nam, że to nic nie pomoże, otwarcie bowiem, będąc w Warszawie, brał stronę Polaków, ale Cesarz słuchać nie chciał. Jedziemy do Annenkowych, jen.-gub. w Kijowie przed Bezakiem; jedziemy do Bezaka. Ten nam odpowiada, że niema wyboru z gubernii; bez czego listy delegacyi — bez mandatu — ułożyć nie może. Wręcz mu odpowiadam, że zgodnie z jęgo zezwoleniem wysyłamy telegram do Kijowa, by

z pośród tu znajdujących się obywateli: Bobryńskiego, Stojanowskiego, jen. Montrezora, Orłowa, Grewsa i przyjezdnych, wybrano według swego upodobania i telegraficznie kancelaryę generał-gubernatora zawiadomiono. Znałem bowiem Bezaka, iż z tradycyi trzymając z czerwonymi, dbał o stosunki z konserwatystami; ale jeśli chciał się trzymać na stronie do czasu, to wolał, by odnoszono się do kancelaryi jego. Zamilkł więc, i tem dał nam swobodę działania. W mieszkaniu u Branickich ułożyłem telegram do Augusta Poniatowskiego w Kijowie, że z wiedzą Bezaka prosimy o zawiadomienie kancelaryi jego, kogo z bawiących w stolicy, życzą sobie wybrać dla przedstawienia się w delegacyi Cesarzowi? przytem wymieniamy wszystkich tu obecnych. Jednocześnie posyłamy do Adama Bierzyńskiego w Kijowie, ażeby przyspieszył zebranie obywateli w Kijowie, u Augusta Poniatowskiego, iżby odpowiedź telegramem nam przysłali. Obydwa telegramy podpisujemy: ja, Władysław Branicki i Antoś Żłotnicki.

A tymczasem, coraz głośniej rozchodzi się po Petersburgu wiadomość, że Polacy mają być w pałacu, a skoro raz wejdą, »już ich nie wycisną«. Miałem ostrożność siebie na liście nie stawiać — zdawało mi się, że nie miałem tak rozgałęzionych stosunków w Petersburgu, ażeby na nie liczyć; inaczej, się stało. Antoś Żłotnicki, krewny nasz daleki, ale i krewny Siwersów, przychodzi do mnie, i radzi, bym pojechał do hr. Lamberta, dawnego mego sąsiada z Jaropowiec. Hr. Lambert najgrzeczniej mnie przyjmuje, a na audyencyi pierwszy do mnie podchodzi, rękę podaje i głośno nazwisko moje wymawia. Generał-gubernator Bibikow też grzecznie mnie przyjmuje, i do udziału w delegacyi skłania. Dodo Orłow, sąsiad mój, znany mi ze wsi od dzieciństwa, będąc adjutantem W. Ks. Mikołaja, brata Aleksandra II, zastrzega, by ze mną razem w dorożce jechać na kolej i z kolei do pałacu — mam więc już i towarzysza do podróży — a W. Ks. Aleksander pamięta, iż tańczyliśmy podczas rewii zawzięcie mazura, i jak powiadał, naukę tego tańca mnie przyznawał. Ale nie chce mi się sprawiać munduru obywatelskiego, gdyż kosztuje — szyje sobie do delegacyi mundur Mieczysław Trzeciak, i ten na mnie wkłada. Pułkownik konnej gwardyi Grews, z czehryńskiego, zgadza się też ze mną łącznie być w delegacyi.

Przychodzi telegram do Petersburga z Kijowa; jedziemy z Władysławem Branickim do Bezaka — Aleksander Branicki trochę się spaźnia, by dać pozór, iż siebie wykreśla, jeśli Bezak zaoponuje. Ja biorę pióro, układam listę, począwszy od Aleksandra Branickiego — Bezak ani słowa. Przychodzi Aleksander Branicki, ale ja daję mu znak, ażeby się nie odzywał, lista bowiem moja już się ma ku końcowi; Bezak i Braniccy dodają i moje nazwisko, a tak i ja w delegacyi się znajduję — nazajutrz nawet Bezak, w pałacu, wiedząc, iż ja z powodu munduru uchylałem się od udziału, zapytał przyjezdnych: *A czy jest Kotiużyński?*

Przyjechawszy do Carskiego Sioła, dorożkami dojechaliśmy do pałacu — ja z Orłowem. Wszedłem do sali, w której jakem to uprzednio mówił, spotkałem twarze znajome: hr. Lamberta, W. Ks. Mikołaja, Bezaka i innych. Chodziliśmy po wszystkich salach, przypatrując się widokom z okien, lub malowidłom, zawieszonym na ścianach. Dostojnicy pałacowi czuli się jakby w obowiązku z nami, Polakami, grzecznie się obejść; z kolei podszedł do mnie i ks. Gorczakow i przez czas jakiś rozmawiał. Dano znać, iż Cesarz wkrótce po nabożeństwie, z cerkwi pałacowej przechodząc przez sale do swych pokoi, delegację przyjmować będzie. Ustawiono nas w sali bursztynowej tak zwanej, wszystkie bowiem ściany tej sali bursztynowemi tabliczkami, nakształt mozaiki, wyłożone były. Stanęliśmy zaraz przy wejściu do niej przez drzwi z prawej strony, na lewo, pod ścianą. Pierwszy hr. Bobryński, obok niego, Aleksander Branicki, dalej Adam Rzewuski, generał Montrezor, Władysław Branicki, ja, Antoni Lubomirski, Antoni Złotnicki, Grews, Orłow, Rajewski — lejbhuzar, też z czechryńskiego. Najokazalej wyglądała nasza delegacya: cały bok sali zajęliśmy. Inne — a było ich jeszcze ze sześć — stały kupkami; w nich znajdowali się i »wołostni« chłopci, i kamerjunkrowie, i marszałkowie — pomieszani. Wszedł Cesarz, Cesarzowa, W. Księżny, damy dworu (frejliny). Cesarz, wszedłszy przez drzwi, zwrócił się na lewo do delegacyi, i mniej więcej w te słowa się odezwał: *Wdzięczny wam jestem, iż widzę was tu zgromadzonych, potępiających czyn, od którego Opatrzność mnie ochroniła.* Następnie podszedł do Bobryńskiego, po krótkiej rozmowie przed szeregiem naszym powoli postępował. Zapytał o coś Aleksandra

Branickiego, uśmiechnął się do generała Montrezora, iż on do właścicieli ziemskich kijowskiej gubernii się zalicza. Ja musiałem w mym wzroku coś mieć dla niego niespodziewanego — trochę bowiem wysunąłem się z szeregu, wpatrując się w twarz człowieka, która się zmieniała... Gdy się spotkały oczy nasze śpiesznie ominął trzech jeszcze stojących przedemną, szybko podszedł do mnie, zapytując: *Kak familia?* — jak się nazywam. Odpowiedziałem, nie zapomniawszy dodać: *Najjaśniejszy Panie*. Zatrzymał się na chwilę i szedł już dalej powolnym krokiem; uśmiechnął się do Antoniego Złotnickiego, dodawszy: *Dawny kawalergarda!* — i poszedł do grup innych, do których prawie nic nie mówił. Uznano, iż ten przyspieszony krok i zapytanie o moje nazwisko miały świadczyć o szczególniejszej łaśce Monarchy. Cesarzowa też przeszła obok nas, wpatrując się w twarz każdego; zaproszono nas na obiad, do którego zasiedli li tylko delegaci, oprócz włościan; odwieziono nas na kolej karetami dworskimi.

Gazety rosyjskie musiały nas zamieścić w liście tych, którzy mieli zaszczyt być prezentowanymi w pałacu — a ówczesna etykieta dworska, podobnie jak za czasów Mikołaja I, nie była tak dostępną, jak to się dziś dzieje, za Aleksandra III. Gy w roku 1879, po powrocie z zagranicy i zamieszkaniu na wsi w majątku rodowym, który spadł na mnie po śmierci ś. p. brata mojego Konrada, wypadło mi, już w moich osobistych interesach, wyjechać do Petersburga — dziwnego wrażenia doznałem: Stolica nie miała już tej cechy militarnej, której szczególnie za czasów Mikołaja I, a później przez czas jakiś i za Aleksandra II nabierała. Newski Prospekt — dawniej taki stółeczny, dziś tramwajami, napełnionymi chłopstwem brodatem, raził; Spacer Angielski nad Newą, obok Zimowego Ogrodu, gdzie dawniej powozy, zaprzęgi najkosztowniejsze, stroje spacerujących, oko bawiły — teraz pusty; stolica zdemokratyzowana.

Oświadczono mi później, iż wszystkie domy w Petersburgu są dla tych otwarte, którzy Cesarzowi przedstawieni byli. Ale nie szło mi o stosunki światowe; pilnowałem wyłącznie tych, które mi w interesach moich dopomódz mogły. W Petersburgu zorganizowałem się w sposób następujący. Sióstrzeniec starej hr. Szuwałow, z domu Walentynowiczówny, — które to 3 siostry opiewał Adam Mickiewicz — pierwiej za Zubo-

wem, później za Szuwałowem, Walery Ostromięcki, o którym już raz wspominałem, żem z nim u ministra Turkułła mieszkał, był moim prawdziwym przyjacielem i życzliwym pomocnikiem. Jego brat cioteczny: Piotr Szuwałow, naczelnik III wydziału, szef żandarmów, był ówczas w Petersburgu silnym — nazywano go nawet Piotrem III — w jego ręku były wszystkie sprawy polityczne; sprawy szwagra mego i brata od niego zawisły. Sergiusz Dołgorukij, związany ściśle z dworem, trzymał się mego towarzystwa; cioteczny brat tegoż, był obersekretarzem senatu w III departamencie, w którym wszystkie sprawy w senacie z naszych trzech gubernii rozpatrywano. Tych trzech towarzyszy starczyło mi na wszelkie możliwe ułatwienia w Stolicy, jak się to później okaże.

Szczególniej ks. Dołgorukie mieli wówczas wielkie wpływy. Rodzina ta do najdawniejszych należy, gdyż jeden z ich przodków ma być zaliczony, jako fundator Moskwy — tej prawdziwej stolicy Rosyi, w poczet ludzi najdosłojniejszej pamięci historycznej. Owóż ta rodzina, jakby ze stronnictwa moskiewskiego, miała miejsce na dworze przy boku monarchy. Za Mikołaja I ks. Dołgorukij, brat rodzony hrabiny Świętosławowej Bierzyńskiej posiadał stanowisko i wpływy niepoślednie — jakie ówczas mieć można było. Ks. Juryj Dołgorukij, daleki pierwszego kręwny, huzar, jak wielu zwykłych huzarów — gdyż nie pamiętam go w randze pułkownika — posiadał na Małorusi majątek Tieplówkę; cukiernia i życie swobodne wplątały go w interesa; zawsze szukający kredytu, ożenił się z panną Wiszniewską, obywatelką niezamożną z Małorusi; a ponieważ August Poniatowski otwierał mu kredyt, a przytem księżna miała siostrę rodzoną, zamężną za naczelnikiem kancelaryi generał-gubernatora kijowskiego — ówczas Bibikowa — niejakim Pisarewym, te więc dwie siostry: pani Pisarew i księżna Dołgorukij, uchodząc za najpiękniejsze, były przez czas jakiś ozdobą wieczorów towarzyskich w Kijowie. Znałem więc księstwa z Kijowa; spotkałem ich później w Moskwie, gdzie zimę w interesach cukrowniczych spędzałem; dzieci ich pamiętały mnie z Kijowa i z Moskwy. Po stracie rodziców w Moskwie — którzy, jak mnie mówiono, w biedzie ostatnie dni spędzali — starszy ich syn, Michał, wyjechał za granicę; mając jakiś urząd nieznacznym, ożenił się z bogatą Włoszką, margrabianką, zamieszkał w Pe-

tersburgu, sprowadził siostrę i brata, najmłodszych z rodzeństwa, do siebie. Drugi z kolei syn, ożeniony z bogatą też Rosyanką, panną Szebeka, siostrą dzisiejszego naczelnika III wydziału — żandarmów, przemieszkiwał w Kijowie, jako urzędnik kancelaryi jenerał-gubernatora. Trzeci syn ożenił się też w Kijowie, z panną Sinelnikow, bogatą również osobą; czwarty z kolei, Sergiusz, był w Petersburgu, do żadnego wyższego urzędu się nie licował: pięcioro dzieci — łącznie z historyczną panną — jakoteż i rodzice, umysłowemi zdolnościami się nie odznaczyli.

Po opisie wypadków, połączonych z najpierwszym strzałem z rewolweru, Karakozowa, i naszej delegacyi, powracam do opisu zajęć moich w Petersburgu w latach 1866 i 1867. Jak mówiłem, zorganizowaliśmy się we czterech, a towarzysze moi radzi iż wskutek przyjęcia w pałacu snadniej im było torować mi drogi do bronienia spraw przezemnie kierowanych, chętnie wzięli się do pomocy. Rozpocząłem starania o uwolnienie brata mojego z wygnania w Saratowie, co szło łatwiej; sprawa mojego szwagra szła daleko trudniej. Prosiłem Ostromęckiego, ażeby wyrobił mi u hr. Szuwałowa audyencyę nie we dnie, kiedy ten wszystkich przyjmuje: natłok interesów w dniu audyencyonalnym nie daje możności przedstawienia sprawy, w sposób dla hrabiego wybitniejszy, już choćby z tego powodu, że sala audyencyi była wtedy przepełniona rodzinami więźniów lub zesłanych na Syberyę Polaków, obok jeszcze innych wizyt oficjalnych, z tak wysokim urzędem połączonych.

Pzytem, że sprawą szwagra mojego musiałem się wstrzymać, wyczekując jaki obrót weźmie sprawa hr. Jana Tyszkiewicza, ojca dzisiejszej hrabiny Potockiej z Krzeszowic. Hr. Szuwałow chciał dopomóc Tyszkiewiczowi, który również był drogą administracyjną zmuszony do wyprzedazy swych dóbr na Litwie, w dwuletnim okresie. Po przedstawieniu tej sprawy Monarsze, który nie chciał się sprzeciwiać akredytowanym przez siebie jenerał-gubernatorom, zaledwo hr. Szuwałow mógł wyrobić, iż sprawę tę odesłano do Komitetu Ministrów, by większością głosów ją decydowano. Szuwałow porozumiewał się przedtem z ministrami, i zdało mu się, iż większość będzie miał za sobą. Ale omylił się w rachunku: czerwoni, a w tej

liczbie i pomocnik Szuwałowa — Mezincow, rozpoczęli ze swej strony silną intrygę przeciw Tyszkiewiczowi, i wilią sesji ministrów rozesłali do ministrów karty fotograficzne Jana Tyszkiewicza w towarzystwie krawca i jeszcze kogoś, które ka-zał zdjąć przed rozpoczęciem rewolucyi, w strojach polskich i kontuszach. Hr. Jan podobno przed wypadkami 1863 r. chętnie się łączył z towarzystwem ruchliwym; był on z natury charakteru łagodnego i nadzwyczajnie ugrzeczniomy — znałem go dość dobrze w Petersburgu, w ich domu bywałem. Owóż gdy się zebrała Rada Ministrów, ks. Gorczaków i jeszcze któryś z ministrów na Radę nie przyszli, a obecni ministrowie, z partyi czerwonych, jak Zielonyj i inni, przegłosowali, i Tyszkiewiczowi odmówiono. Ogromnie to uczuł hr. Szuwałow, a szczególnie matka jego, obawiając się, by to Piotrusiowi nie zaszkodziło. Petersburg też zwątpił o sile i wpływach hr. Szuwałowa. Trzeba było z parę tygodni przesiedzieć mi w Petersburgu i rozpocząć moją sprawę, ale ostrożniej ją prowadzić.

Wyjechałem do Peterhofu na dwutygodniowy pobyt, do Ostromięckiego, który miał rządowe mieszkanie, t. zw. »kawalerski domek« i tu przypatrywałem się eleganckiemu towarzystwu, mieszkającemu tu stale, lub przyjeżdżającym codziennie z Petersburga dla spacerów po parku, urządzonym Potemkina ręką dla Katarzyny II. Peterhof — ulubione miejsce pobytu Piotra I, nad morzem, gdzie mu się tworzyły myśli utworzenia marynarki i drugiej stolicy z cechami europejskimi — przechowuje do dziś dnia skromny domek, raczej do obszernej oberży podobny, w którym to Piotr Wielki zamieszkiwał, wśród parku olbrzymich rozmiarów. Tu też Potemkin przyozdobił park ten w pałac stylu bizantyńskiego, z pozłoceniami, na wzgórzu. U podnóża jego bije fontanna ogromnych rozmiarów i wysokości, tryskająca z paszczy lwiej, rozdarłej przez Samsona w otoczeniu różnych gadów i żab, którym z paszcz też w najrozmaitszych kierunkach tryskają fontanny; wszystkie te wody, zebrane znowu do jednego jeziora, otoczonego niskimi szklanymi dzwonami przykrywającymi girlandy kwiatów, spadają do kanału, wiodącego do morza; ze stron obu tego kanału, rzędami przez całą jego długość, biją fontanny, poprzdzielane niebotycznymi świerkami. Gdy się jedzie spacerem z Petersburga do Peterhofu statkiem parowym, zatrzymuje się

na chwilę statek przed kanałem, a oko podróżnego widzi stąd tę nieprzeliczoną ilość gier wody, zakończoną dominującym Samsonem.

Nie mogę nie wspomnieć tu o fenomenach podobnych, spotykanych i w innych krajach. Wśród tych najpierwsze miejsce zajmują dwie fontanny na placu przed Watykanem w Rzymie. Biją one nieustannie, a woda spada do waz marmurowych, z których kroplistem kołem wylewa się do zbiorników, wyłożonych marmurem. Te dwa wodotryski wiecznie czynne, pokazanych rozmiarów, zupełnie jednakie, są jakby symbolem dwóch cnót chrześcijańskich: Nadziei i Miłości przy trzeciej — Wierze schronionej w Watykanie. Są to jakby dwaj Apostołowie, św. Piotr i Paweł, strzegący jednego powszechnego Kościoła, zaspakajający pragnienia duchowe i skrapiający pochylone od znoju czoło przybyłego pielgrzyma. Wzięły też one wspaniały udział w ozdobie stolicy głowy katolickiego Kościoła, a dwoma orzeźwiającyymi źródłami wdzięcznie towarzyszą dwom wyrazom: *urbi et orbi*, wymawianym dźwięcznie przez Ojca św. podczas udzielania błogosławieństwa, z balkonu Watykanu, kilkutyśięcnej ludności na mozaikowym placu przed Watykanem, przybyłej na tę uroczystość.

Inaczej się to ma w stolicy cywilizacji europejskiej. Paryż, dbający i dziś, za Rzeczypospolitej, o prawa swe do sprawiania najrozmaitszych rozrywek przyjezdnym, by ich co najwięcej ściągać ku sobie, ma wysadzony stały Komitet, któremu nie szczędzi środków na urządzenie najrozmaitszych i nieustannie trwających wystaw, wyścigów i tym podobnych uprzyjemnień gościom ich jak najdłuższego pobytu w swoich murach. Odbieramy ogłoszenie, iż mają »zagrać« wody w Wersalu — a ma ta parogodzinna, co rok powtarzająca się rozrywka kosztować kilkadziesiąt tysięcy franków. Gra »Wielkich Wód« tak zwanych, obok pałacyku Traianon, ma jezioro przestrzeni nieznaczej; dokoła wazy z brązu ustawione, w środku grupa Neptuna, też z brązu. O godzinie 5-tej po południu, kiedy już inne wodotryski po parku działały, przez zbiorniki i rury podziemne zbiera się woda — dla sprawienia przyjemności widzom przez pół godziny — około basenu Neptuna; naraz wszystkie wazy wypuszczają z wnętrza swego fontanny, niby rząd świec. Grupa Neptuna — to z naczyn, to z paszcz zwierząt morskich —

wyrzuca w różnych kierunkach wody, ale najestetyczniej są tu urządzone fontanny łukiem spadające, nie wysokie: tworzą one wodną baryerę łukową obok jeziora. Przytem pośród jeziora nieznacznie ukryte paszcze morskich potworów tryskają w powietrze prostopadłemi fontannami — niby Najady, poruszające i ten żywioł w powietrzu. Sztuka tu bez wątpienia, łącznie z estetyką, urządziła prawdziwie królewską rozrywkę, miłującemu się w nich Ludwikowi XIV¹⁾. Pomimo wielkiego upału, po kwadransie uczuliśmy taki chłód, iż potrzeba było włożyć paltot, lub przykryć się pledem. Wielu z nas wyszło z parku przed końcem widowiska, by przechować jego wrażenie; jest ono podobne do ogni sztucznych, pozostawiających szybko widza w ciemności.

W Polsce Szczęsny Potocki, kochliwy, dłonią hetmańską porusza piramidalne skały, i układa z nich kartonowe groty dla ulubionej Zofii, przy wejściu do Zofijówki pod Humaniem, wśród jeziora; ozdabia je wysokim, prawdziwie magnackim wodotryskiem, mogącym bić prawie bez przerwy przez dzień cały: tak w nim jest kosztowny zbiornik z wód okolicznych. Trębecki wierszem »pół świata cię uwielbia, drugie pół zazdrości« wprowadza Greczynkę do poezyi i do tradycyi wpisuje.

Jednocześnie Potemkin przyozdabia dla Katarzyny II Peterhof. Piotr Wielki wbija pale w bagna, pod fundamenta swej nowej stolicy — Petersburga; Potemkin z Katarzyną poruszają bagna na olbrzymiej przestrzeni dla sprowadzenia wód do jeziora, którego rozmiary muszą być tak niepospolicie ogromne by dostarczały wód wszelkim wodotryskom Peterhofu, działającym we dnie i w nocy bez przerwy w przeciągu całego letniego sezonu. Tysiące ludności — z wojskiem — pracuje nad urządzeniem z bagien tej hydraulicznej rozrywki wiekowe bagna poruszone w swych łożyskach, wydają wyziewy szkodliwe, powstają zarazy, ginie ludność pracująca, ale roboty nad urządzeniem rozrywki nie ustają — historia zamilowała stratach i kosztach, ale pamiątkę Potemkina dla Katarzyny II przechowa.

¹⁾ O rozrywkach i wszelkich przepisach etykietalnych tego króla Fryderyk Wielki powiedział: *gdybym był królem Francyi, nająłbym drugiego króla dla spełniania tego wszystkiego.* (P. A.)

Ta gra wód, nieustanna i w nocy, sprawia taki szmer, taki niepokój w całym parku, że zamknąć powieki trudno: nie raz, nie mogąc zasnąć, z Ostromęckim wstawaliśmy z łóżek, i całą noc zmuszeni byliśmy wśród tego lasu wodotrysków kółkować. A ten gwałt w uszach nieustannie przypomina słowa Voltaire'a: *la philosophie est pour les figures rondes*, dane w odpowiedzi Fryderykowi. Voltaire bowiem, będąc użytym przez Katarzynę II. do negocjacji i skłonienia Fryderyka do podziału, miał z tem trochę trudności przy dworze pruskim; pewnego razu, jakby utyskując nad granicznymi trudnościami Prus, powiedział Fryderykowi: *Partagez la Pologne et arrondissez vos frontières*, na co król mu odpowiada: *Que dira la justice? que dira la philosophie?* — *La philosophie est pour les figures rondes!* podchwytuje satyryczny Voltaire, i tem cięciem rani sprawiedliwość, skłaniając do podziałowego nad nami gwałtu.

W tym Peterhofie zmuszony byłem kilkanaście dni przemieszkąć, a mając ładnego wierzchowca na mój użytek, jeździłem konno po parku, przypatrując się amazonkom i spacerującym, zapełniającym park przez dzień cały. Tu spotkałem krewnego naszego księcia Baratowa z siostrą, konno też jeżdżących; był on później posłem w Monachium, a dziś jest sekretarzem w Rzymie. Tu ze znajomych moich przemieszkiwała pani Ciechanowiecka; państwo Pawliczyńscy mieli tu również letnie mieszkanie, a w ich córeczce podkochał się przyjaciel mój Ostromęcki, i poślubił ją po kilkoletniem staraniu. Ówczesnie w Peterhofie przyjmowano dzisiejszego króla Włoch — Humberta, który będąc kawalerem, miał jakoby się starać o rękę córki Aleksandra II. Podejmowano go wspaniale. Manewra floty bałtyckiej towarzyszyły mu w przejeździe z Petersburga do Peterhofu. Po obiedzie wyszli wszyscy spacerem z pałacu na plac w pobliżu, gdzie muzyka codziennie przygrywa publiczności w godzinach poobiednich. Na tenże dzień przeznaczono spacer dla instytutek ze Smolnego po parku w Peterhofie; widzieliśmy do 200 panienek różnego wieku na linijkach z zaprzęgami pałacowymi; na pierwszej liniejce siedział cesarz z kilku panienkami — ma się rozumieć, że obok Najjaśniejszego posadzono najładniejszą, która to w naukach mogła nawet niezupełnie celować.

Jednego dnia oznajmił mi Ostromęcki, iż ma mnie przed-

stawić hr. Szuwałowowi na stacyi kolei żelaznej w Peterhofie, i że mam tymże pociągiem jechać do Petersburga, gdzie na stacyi kolejowej w apartamentach cesarskich da mi hrabia dłuższe posłuchanie, i będę mógł swobodnie sprawę szwagra mego przedstawić. Przedstawiłem się hrabiemu, wsiadłem do tegoż pociągu, i przyjechawszy do Petersburga weszliśmy do oddzielnych pokoi, gdzie rozpoczęła się rozmowa następująca. Ja starałem się przedstawić hrabiemu, iż w sprawie mego szwagra ma być obraza Majestatu (sprawnik doniósł, iż mój szwagier przy pobieraniu od niego kontrybucyi dał odmowną odpowiedź, i niby miał powiedzieć, że Cesarzowi to potrzebne na wino szampańskie), i że według prawa sprawy podobne tylko Cesarzowi mają być przedstawiane na jego decyzję, i że generał-gubernator przekracza prawo, jeżeli pociąga mego szwagra do kary administracyjnej, nakazując mu niezwłoczną, terminową sprzedaż własności. Hrabia mi powiedział, że według jego zdania szwagier mój jest jeszcze bardziej winnym, skoro pozwolił sobie dotknąć Majestatu. *Zgadzam się i na to*, odrzekłem, *ale nie mogę się zgodzić, żeby sprawa ta należała do kompetencji generał gubernatorów, a więc i do przymusowej sprzedaży majątków w guberniach zachodnich.* — *Trudno mi bardzo będzie*, powiedział hrabia, *obecnie, po strzale Karakozowa, przedstawić Najjaśniejszemu sprawę tej treści*; i na tem się skończyła tym razem moja audyencya.

Ponieważ ówczasie rozpoczęła się walka konserwatystów i liberalnymi, a raczej czerwonymi, o ster władzy, przy każdym więc ministrze, jeśli był konserwatystą, dobierano »towarzysza« (pomocnika) z ramienia czerwonych, a najzawziętszych nieprzyjaciół naszych. Tym razem »towarzyszem« hrabiego był Mieziencow (później zabity), który w sprawie Jana Tyszkiewicza ogromnie szkodził. Ja zaś trzymałem się tej zasady, by we wszystkich sprawach moich nie opierać się szczególnie na żadnej partyi, ale starać się mieć po swojej stronie zarówno przychylnych konserwatystów jak i czerwonych. Mając nadzieję, iż hr. Szuwałow, jeśli mu Mieziencow przeszkadzać nie będzie, moją sprawę wesprze, rozpocząłem starania o pozyskanie Mieziencowa. Zawsze moi towarzysze i w tem mi dopomogli. Dwaj adjutanci Mieziencowa mieli mu sprawę moją przychylnie przedstawić: jeden z nich miał sprawy w senacie w dziale Piczu-

gina — został więc przez tegoż dla mnie przychylnie usposobiony; drugim adjutantem był Szebeka (dziś szef żandarmów), brat księżny Dołgorukij — do tego pojechał Dołgorukij i również go dobrze usposobił. Obydwaj adjutantaci, jeśli Mieziencow do zrobienia mi ułatwień będzie już należycie przygotowany, mieli mi wyznaczyć dzień audyencyi i u niego, co wkrótce nastąpiło, i odebrałem od Mieziencowa odpowiedź, iż sprawę moją uważa za słuszną, gdyż szwagier mój do kategorii politycznych przestępców zaliczony być nie może. Nadto Ostromęcki zawiózł mnie do panien Smirnow, dwóch starych panien w których domu bywał Kranz, zarządzający kancelaryą hrabiego; i tam mi również wsparcie obiecano. Byłem też zaproszony na obiad do Dębowieckiego, zarządzającego kancelaryą w pdróżach hrabiego; i tam mi również pomoc przyrzeczono.

Przygotowawszy już tym razem grunt możliwie pewny dla sprawy mojej, wypracowałem objaśnienie na piśmie do niej, opierając się przeważnie na tem, iż w moc ukazu wolno generał-gubernatorom pociągać do kary administracyjnej, przymusowo wywłaszczając z majątków, tych właścicieli ziemskich, których styczność z ruchem rewolucyjnym była udowodnioną (*priczastje k miatieżu*), zaś mój szwagier miał obrazić Majestat, i tylko sam Najjaśniejszy ma w tej sprawie stanowić. Z tem pismem zjawiam się do hrabiego w dzień audyencyonalny, ale już hrabia był przez Ostromęckiego uprzedzony, że wszelkie kancelaryjne i Mieziencowa przeszkody usunięte. Wszakże na audyencyi powiada mi, że generał-gubernatorowie mają prawo — podejrzanych karać administracyjnie. *Nie*, odpowiadam, *w ukazie wyraźnie powiedziano o styczności z ruchem, prziczastje, a nie paduzrienije!* Pismo moje przyjął; ja zaś wyszedłszy z sali audyencyonalnej spotkałem Kranza, który całą sprawę szwagra mojego przyniósł dla nadania jej odpowiedniego kierunku; tym sposobem za dni kilka już sprawę mą do Kijowa miano wysłać.

Po zakończeniu i innych w moich ręku będących spraw również dobrze wyjechałem na Warszawę do Kijowa. W Warszawie tym razem rozgłos trafnie prowadzonych przezemnie spraw w Stolicy powiększył mój portfel o dwie, najgłośniejsze może w kraju naszym. Feliks Sobański powierzył mi traktowanie z kompanią francuską Derosne'a i Caila o sprzedaż klucza

Trostaniec, a Henryk Jaroszyński — o sprzedaż swych dóbr tywrowskich kompanii francuskiej; jeden i drugi z przyjęciem w znacznej części szacunku majątku w akcyach fabryk cukrowych, wybudowanych już w tych dobrach, lub mających się budować. Powróciwszy do Kijowa, zastałem Matkę moją i Siostrę z Siostrzenicami, wyczekującą skutku mych zabiegów w Stolicy, co do przymusowej sprzedaży dwóch wsi szwagra — był to już bowiem rok, w którym zaledwo kilka miesięcy pozostawało do terminu przymusowego wywłaszczenia. Pojechałem niezwłocznie do Popowa, zarządzającego kancelaryą generał-gubernatora, by zwrócono Siostrze mojej wzięty od szwagra mego, który był na wygnaniu, podpis, iż w terminie wywłaszczyć się zobowiązuje. Popow mi powiedział, iż muszę mieć dobre plece w Stolicy, sądząc z zapytania, jakie im przysłano, i... że od szwagra podpisu żadnego nie brano. Oparłem się tak głuchej odpowiedzi, prosząc, by mi dano oficjalną odpowiedź; inaczej mógłbym wpaść w błąd, z którego po zapadłym terminie mogłaby wypaść alternatywa przymusowego wywłaszczenia. Również przez krewnego generał-gubernatora uprzedziłem go, by miał mnie za wytłómaczonego, jeśli nacie ram na formalności: w moim ręku i na mojej odpowiedzialności pozostały sprawy dzieci szwagra, pozostającego dziś na wygnaniu. Niejasne odpowiedzi trwały przez miesiąc, poczem odebraliśmy list od szwagra z Ekaterynosławia, który nas zawiadomił, iż zobowiązanie do przymusowej sprzedaży, podpisane przez niego, zostało mu przez miejscowego gubernatora zwrócone. Zrozumieliśmy więc, iż był to wprost wykręt kancelaryi Bezaka przez zaparcie się kroku nielegalnego, jakiego się dopuścili. Bądź co bądź, niech i tak będzie! Narażać się władzom nie mogliśmy, gdyż uwolniwszy się od sprzedaży i korzystając z dróg, które się otwały, mieliśmy rozpocząć kroki o powrót szwagra, pozostającego jeszcze na wygnaniu; brata zaś mego już uprzednio uwolniono.

Nie długo bawiłem w Kijowie, wypadło mi bowiem wyjechać do dóbr Jaroszyńskiego na Podole dla obejrzenia ich, w towarzystwie inżyniera, wysłanego przez Bekersa, reprezentanta domu Caila, traktującego o nabycie dla kompanii. Zadaniem naszym było nie tylko zrobienie należytego opisu własności gruntów, lasów starokonstantynowskich, ale i chemi-

cznego składu wód, a także obejrzenie miejscowości nadbrzeżnych, zalecających się pod budowę fabryk. Takie opisy trzeba mi było przedstawić członkom kompanii fracuskich, mających się zebrać w Warszawie za dni kilkanaście. Dopełniwszy opisu wyruszyłem do Warszawy na dzień oznaczony, a Bekers opis przyjął i traktowanie z Jaroszyńskim rozpoczął. Powróciwszy do Kijowa, znowu musiałem wyjechać do tychże majątków, a to z powodu, iż z Karlsruhe przysłano inżyniera i zarządzającego dobrami ojca Battenberga (później ks. bułgarskiego) też dla obejrzenia tyrowskiego klucza. W końcu majątki zostały nabyte przez Koczubeja, a sprawa urządzenia akcyjnego przez Bekersa nie doszła do skutku.

Sprawy inne też wiele mi czasu zabierały i wyjazdy częstsze do Stolicy nakazywały. W tych czasach zaczęto bardzo się zajmować interesami akcyjnymi, które to dopiero na mocy statutów, przez Rząd zatwierdzonych, w życie wprowadzano. Większą część fabryk cukrowych już istniejących przerabiano na kompanijne; na rynkach pojawiały się akcje cukrowni po 30% dywidendy przynoszące; pędzono za nimi usilnie, i wkrótce te akcje za podwojoną cenę kupowano. W tym samym roku urządzono dwa banki akcyjne w Kijowie; następnie zatwierdzono statut hipotecznego ziemskiego banku w Kijowie dla trzech gubernii południowo-zachodnich; ale tego ostatniego banku nie chciano zatwierdzić inaczey, jak na podstawie akcyjnej bez udziału w zarządzie Polaków, a to by nawet usunąć pozory, mogące w czemkolwiek posługiwać własności ziemskiej obywateli polskich w naszych guberniach.

W zajęciach moich ten nowy ruch finansowy, który zaczął ożywiać ekonomiczny stan kraju naszego, przysporzył mi trochę fundusiku rezerwowego; a co większa, obznajomił mnie z giełdami petersburską, warszawską i odeską, gdzie akcje spieniężano. To wszystko dało mi możność myśleć i o urządzeniu mego własnego interesu Jaropowieckiego na sposób akcyjny; opłacając akcjami wierzycieli, miałbym pozostawiony majątek ziemski w ręku moim. Począł mi w tem dopomagać najusilniej baron August Taube, z kampanii kalnickiej, która już nabyła na własność wiele wierzytelności moich na Jaropowcach zahypotekowanych. W tym celu, i w innych interesach wybrałem się znowu w podróż do Stolicy zimową porą, ze

zdrowiem trochę nadwątlonem coraz to większemi jazdami po kraju w porach jesiennych, ze wszystkimi niewygodami, na jakie podróże kołowe, bryczkowe i żydowskie narażają, koleje bowiem żelazne tylko co projektowano.

Wszystkie sprawy moje w stolicy poszły jak najlepiej — szczególnie dobrze przygotowaną była sprawa jaropowiecka do zamiany jej na akcye fabryczne, z pozostawieniem mi majątku z lasem, co najmniej pół miliona wartającym. Zdało mi się, że już jestem u kresu mych zajęć jurydycznych, przypadających mi z konieczności. Brat i szwagier z więzienia uwolnieni, i oba majątki: brata mojego w czechryńskim, jak i mój w skwyrskim — podratowane; po powrocie do Kijowa negocyacye z wierzycielami moimi rozpoczęte łącznie z Augustem Taubem, który na swoje imię zaczął nabywać moje weksle, w celu zamiany ich na akcye cukrowe. Zdało mi się, iż przy warunkach sprzyjających ukończeniu spraw w moim portfelu pozostających w przebiegu roku, przygotuję i sporo gotówki pod kontrakty kijowskie, by moje osobiste interesa do celu wyżej omówionego doprowadzić. Ale los mi zaszedł znowu w drogę moim zamiarom, a tym razem w sposób, iż mnie ze wszystkiej pracy wykoleił i na szlaki klimatyczno-kuracyjne rzucił. — Silny reumatyzm — skutkiem niewygód w podróżach doznawanych — nakazał mi pracę porzucić, a doktorowie kazali wyjechać zagranicę, do klimatów cieplejszych, dla ulżenia cierpieniom, które się wzmagają.

XII.

Podróże.

Dura necessitas. — *W Galicyi*: Pogranicze. — Emigranci we Lwowie. — Sejm, i ogólne wrażenie rządów austriackich w Galicyi. — *W Wiedniu*: Lekarze. — Znajomi i rozrywki. — Spotkanie. — *Wenecya*: Klimat. — Rzekomy W-ki książę. — Gondolierzy. — Siedziba sztuk i pamiątek. — Nastroj męczący. — *Do Nicei*: Genua i słynny ogród. — Kwitnąca kraina. — Stolica high life'u. — Znajomi i tryb życia. — Smutne refleksye. — *Z Nicei do Rzymu*: Florenca. — Stolica Papieża. — Msza papieska i błogosławieństwo. — Iluminacya w Wielkim Tygodniu. — Arcydzieła malarskie. — Ekskurs o »Sądzie Ostatecznym« Michała Anioła. — *Neapol*: Miasto, opera i mieszkańcy. — Ozdoby miasta i niechlujstwo. — *Na Ischii*: Przejazd na wyspę. — Hotel i jego właściciel. — Skuteczna kuracya. — Przyjezdni i turyści. — *Z powrotem*: Wiadomości z domu i wyjazd na Wiedeń do Hall. — Kuracya w Hall i konieczność powrotu. — Podróż Dunajem przez Peszt. — *Zakończenie*: Kilka dat i faktów z ostatniej działalności Autora, w dopełnieniu wydawcy.

Rozpoczęła się dla mnie nowa era beczynności, z którą w początkach dość mi trudno było się oswoić. Słusznie Michelelet powiedział, iż jeśli człowieka czynnego, w pracy zamiłowanego, los z zajęć wykolei i na tor próżniaczy wyrzuci, to organizm, nawykły do czynu, na tym torze biernym burzy się nieustannie i nie łatwo się uspakaja. Doznałem ja tego na sobie w podróżach moich. Nieustanna żądza zapełnienia dnia jakimś zajęciem produkcyjnym, pożytecznym, choć w części z mojem dawnym zajęciem związek mającym, tak gorączkowo trawi umysł i wyobraźnię, że wreszcie znuży najsilniejszą wolę, i upadek prawidłowego funkcjonowania organizmu przysposobi...

W późnej jesieni dano mi paszport, zaprzęto pocztowe konie do karetki, i wyruszyłem, jakby na wygnanie, przez Żytomierz

na Brody, Lwów, skąd już koleją rozpocząłem wszelkie dalsze podróże, które prawie przez przeciąg lat kilkunastu czas mi zabierały. Dojechawszy do Brodów zatrzymałem się tu dla wypoczynku. Żydzi w surdutach długich i cylindrach starannie wyglansowanych roili się po miasteczku. Różnią się oni od naszych berdyczowskich strojem i mową; handel, a raczej przemycanie, cechuje tę pograniczną jego twierdzą.

Nazajutrz wyjechałem do Lwowa, gdzie zabawiłem dni kilka z powodu, iż wielu tu spotkałem moich dawnych znajomych, z którymi przyjemnie mi było czas jakiś spędzić. Dwóch braci Cieszkowskich: Karol i Leon, Jełowicki Adolf, Olizar Emil, Budzyński Henryk i inni przybyli tu z Ukrainy czasowie zamieszkiwali; przytem oddział wołyński z Różyckim na czele skrył się do Galicyi, gdzie wielu emigrantów znalazło schronienie. Austria ze swą nową konstytucją musiała otworzyć granicę chroniącym się ułamkom, pokrewnym galicyanom. Jak zawsze, tak i tu po chwilowych sercowych usposobieniach nastawały chwile wzajemnego rozczarowania. Opowiadano mnie, że galicyanie już są znużeni nieustannymi wymaganiami emigrantów, którzy znowu po kawiarniach głośno narzekają na chłodne jakoby rodaków przyjęcie. Tym razem, jak mi mówiono, emigranci miarkę przebierali, i ostrzegano ich przez nas, iżby się nie narażali; ale smutna ich kolej! Nic dziwnego, że czasem i goryczą się odznaczali: bez środków, bez rodziny; dopóki się ze swoją biedą nie zżyli i jakiegoś choćby skromnego zajęcia nie znaleźli, śpiew ich musiał być żałobnym.

Ponieważ ówczesnie (14/IX — 17/X 1871 r.) Sejm we Lwowie był zebrany, poszliśmy posłuchać rozpraw deputowanych, radzących nad potrzebami kraju swojego. Dwa zadania miano głosować podczas tej sesji sejmowej: prawa drogowe i równouprawnienie żydów. O prawach drogowych szczególnie zwróciła na siebie uwagę mowa Skrzyńskiego i Krzeczunowicza. Za równouprawnieniem żydów przemawiał Smolka i inni. Włościanie deputowani przeciwni byli równouprawnieniu; szczególnie nad losem włościan desperacko przemawiał jakiś chłopek, Mazur, dowodząc, że i włościanie i panowie przepadną, jeśli żydzi będą równouprawnieni¹⁾. Dziwnie podwyższającego godność

¹⁾ To posiedzenie sejmu odbyło się w październiku (13?) r. 1871. (P. W.).

człowieka doznaje się uczucia, przyjechawszy z Rosyi, gdzie rząd despotyczny sili się nad pomysłami tępienia Polaków, do Galicyi, gdzie pod rządem konstytucyjnym wolno być Polakiem, w stroju narodowym, i prawdziwym katolikiem; a w sejmie wolno jawnie, głośno wypowiadać swoje potrzeby, dopominając się o ich zaspokojenie: gdzie ułan z komendą polską, lokalizuje się w granicach, jakby strzegący praw narodu swego własnego. Jeśli zaś rzucić okiem w przeszłość historyczną tejże Austryi, to niedawno jeszcze wytępiano Czechów, wyrzynano galicyan-Polaków i rozstrzelano kilkunastu generałów węgierskich. Bóg miłosierny może i naszym dzieciom pozwoli doczekać się chwil weselszych!

Po kilkudniowym pobycie we Lwowie wyjechałem koleją przez Kraków do Wiednia, a ponieważ Kraków już mi był dawniej znany, szło mi o prędsze widzenie się z doktorami wiedeńskimi, którzy mieli kierować dalszemi mojami podróżami. W Wiedniu zatrzymałem się w hotelu i nazajutrz posłałem list, wręczony mi przez jednego ze znanych doktorów kijowskich, Meringa, a polecający mnie pilności doktora Preussa, który już sam nie zajmował się praktyką, mając dość piękny fundusz, ale przez swoje stosunki, a przedewszystkiem wielką zacność, był mi bardzo pożytecznym. Tegoż dnia jeszcze przybył dr. Preuss, nadzwyczaj uprzejmy staruszek, który podjął się urządzić mi konsylium ze znakomitości medycznych wiedeńskich, co też nazajutrz uskuteczniono. Radzono mi, bym pozostał z miesiąc na kuracyi wiedeńskiej, poczem udać się mam na południe.

Przeniosłem się na mieszkaniu do domu prywatnego, nająłem sobie lokaja galicyanina, który i później przez lat parę ze mną podróżował; a ponieważ zastałem tu dwóch Kijowian — jednym z nich był Leszek Świeykowski, huzar austriacki; drugim był Zatler, były student uniwersytetu kijowskiego — czas więc mi jakoś schodził, wieczorami na słuchaniu orkiestry wojskowej wiedeńskiej, a w dzień na spacerowaniu doskonałymi fiakrami po Praterze. O orkiestrze wiedeńskiej wojskowej muszę tu nadmienić, iż na wystawie paryskiej została ona nagrodzona złotym medalem. Nie zależnie od tego, iż słyszy się tu i orkiestrę Straussa, orkiestra wojskowa austriacka, stoi może wyżej od pierwszej, jakoteż i od orkiestry opery wiedeńskiej. Solistów

na każdym instrumencie mają niepospolitych, przytem kładą na bok dęte instrumenta i z równą biegłością grają na rzniętych. Kiedy ich kapelmistrz dostrzegł, iż jako amator, a może i znawca, byłem jednym z wielbicieli jego orkiestry, przytem jeden ze znajomych moich, Jan Brzozowski, uczył się u niego grać na kornecie, zaprosił nas do swej szkoły, by być świadkami, z jakiej młodzieży składa swą orkiestrę. Rekruci, powołani do służby wojskowej, stają do egzaminu kapelmistrza; staje Czech — u których podobno nikomu zenić się nie wolno, dopóki nie gra na dwóch lub trzech instrumentach; staje muzykalny tyrolczyk; słowianin z usposobieniem muzykalnem; Włoch z pod Tryestu z serenadą (s) — nic więc dziwnego, że tak złożona orkiestra celuje. Przytem, po zakończeniu terminu, obowiązkowej służby, wybierani są lepsi, celniejsi, którym się płaci po 1000 guldenów rocznie, by pozostawali w orkiestrze. Te napawanie się nieustanne tylko melodyą, przy beczynnem życiu, ta gra wrażeń i systemu nerwowego nieraz była mi powodem takiego rozstroju nerwów, że i później pobyt mój dłuższy w Wiedniu był niemożliwy, a nawet pewnego razu wywieziono mnie do Szwajcaryi, do otoczenia spokojniejszego, bym się pozbył nostalgii, która mną owładnęła. Tym razem, po pobycie miesięcznym wyjechaliśmy ze szwagrem moim do Nicei na sezon zimowy.

Nie wiedziałem nic o tem, że szwagier mój Teodor Krasieński miał zamiar wyjechać też zagranicę. Pewnego dnia spacerując po Wiedniu widzę — jedzie fiakrem szwagier mój z synem Edmundem i siostrzeńcem Edmundem Komarem; zatrzymaliśmy powozy, i okazało się, iż on od dwóch dni jest w Wiedniu w poszukiwaniu mojego mieszkania, którego odnaleźć nie mógł. Układamy projekt, iż nadal łącznie podróżować mamy, syn zaś jego i siostrzeniec będą nam towarzyszyć li tylko do Wenecyi

Za dni kilka wyruszyliśmy we czterech do Wenecyi. Był to już listopad: chłód w Wiedniu był dla mnie, zreumatyzmowanego, dokuczliwy. Nad rankiem przyjeżdża się do Wenecyi i naraz czuje się wiosenne powietrze, pod wieczór natomiast bywa tak chłodno, iż ja w niedźwiedziej szubie i w ciepłych butach zjawiam się na placu św. Marka — odrazu mnie niedźwiedziem północnym przewano.

Wenecya dziś żadnej roli politycznej nie odgrywająca, handlowo podupadła, goni tylko za frankami podróżujących, to też na wstępie zjawia się kurjer, który za 5 fr. dziennie ma wszelkie ciekawości tego miasta pokazywać, a reklama kurjerów w tem mieście tak głośna, że kaczki te o przyjezdnych i gazetka miejscowa powtarza. O nas czterech przyjezdnych rozpuszczono wieść najzabawniejszą. Ponieważ ówczasie jeden z W-kich książąt rosyjskich miał po Włoszech podróżować *incognito*, domyślano się na wstępie, iż W-kim księciem miałem być ja; Edmund Krasiński i Komar mieli to być dwaj moi adjutanci; Teodor Krasiński, człowiek wiekowy, który miał zwyczaj podpisywać się na cetli meldunkowej: »obywatel kijowskiej gubernii«, przewany został gubernatorem Kijowa. Zastaliśmy w Wenecyi znajomego mi Włocha Bertoni'ego, dawniej lektora języka włoskiego na uniwersytecie kijowskim, i ten stał się nieodstępnym towarzyszem naszym, a w oczach weneccyan uchodził za tłumacza. Co zabawniejsza, to to, iż raz puszczone gazeciarska kaczka w obieg niczem nie dała się zatrzeć. W pięciu, w towarzystwie kurjera, szóstego, chodziliśmy oglądać ciekawości Wenecyi, a wszędzie witano nas uprzejmie, podejrzewając o chęć ukrycia się naszego, o *incognito*. Przekonałem się i później, że sami kurjerzy rozsiewają o osobach, którym towarzyszą, najróżnorodniejsze wieści: robią koniecznie księciem rosyjskim, jeśli się zajmuje apartament lepszy, a wszystko to w celu wydobycia najwięcej franków z kieszeń podróżnych, którzy się na tę wędkę złapać dają.

Wenecya, to ciekawa dla nas siedziba dożów, z gondolami dla komunikacji, w dzień wygląda brudnawo: zakwitłe fundamenta pałaców, wśród niezawsze czystej wody kanałów, rażą oko; ale przy świetle księżycy, który tam srebrzysto przyświeca przy nieustannem echu śpiewów artystycznych gondolierów — Wenecya napawa uroczem. Zasnąć swobodnie nie można. Często z łóżek zrywalimy się nawpół senni, przebudzeni śpiewem zbliżających się gondolierów, towarzyszących jakiejś kompanii podróżujących, którzy w ten sposób uprzyjemniają sobie pobyt w Wenecyi. Jest to tak we zwyczaju noc miesięczną przepędzać w gondoli, w towarzystwie gondolierów, że niema prawie nocy, by echa śpiewów nie napełniały przestrzeni. Jednym razem, zapłaciwszy kilka franków, wsiadłem ze śpiewakami do

gondoli, by sądzić o wrażeniu, jakie to w mieście sprawia. Zabawnie było widzieć, jak czasami przebudzeni w pałacach mieszkańcy, zapewne przyjezdni, zapalają światełka, odmykają okna i wychodzą na balkony — damy li tylko w narzutkach — słuchać śpiewów. Zatrzymują się gondolierzy, śpiewają jakąś serenadę, a czasami kilka franków, rzuconych z balkonu, wpada do ich kieszeni; odpływają gondolierzy, i światła w oknach nikną, powołując do snu mieszkańców. Jeden z mostów posiada arkę tak szeroką, że ma to stanowić arcydzieło architektoniczne, i słynnym jest z tego, iż echo z pod arki ma się rozchodzić po całej Wenecyi; to też zatrzymują się tu gondolierzy, wykonują kilka aryi z akompaniamentem basowym nadzwyczaj silnym — często nawet jest to celem podróży gondoli — poczem powraca znowu krążenie po kanałach, otaczających plac św. Marka.

W dziełach sztuki — siedziba Tycyana sprowadza tu malarzy studyujących koloryt, jako główną cechę tego artysty. Nie raz jeszcze, w czasie podróży moich po Włoszech, powracałem i ja do Wenecyi podziwiać pędzel Tycyana, bardziej jeszcze, iż mamy w domu św. Katarzynę, która prawdopodobnie przez tegoż malarza jest wykonaną. Dla studyjących architekturę Wenecya jest szkołą najpowabniejszą. Z placu św. Marka widzi się wszystkie szkoły tego działu sztuki: kościół św. Marka w stylu bizantyńskim, ze wspianiałemi kolumnami, przywiezionemi ze Wschodu; pałac dożów w stylu maurytańskim, z dwiema kolumnami, zdobytymi przez wenecyan, ze ścianą marmurową — obok schodów scala d'oro — która to ściana ma być wzorem stylu renesansu. W czworoboku placu św. Marka dwa boki renesansowe, nadzwyczaj zgrabnemi proporcyami się cechujące i jeden bok już z rozkazu Napoleona wykończony — ten ostatni już mniej artystycznie wykonany. Każą tu przytem podziwiać zegar z mechanizmem, wybijającym godziny przez manekina; gołębie, karmione przez ludność miasta spacerującą po placu, na pamiątkę, iż miały kiedyś wyratować Wenecję, zwiastując okręta nieprzyjacielskie. Z marmurów — statuy weneckiego artysty Sansovina zasługują na uwagę, a freski wewnątrz pałacu dożów mają świadczyć o czasach świetniejszych tej potęgi morza. Wyobraźnia przepelnia się tu tragicznymi występkami rodzin Borgiów, truciznami, grą sztyletów, więzieniami podziem-

nemi — gdzie giną ślady podejrzanych o spiskowanie — z mostem westchnień, po którego przejściu traci prawo więzień do wszelkiej amnestyi.

W Wenecyi Byrona się czyta z ciekawością, ale dla podróżnych kilka dni pobytu w niej wystarcza dla zaspokojenia ciekawości. Brak ruchu powozów, koni, do których przywyka mieszkaniac miast europejskich; te ślizganie się gondolami po kanałach, monotonny ruch wiosł i zawsze jeden i ten sam plac św. Marka, jako miejsce i cel spacerów pieszych — wszystko to w ciągu dni kilku wystarcza do znużenia podróżnego tak, że się oczekuje dnia wyjazdu z równem upragnieniem, jak to się zdarza po czterotygodniowym pobycie u wód letnich. Tym razem już we dwóch, z moim szwagrem, wyruszyliśmy przez Genuę do Nicei; ja zaś umówiłem stąd kuryera bardzo niedrogiego — po 5 fr. dziennie — który miał mnie przeprowadzić do Nicei.

Przyjechawszy do Genui, gdzie już wszystko oddychało czysto włoskiem powietrzem, poszliśmy obejrzeć wspaniały port, i ogród na nasypowej ziemi, gdzie każde niemal drzewo miało swoją osobną historję. Szwagier mój, naturalista wileńskiego uniwersytetu, dość długo mieszkając na wsi, czytywał wiele dzieł botanicznych, więc mając pamięć niezwykłą, rozpoczął swoją ekskursyą po ogrodzie, jakby po miejscowości dawno mu znanej. Małego wzrostu, ruchliwy, staruszek biegał od drzewa do drzewa, recytując historję każdego z nich po kolei, lub też zasypywał ogrodnika pytaniami o wskazanie mu jakiejś ciekawości, o której takie miał dokładne wiadomości z odczytania, że mu ogrodnik przyznał, iż ze wszystkich odwiedzających ten ogród, chociaż między nimi bywali i botanicy specjaliści, nikogo tak obznajomionego z historją ogrodu genueńskiego nie napotykał. Wielką miał chęć mój szwagier pozostać tu dłużej, ale ja już i tak spieszyłem do Nicei: w Genui klimat łagodniejszy, wszakże śnieżycy w grudniu czasem się pojawia, co na reumatyzm oddziaływa, a chłodek w dnie chmurne dokuczliwy.

Nazajutrz więc wieczorem wsiedliśmy do parowego statku, a nie doznawszy nudności lub zawrotu głowy, czem inni podróżniorską opłacali, o wschodzie słońca stanęliśmy wśród róż, kameli i łąk kwiecistych Nicei. Dziwne to wrażenie radości spr-

wia na podróży, którzy z krajów w porze jesiennej lub zimowej, śnieżnych, dżdżystych, mglistych lub błotnych, z pośród natury uśpionej, po kilkodniowym przejeździe koleją, mogą osiąść po raz pierwszy w ogrodach, napełnionych aromatami drzew kwitnących, pomarańczowych, oliwkowych i innych. Te wrażenie tak się silnie pamiętkuje (s), iż nieraz jeszcze i później przyjemność tę sobie powtarzać pozwoliłem. Dzień cały pierwszy przybycia naszego do Nicei przepędziliśmy na podwórzu — poszukiwaliśmy mieszkania miesięcznego — lubując się słońcem, ciepłem i bogato uposażoną naturą tej stacyi zimowej.

Któż nie zna tej stolicy świata eleganckiego, który to woli się pozbyć pory mroźnej, śnieżnej w swym kraju, by ją zamienić na letnią, słoneczną, wśród wonnej, kwiatowej, przepięknej rozrywkami egzystencyi? Tu przyjeżdża Anglik z uspołobieniem skłonny do *spleenu*, by w porze roku mglistej w jego kraju lubować się tu promieniem słonecznym. Tu paryżanie, uchylając się od etykietalnych zimowych przyjęć w stolicy, pędzą życie swobodne, spacerowe, rozrywkami odpowiedniami urozmaicane. Tu Rosyanie z lodów północnych wygrzewają swą krew zastygłą, a w częstych wycieczkach do Monaco próbują grze w ruletę losy swe powierzać. Włoch nawet termometrom swego kraju nie wierzy i chętnie tu przybywa. Na zimę Nicea przystraja się dla przyjęcia cennych gości: wille wspaniałe, hotele z komfortem i elegancją, kuchnie zdrowe i pożywne — wszystko to tak kosztownie urządzone, iż się nie zawstydzi, przyjmując dumnych lordów, światowych paryżan, magnatów rosyjskich, włoskich, ba, nawet i z antypodów: amerykanki ładne nawet i los swój tu znajdują. Od południa ruch na spacerach jaskrawy: toalety pań, mody ostatniej, z Paryża tu nadsyłane, a nawet wyłącznie dla Nicei wymyślane, widzi się w powozach lub eleganckich koszykach; spacerują po okolicy w odwiedzinach znajomych w Mentonie, Cannes lub Monaco. Po zachodzie słońca lub w dzień pochmurny — jak wymieciono, gdyż ruch w mieście tylko przez napływową ludność się widzi.

Z moich znajomych z Ukrainy zastałem Rylskich, panią Burkatową, panią Hołowińską z córką i Branickich. Zaprzyjaźniliśmy się z Jackowskim z Królestwa, i byliśmy sobie na tem wygnaniu wzajemnie pożyteczni. Utworzyliśmy kółko z Ryl-

skimi i panią Burkatową, mieszkającą w tymże Grand Hotel'u, a tak ja ze szwagrem i Jackowski z Ryłskimi i panią Burkatową mieliśmy tę pociechę na obczyźnie, iż wzajemnieśmy się strzegli. Od 12-tej w południe do godziny 5-tej, obiadowej, chodzić trzeba obowiązkowo, po słońcu; potem czas jakiś spędza się w fajkarni, w towarzystwie męzkim, a najczęściej o 9-tej idzie się do swojego mieszkania, do łóżka.

Dobre to dla ludzi przywykłych do bezczynnego życia! ale dla mnie kilka miesięcy spędzić bez zajęcia, przy braku środków, które się co dnia musiały zmniejszać, z przyszłością, która była tak pochmurną — życie to nicejskie po pewnym czasie tak mnie znudziło, w taki *spleen* mnie wpędzało, że mi rady sobie dać nie mogłem. Nadszedł luty, czas kontraktów kijowskich, kiedy interesa moje zwykle się powiększały, a rachunki z klientami zakończone, środki do życia mi zapewniały. Z Nicei wyjechali hr. Władysław Branicki i Ryłski — ja zaś jechać nie mogłem! gryzłem się nielitościwie. W Kijowie biuro moje — trzech pomocnicy — telegramami nieustannie zapytywało, jaki kierunek nadać tej lub innej sprawie klientów, których wyjazd mój zatrwożył — ten zawód, chociaż nie z woli własnej niepokoił mnie niezmiernie. Świat nicejski, ożywiony, wśród kwiatów, dla innych wesoły, począł mnie zasmucać; później wierszem opłakiwałem:

Kwiaty? to już nie dla mnie, moje — dawno znikły,
Gościniec mego życia cierniami usłany,
Po nich kroki wdrożone śmiało stąpać zwykły:
Tracą w końcu swe czucie wciąż drażnione rany.

Towarzysz mój Jackowski starał się mnie rozerwać i czas uprzyjemnić, zapraszał mnie do swego koszyka spacerowego, woził czasami i do Monaco, gdzie grywał w ruletę — ale przy *spleenie* im więcej jest ruchu, tem dokuczliwiej: spokój tylko leczy. Grać w Monaco, by nerwy drażnić, nie miałem ochoty; każda przegrana, nawet mała, robiłaby mi różnicę, wygranej nie pragnąłem: w czymby mi to dopomódz mogło, kiedy mój najpewniejszy kapitał — praca — procentować przestał? powoli nauczyłem się i ja czas swój przegrywać, podróżując dla zdrowia zagranicą!

W marcu już porusza się Nicea do wyjazdu. Najwięcej po kilkumiesięcznym pobycie w Nicei, jeśli się nie powraca do kraju, jadą na Wielkanoc do Rzymu, i ja tym razem pojechałem przez Florencję, Rzym, Neapol na wyspę Ischię, gdzie zalecano mi błotną kuracją reumatyzm mój wypędzić. Zatrzymałem się we Florencyi tym razem niedługo. Zwiedziwszy galerję obrazów i salę marmurów, Trybuną zwaną, ze słynną Venus, a także plac, gdzie znakomitsi artyści ubiegają się o danie im możności ustawienia swego marmuru na pamiątkę miastu, gdzie grupa »porwania amazonek« zwraca na siebie uwagę, jako jedno z arcydzieł nowoczesnych artystów, wreszcie obejrzawszy miasto i aleje spacerowe — pole popisu dla eleganckich zaprzęgów, utrzymywanych przez możniejszych Włochów — wyjechałem do Rzymu, gdyż nadchodził już tydzień wielkanocny.

Kilkanaście godzin koleją doprowadza do stolicy Papieża. Na parę godzin przed Rzymem widać już olbrzymie akweduki, które jak nogi pająka otaczają Wieczne Miasto. Zatrzymawszy się w hotelu nadzwyczaj wygodnym, doprowadziwszy trochę do porządku moją toaletę, pośpieszyłem uklęknąć na placu przed Watykanem. Dwie fontanny, plac z posadzkowym brukiem i sam Watykan, pozostawiają niczem nie starte wrażenie.

Nazajutrz po mszy, wysłuchanej w kościele św. Piotra, podziwialiśmy rozmiary pomników marmurowych na grobach papieży: wszystko to winno być rozmiarami tak ogromne, by w harmonii z rozmiarami świątyni samej było. U wejścia na prawo nad konchą z wodą święconą, znajduje się statua aniołka, który zdaleka wydaje się dziecięciem; gdy się zbliżyć, to rozmiar coraz się zwiększa, a za dotknięciem — noga i ręka nie cieńsza (s) od głowy dorosłego człowieka. Tę proporcję zachowano we wszystkich pomnikach i ozdobach wnętrza i przez to harmonia się zachowuje w zupełności. Po mszy św. Papież obchodził kościół, by udzielać błogosławieństwa licznie zebranej ludności; klęknąłem i ja w szeregu, wyczekując orszaku licznego, złożonego z przybocznej straży Ojca św., z kardynałów, szambelanów i innych dostojników. Kiedy nas minął orszak wspaniały, biorący zawsze udział, według etykietalnych przepisów Watykanu, ujrzeliśmy Ojca św. Piusa IX-go, postępującego wolnym krokiem, błogosławiąc nabożnych, którzy tu na klęczkach wyczekiwali. W białej skromnej sukience, z uśmiechem

łagodnym, Papież nieraz zatrzymywał orszak cały, by udzielić dłuższego błogosławieństwa jakiejś schorzałej staruszce, lub pociągnięty nieostrożnie za sukienkę, której ukłękłe babki dotknąć się koniecznie życzą: w pobliżu mnie jakaś babka tak nieostrożnie pociągnęła Papieża, że się trochę pochylił, i cofnąć się musiał; uśmiechnął się łagodnie Pius IX, zatrzymał się na chwilę, a uwolniwszy się od tłumu, wszedł znowu w orszak i ruszono powolnym krokiem dalej. Za Papieżem szła policya z prefektem Rzymu, szła służba w pąsowych frakach, następnie oddział żuawów francuskich, którzy to ówczesnie pozostawieni w żołdzie Napoleona III-go, strzegli władzy doczesnej Papieża. Cały ten orszak tak liczny mieścił się swobodnie w kościele św. Piotra, godnym, jak wiadomo, podziwu swemi rozmiarami.

Ponieważ był to Wielki Tydzień, widzieliśmy illuminacyę Watykanu i Rzymu: ognie sztuczne, które tu są pewno wyższe nad wszystkie inne, w stolicach Europy podziwiane. Przed wieczorem ruszyliśmy powozami na plac przed Watykanem, który tak był zapełniony, że wprowadzony przez żandarmów konnych powóz musi do końca z miejsca się nie ruszać. O zmierzchu w jeden moment zapalają się lampki i kagańce na kopule św. Piotra, i wkrótce cały Watykan się oświetla. Mówiono mi, że do 1000 ludzi, przebywających na dachach Watykanu, użytych jest do przyspieszenia zapalających się świeczek illuminacyjnych. Szczególnie szybko, prawie momentalnie, oświetla się kopuła, elektryczną nicią połączona, czemu towarzyszą głosy zachwyty, z tłumu przesyłane. Na drugi dzień byliśmy na sztucznych ogniach (fajewerkach). Umieszczono nas na trybunie, za opłatą biletów wstępnych. Kosze ogniste z raket wypuszczonych zapełniając horyzont, przedstawiają widowisko niepojęte: z jakich rozmiarów naczyń i w jakiej ilości taka niezliczona liczba koszów ognistych wypuszczoną w powietrze być mogła?

Po obejrzeniu łóż i pokoi sławnego Rafaela, po podziwianiu geniuszu Michała Anioła, który uosabiając w sobie trzy działy sztuki: jako architekt w kopule św. Piotra, jako rzeźbiarz w Mojżeszu, przeznaczonym na grób Juliusza II-go i jako malarz w »Sądzie ostatecznym«, fresku kaplicy sykstuskiej¹⁾ — po

¹⁾ O tym fresku muszę wspomnieć, iż rozmiary figur są tak różnorodne, że niektórzy robią mu nawet z tego zarzut — co do mnie, to po-

zostawił wiekopomne ślady swego niespolitego talentu, po obejrzeniu marmurów starożytnych rzymskich, Venus i umierającego gladyatora, którym dość napatrzeć się nie można, i po przejrzeniu rozmiarów Coliseum przy świetle księżyca, wyjechałem po Wielkiejnocy do Neapolu, obiecując sobie nieraz jeszcze w Rzymie dnię odpoczynku spędzać.

Przyjechawszy do Neapolu, podziwiałem te ogromne, w amfiteatr od morza zbudowane miasto. Na razie wszystko naprędce trzeba było obejrzeć, gdyż miałem się udać na kurację błotną na wyspę Ischię, o pół godziny drogi stąd położoną. Opera włoska, której budynek za drugi po medyolańskim jest uważany, bez wątpienia jest doskonałą cechą melodii włoskiej. Włoch w stroju niedbałym, z pąsową włóczkową mycką na głowie, wygrzewający się na słońcu nad brzegiem morza — prawdziwe *far niente* włoskie — to znowu Włoch nad morzem, na tejże paradnej ulicy, pokazujący podróżnym, jak sporą misę makaronu, okręconego na palcu, wpuszcza do gęby i w mgnieniu oka połyka, a powtarza to tak często, jak frank z kieski podróżnego do kieszeni włoskiej wpada — wszystko tu, co jest życiem miejscowej ludności, cechuje ogromną niedbałość słabo pod względem umysłu rozwiniętego południowca.

W ozdobach miasta niepoślednią rolę odgrywają 4 grupy z brązu, przedstawiające konia w skoku, przytrzymywanego przez człowieka — dar cesarza Mikołaja I królowi neapolitań-

dzielam zdanie, iż w epoce w której zachowanie rozmiarów przy niezwykle ogromnej skali planu bazyliki św. Piotra stało się dla ówczesnych artystów zadaniem najkapitałniejszym, kiedy utrzymanie proporcji i harmonii w ogólnie odpowiadających wykończeniach było jakby *arcanum imperiae* dla genialnych pomysłów, kiedy gigantka kopoła nad bazyliką miała za zadanie w formie tyary papieskiej dominować Watykanowi, nie-
rażąc ciężarem, lecz przeciwnie, przedstawić się oczom widza lekką i harmonijną, co było, jest i będzie pomnikiem geniuszu Michała Anioła, że, mówię, wtedy geniusz malarski jego we fresku sykstyńskim, ulegając, a raczej odzwierciadlając epokę potęg rozmiarowych, wszystkie cnoty na sądzie ostatecznym przedstawił w rozmiarach większych a grzech w ludzi małych, liliputowych, wcielał — dla mnie, powtórzę, te Michała Anioła zбочenie niby z drogi przez perspektywę nakazywanej tłomaczy się duchem potęgi epoki artystycznej, i geniusz jego wydaje mi się większy, potężniejszy, w tym wypadku, aniżeli gdyby proporcje jego fresku były konwencyonalnie przepisowe. (P. A.).

skiemu Franciszkowi, swemu przyjacielowi. Są to kopie tychże czterech koni, stojących na moście Newskiego prospektu w Petersburgu, ale nieco mniejsze. Neapol jest dziś doprowadzony do większej czystości — wszakże, kiedyś zapytał neapolitańczyka, dlaczego pozwalają w dniu pogodne suszyć praną bielizną, wywieszając ją na ścianach pałaców ozdobnych? odpowiedziano mi, że dziś to jeszcze czyściej się obchodzą z brudną bielizną, ale dawniej, przed jednością Włoch, dozwolano suszyć ją na sznurach, przewiązanych przez ulicę od okien pałaców przeciwległych, a tak, jechano po najparadniejszych ulicach, przystrojonych, niby w bandery... starych spodni, koszul i innych toalet najprostszej ludności. Przytem nierogacizna i bydlę spacerowały najswobodniej po mieście: taka to niechlujność cechuje południowca. Cholera, lokalizująca się po brudnych i nieczystych miejscowościach, ogromne tu spustoszenia czyniła. Wiadomo dziś, że król Humbert osobiście odwiedzał cierpiących, zaprowadzał dezynfekcyę tych miejsc, i klęskę powstrzymał, czem sobie zyskał to zachowanie u narodu, którem go dziś otaczają.

Ponieważ, jak mówiłem, było mi śpieszno udać się na miejsce, gdzie obiecywano, iż błotna kuracya ma mnie od reumatyzmu wyleczyć, wyniosłem zrana rzeczy moje na port, wyczekując łodzi, któraby mnie i rzeczy moje na statek przewieźć mogła. Ostrzeżono mnie przytem, bym się umówił o cenę z wioślarzem, często bowiem łodzie tu zabierają podróżnych, i odjechawszy od brzegu podwójnej lub potrójnej ceny od nich wymagają; targ we Włoszech jest koniecznym: Włosi przeważnie żyją z zarobków od podróżujących, a jeśli natrafią na Rosyanina, który da się złowić na chęć uchodzenia za księcia bogatego, to go należycie oporzędzą; na targującego się spoglądają z pewną ostrożnością, a nawet i powagą. Wsiadłem na statek, który w pół godziny dowiózł mnie do brzegów wyspy Ischii, gdzie wsadzono mnie na osła, a po wązkich, i krętych uliczkach doprowadzono mnie do willi na górze, wśród winogradów położonej.

Willi, naprędce na hotelik przerobiona, o kilkunastu numerach, z jadalnym pokojem dość szczupłym, należy do Zavatta, Włocha dość już podeszłego wieku, który będąc najpierw kuryerem w podróżach lorda Talbota, a później marszałkiem

dworu u tegoż magnata angielskiego, nzbierał sobie sporo grosza i tę własność niedawno na Ischii nabył. Jako dowód wiernej służby przy swoim panu dostał od tegoż w prezencie serwis srebrny na kawę, z pamiątkowym napisem; w nim to podawał czasami wybranym gościom kawę zrana, przyczem opowiadał o dawnym swoim pryncypale z prawdziwą czułością.

Nazajutrz po przybyciu powołałem do siebie miejscowego doktora, przez którego prosiłem, by mi dawano pokarm zdrowy, unikając sosów tłustych i przypraw mlecznych, od pięciu bowiem lat miałem katar żołądka, i żadną miarą pozbyć się go nie mogłem. Doktor wiejski, z bardzo szczupłą praktyką, z wychowaniem medycznym bardzo niedostatecznym, jak wielu doktorów włoskich, zalecił mi, bym przy obiedzie pił wodę ze źródła Curigitello, z domieszką wina czerwonego; a kiedyś wypowiedział mu moje zwątpienie, by i ten środek mi dopomógł, opierając się zawsze, by przedewszystkiem zalecił mojemu gospodarzowi restauracyi, by mnie karmiono potrawami, wyłącznie dla mnie przyprawianemi, z oburzeniem wstając odpowiedział: *Lei prendera aqua Curigitello e tutti passera!* Jakież było moje zdziwienie, kiedy nie dalej jak po trzech dobach katar żołądka począł ustawać; i ja po bezskutecznej kuracyi pięcioletniej w Kijowie, Wiedniu, Nicei, w przeciągu paru tygodni pobytu na Ischii, popijając przy obiedzie wodę Curigitello, jak gdyby zwykłą źródlaną wodę, doznałem tak wielkiej ulgi, iż siadałem do stołu — *table d'hôte*, z innymi gości, i potrawy rybne, mięsne, mleczne, nabiałowe i wszelkie jarzyny służyły mi za pokarm tak dobrze, jak najzdrowszym osobom.

Nie wiele tu, bo zaledwie kilku przejezdnych osiada na Ischii na letnie mieszkanie; powietrze mniej skwarne, niżli w Neapolu, stacya kuracyjna błotem i wodą źródlaną (s) zaniedbana; ale natomiast codzien przyjeżdżają statkiem z Neapolu turyści: Anglicy, Amerykanie, Francuzi i inni, którzy zwiedzają wyspę, zasiadają przy *table d'hôte*, a pod wieczór wyjeżdżają na dalsze wycieczki okoliczne.

Tu odebrałem 23 kwietnia, w dniu moich urodzin, telegram z powinszowaniami od Brata i Rodziny, których wyjazd mój w tak dalekie strony bardzo niepokoił. Po sześciotygodniowej błotnej kuracyi reumatyzm ręki począł ustępować; należało

więc powracać do Wiednia, skąd doktorowie wysłali mnie do kąpeli do Hall, w pobliżu Linzu położonej. Również zacyt. p. Preuss, o którym dawniej wspomniałem, dał mi lokaja i młodego doktora, z którym to i później po Europie podróżowałem.

Hall, skromna niemiecka miejscina, ożywia się nieco latem, z powodu parotysięcznej liczby kuracuszów: trochę Węgrów, najwięcej Rumunów, znaczna liczba wiedeńczyków, stanowią główny kontyngent termalnej stacji. Kąpiele moje trwały do września, i należało myśleć o powrocie do kraju, dokąd wzywały mnie przede wszystkim interesa jaropowieckie, zakończone sprzedażą majątku z fabryką — pewnej kompanii, za bezcen, z powodu, iż zdrowie moje nie pozwalało mi myśleć o powrocie do majątku, a na dalszą kurację wymagano środków, którym mogła posługiwać nieznaczna sumka, jaka mi z tej sprzedaży przypadła.

W później jesieni wybrałem się w podróż do kraju przez Wiedeń, i statkiem parowym Dunajem do Odessy. Podróż Dunajem, zwana *un train de plaisir et de vitesse*, grzeszy i jedną i drugą niedokładnością; często osiadaliśmy na mieliznach, upadkiem wód jesiennych powodowanych; w Mołdawii przesiadaliśmy na wózki pocztowe, którymi nas przewożono do miejsc, skąd już statki dalej chodzić mogły. W początku zatrzymaliśmy się na nocleg w Peszcie, a korzystając z czasowego przystanku, wsiedliśmy do fiakra i kazaliśmy się zawieźć do kawiarni, gdzie przypatrywaliśmy się tańcom czardasza, porywającą muzyką cyganów tak wszystkich elektryzującego, iż w zapale dziatwa skakała, a nawet widziałem sam wiekowe osoby, jak siedząc na krzesłach w takt podrygiwały...

* * *

Na tem urywa się rękopis pamiętników. Autor nie zdążył doprowadzić do końca historyi swego życia ani też opracować i uzupełnić tego, co spisał. Doprowadził ją jednak do chwili, kiedy już zmuszony był wycofać się z szerszego życia społecznego i poświęcić się głównie sprawom majątkowym i rodzinnym.

W roku 1872, w krótkim przeciągu czasu, następują jedna po drugiej śmierć szwagra Świętosława Metelickiego i brata Konrada, co go też powołuje z powrotem do kraju i zmusza do

zajęcia się losem matki i siostry oraz administracją majątku rodzinnego, pozostawionego przez Brata w opłakanym stanie. I pomimo całego przywiązania, które czuł do ziemi, do zagonu ojczystego, chciał się go pozbyć, tracąc nadzieję utrzymania się przy nim, tak był obciążony długami, których cyfra znacznie przewyższała wartość majątku.

Znanym mi jest doskonale ówczesny stan interesów majątkowych mego Ojca i nieraz w podziw mię wprawiał ogrom pracy i energia, którą musiał w nią włożyć, aby majątek z długów oczyścić i doprowadzić do stanu, w jakim się znajduje obecnie. Nie przeszło to jednak bez śladu na jego zdrowiu, gdyż w tym właśnie czasie popadł w ostrą i długotrwałą neurastenię, która na pewien czas odebrała mu zupełnie możliwość pracy. W 1880 r. umiera matka Zygmunta Kotiużyńskiego i od tej chwili pozostaje w Ositniacze sam, prowadząc nadal gospodarstwo. W r. 1886 żeni się, potem wkrótce wypuszcza majątek w dzierżawę, gdyż będąc zmuszonym do częstych wyjazdów za granicę dla kuracyi nie jest w stanie dawać baczenia na bieg spraw majątku, spraw nieraz drobnostkowych, lecz żmudnych i uciążliwych. W styczniu (24) 1894 r. umiera, wskutek powtórnego zapalenia płuc.

Wśród obywateli naszych jest wielu takich, którzy po kilku latach zajęcia się gospodarstwem wiejskiem przestają kompletnie istnieć dla świata, a świat dla nich. Zamykają się szczelnie w kółku małych, drobnostkowych spraw, które w krótkim czasie tak opanowują ich umysł i myśli, że po za swoim folwarkiem nie istnieje dla nich już nic, żadna sprawa społeczna lub ogólnoludzka.

Zygmunt Kotiużyński nie należał do takich ludzi. Jego umysł ruchliwy znajdował wszędzie kwestye potrzebujące wyjaśnienia: w każdej sprawie miał swoje zdanie, nieraz pożądanę i cenionę przez innych.

W ostatnich latach swego życia, z powodu podeszłego wieku, słabego zdrowia, jak również ówczesnych warunków, które nie pozwalały obywatelom na żadną akcyę społeczną, poświęca się dwom sprawom, tyjącym się przemysłu rolnego w naszym kraju.

W pierwszej występuje jako przyrodnik i pracuje nad wytworzeniem odmiany pszenicy, mając na celu najdokładniejsze zastosowanie jej do warunków miejscowej gleby i klimatu, jako też i wymagań nabywców.

Pisuje w tej kwestyi artykuły do niektórych pism rolniczych rosyjskich, wysyła próbki swego ziarna na rynki zbożowe zagranicę, gdzie spotykają się z uznaniem i pochwałą.

Prowadzi ożywioną korespondencyę z młynarzami *en gros*, francuzkami i angielskimi, i tu wyłania się znowu kwestya ekonomiczna: kwestya zbytu produktów naszego rolnictwa.

W r. 1886 wydaje w Kijowie broszurę p. t.: *Droga do ogólnego wyjścia z kryzysu agrarnego*, w której zwraca uwagę współobywateli na chwiejność cen zboża, a co za tem idzie na chwiejność sytuacji każdego rolnika. Środki zaradcze, zdaniem jego, polegają na współdziałaniu, a głównie staraniach o zawiązanie bliższych i trwałych stosunków handlowych z nabywcami naszego zboża z ostatniej ręki: z młynarzami i przedstawicielami rynków zbożowych zagranicznych, pomijając pośredników kupców miejscowych, od których rolnik nasz staje się całkowicie zależnym przy sprzedaży zboża w małych ilościach.

To są dwie większe prace podjęte przez Zygmunta Kotiuzińskiego w ostatnich latach jego życia. Pozatem książki, które sobie dobierał do lektury, oraz liczne i różnorodne notatki wskazują, że zajmowało go wszystko, że żaden przejaw życia naszego społeczeństwa nie był mu ani obojętnym ani obcym.

Ositniaczka, w lipcu 1909.

A. K.

DODATKI.

Projekt Towarzystwa Gospodarczego na Ukrainie.

Wiek XIX dostawszy w puściźnie doświadczenie czasów, przejął się tą prawdą, że w robotach ludzkich, tylko zbiorowemi siłami można przedsiębrać wszystko, z pewnością otrzymania założonego celu; a przyjąwszy to raz za podstawę w pracach i robotach swoich, z taką szybkością posunął się po drodze rozwoju i podniesienia materialnego bytu. Niema już prawie zakątka ziemi w starej Europie, gdzieby rozliczne przedsięwzięcia, poparte usiłowaniami stowarzyszeń nie wydały błogich owoców. W Polsce, najbliższej sąsiadce cywilizowanych ludów, duch spółki zaczął przenikać warstwy społeczne i tam już od trzech dziesiątków lat przejawiać się poczęły różnych kształtów i rozmiarów stowarzyszenia, zapewniające krajowi podniesienie rolnictwa, przemysłu i hadlu. W ostatnich czasach zawiązało się Towarzystwo rolnicze, na czele którego stanął znany w kraju mąż postępowy hr. Andrzej Zamojski, a dwa tysiące członków, składających dziś Towarzystwo rolników w Polsce, za pomysłny skutek ich usiłowań dostatecznie ręczy. Wobec takiego ruchu nie godzi się bez ściągnięcia na siebie odpowiedzialności przed sobą i potomnością, zostawać bezczynnym.

Ustawa Towarzystwa Rolniczego Zachodnich Gubernij.

Zastarzałe przesady, oderwane, pa-
jęcej natury życia i trudy nasze,
powinny ustąpić miejsca myślącej
i stowarzyszonej pracy, bo taka tylko
zdolną jest wydobyć nas z zastoju
duchowego i otworzyć drogę do bo-
gactw zawartych w poczciwej ziemi
naszej. Niedawno jeszcze ziemie nasze
były spichlerzem europejskim, dziś
zaledwo wiedzą o uich; bo praca
zachodnich ludów powiązana w sto-
warzyszenia, radzi sobie na niedo-
statek jaki uczuwała przed tem; my
zaś pozostali na tym samym sopniu
na jakim byli ojcowie nasi. Brak lu-
dzi specjalnych: agronomów, mecha-
ników, ogrodników, weterynarzy, brak
rzemieślników umiejętnych, a prze-
dewszystkiem brak kapitałów, na
których by można było oprzeć roboty
większe lub wprowadzenia nowe do
gospodarki — trzyma nas zdala od
tego stanu, do jakiego przez żyzność
ziemi, jej położenie geograficzne i
sprzyjający klimat, mamy niezaprze-
czone prawo. Jeżeli gdzie i przejawia
się między nami dążność wyjątkowa,
oddzielna, to usiłowanie odosobnione
rozbić się musi o tysiące przeszkód,
którym nie podoła jednostka: same
nawet wysiłki często szkodę i ruinę
przynoszą, a nie opatrzone z wła-
ściwego punktu, nie osądzone grun-
townie, stawiają się zwykle za dowód
że powinniśmy pozostać na dzisiej-
szem stanowisku. Zbyt produktów
kraju, nie mając myśli opiekuńczej,
staje się niesłychanie trudnym i pa-
nosząc tylko przekupniów nie przy-
nosząc połowy tych korzyści, jakie
z natury rzeczy do producentów na-
leżeć powinny. Te to dotykalne przy-
czyny, te żywe potrzeby są pobudką,
że niżej podpisani właściciele ziem-
scy postanowili stowarzyszyć się, aby
pod troskliwą opieką Rządu, wspólną
pracą rodzinną uprawiać zagon i zbio-

rową siłą gromadzić środki ku podniesieniu rolnictwa, przemysłu i handlu. Najbliższy wzór takiego stowarzyszenia przedstawia wspomniane wyżej Towarzystwo rolnicze w Polsce; lecz ustawa tego Towarzystwa przyłożona do naszych potrzeb i warunków okazała się za ciasną. Wielkie przestrzenie kraju, ścisłe powiązanie na kilku punktach rolnictwa z przemysłem fabrycznym, niedostatek zupełny komunikacji, zastój handlowy i zależność jego wyłączna od żywności, — wymagają stowarzyszenia o szerszych ramach, w któreby dała się włożyć cała okolica z jej różnorodnymi interesami. Jak z jednej strony nieujście, której bądź części składającej byt nasz gospodarski, przyczyniłoby się niewątpliwie do upadku pozostałych; tak z drugiej rozrzucenie się zbyt wiele i nagle byłoby bez użyteczności. Towarzystwo tak postępować nie powinno i nie może. W robotach jego będzie ścisłe następstwo i rachunek — a ujmując jedną po drugiej części składające nasz byt gospodarski, urządzi je i stopniowo zaokrągli, aż spoi w jedno ogniwo wszystkie interesy ekonomiczne kraju i nad jego rozwojem pracować i czuwać będzie. Niżej podpisani przeto zawierają Towarzystwo gospodarzy na Ukrainie, na następujących zasadach.

Cel Towarzystwa.

1. Ziemia nasza, jej uprawa, podniesienie siły produkcyjnej i wszelkie przedmioty dotyczące gospodarstwa wiejskiego są pierwszym i głównym celem Towarzystwa; (na czem zespolenie pojedynczych usiłowań i wprowadzanie takowych na drogę racjonalną, naukową będzie nieustannym dążeniem Towarzystwa).

ROZDZIAŁ I.

Cel i środki do jego dopięcia.

§ 1. Celem Towarzystwa jest podniesienie i rozwój przemysłu rolniczego w kraju, przez połączenie wszelkich pojedynczych usiłowań, dla nadania takowym większej siły i skuteczności — wszelkie zatem przedmioty dotyczące gospodarstwa wiejskiego w rozmaitych jego gałęziach, mogące posłużyć do rozwi-

2. Przemysł krajowy rękodzielny i fabryczny jako środek podnoszący wartość produktów surowych, jest następującym celem Towarzystwa.

3. Przemysł handlowy, jako środek zbytu produktów i wyrobów krajowych, jego rozwiązanie i ułatwienie będzie ostatnim celem Towarzystwa.

4. Towarzystwo więc dla osiągnięcia takich celów będzie obowiązane: a) poznać dokładnie stan kraju i wszystkie gałęzie jego przemysłu: rolniczego, fabrycznego i handlowego, oraz warunki w jakich się one znajdują; b) zająć się wykształceniem ludzi fachowych we wszystkich gałęziach przemysłu; c) śledzić za rozwojem rolnictwa i fabryk za granicą i zebrane wiadomości drukiem ogłaszać; d) nabyć stosowną ilość gruntów i zaprowadzić tam wzorową gospodarkę rolną; e) wydjąć u Rządu pozwolenie na założenie instytucji wystawy płodów rolnych, zwierząt i wyrobów — i takowe urządzić we właściwych miejscach i czasie; f) ułatwiać członkom sprowadzanie i nabywanie pożytecznych narzędzi, maszyn, płodów rolniczych i zwierząt gospodarskich; g) na wypadek klęsk gradobicia, pożarów, pomoru bydła i t. p., przychodzić w pomoc członkom Towarzystwa na obmyślanych warunkach; h) wydawać periodyczne pismo jako stały swój organ pod tytułem: Sprawy Towarzystwa gospodarzy na Ukrainie.

W dalszym zaś rozwoju swoim, Towarzystwo będzie przedsiębrać środki najstosowniejsze dla osiągnięcia celu wskazanego w §§ 1, 2 i 3.

nienia produkcji i ułatwienia jej zbytu, stanowić będą wyłączne zajęcie Towarzystwa.

§ 2. Jako środki, zapomocą których, ma się dojść do powyższego celu, Towarzystwo sobie zamierza: a) starać się o dokładne poznanie kraju, pod względem stanu jego rolnictwa, potrzeb i stosunków ekonomicznych, bogactw jego przyrody i okoliczności sprzyjających do rozwinięcia przemysłu rolnego — zdać sprawę ze stanu obecnego, a następnie zbierane w tych przedmiotach wiadomości ogłaszać;

b) pracować nad stopniowym udoskonaleniem rolnictwa ułatwiając obeznanie się z poprawnymi maszynami i narzędziami, podając środki do łatwiejszego ich nabycia, rozpowszechniając znajomość ich użycia i zastosowania, pośrednicząc do sprowadzenia i rozmnożenia nasion roślin zbożowych, pastewnych i okopowych produkcji krajowej właściwych.

c) wpłynąć na podniesienie chowu bydła i zwierząt domowych, podając środki ułatwiające poprawę ras, a przez solidarność zbiorową zabezpieczyć właścicieli od klęsk doznawanych przez zarazę niszczącą siłę i bogactwo rolnictwa;

d) wynajdywać sposoby skierowania kapitałów dla pomocy rolnictwa, a korzystając z objawionej przez rząd myśli urzędzenia miejscowych Banków kredytu ziemskiego, pośredniczyć w rozwinięciu tej myśli i zastosowanie jej do gubernij zachodnich a to w celu podźwignienia rolnictwa w chwili nadchodzących zmian w jego stosunkach ekonomicznych;

e) śledzić za postępem rolnictwa za granicą, a rzeczy użyteczne i zgodne z naturą kraju przyswajać i upowszechniać;

f) z pomiędzy członków składających Towarzystwo, takich, którzy się już dziś odznaczają gospodarstwem postępowym, zobowiązać do kształcenia młodzieży wszelkiego stanu, w rozmaitych gałęziach przemysłu rolniczego i wiejskiego gospodarstwa, a to celem usposobienia dla kraju ludzi wprawnych do usług folwarcznych, jako też przygotowania młodzieży w praktyce do dalszego kształcenia się przy folwarkach wzorowych, do specjalnych zajęć gospodarczych;

g) zapomocą pierwszych środków jakie w rozporządzeniu swoim Towarzystwo posiada, przystąpi niezwłocznie do urządzenia folwarku wzorowego (ferme modèle) w którym rozwinię system poprawnego gospodarstwa, chowu inwentarzy żywych i zastosowanie narzędzi ulepszonych, a obok tego ludzi młodych, usposobionych na praktykach prywatnych, kształcić dalej będzie w rozmaitych gałęziach gospodarstwa rolniczego dając im, obok praktycznego zajęcia, poznać zasady teorii. Towarzystwo w miarę pomnażających się jego dochodów, nie zaniecha pomnażać liczbę takich folwarków wzorowych, a kształcąca się przy nich młodzież na specjalnych zawiadowców, ze swej ręki i pod swoją opieką rozmieszczając w kraju, da silny popęd do postępu rolniczego;

h) urządzić ścisłą kontrolę nad ofycyalistami, trudniącymi się usługą w gospodarstwach członków Towarzystwa; dawać zachęty i nagrody odznaczającym się pilnością, moralnością i postępowaniem w wiadomościach rolniczych, a wykorzeniać demoralizację i zaniedbanie w obowiązkach, słowem wpłynąć silnie na utworzenie dobrych sług w gospodarstwie i przemyśle, a takich wspierać opieką T-wa;

ż) przy warstatach i zakładach rzemieślniczych umieszczać praktykantów zaopatrzonych wedle potrzeby pomocą Towarzystwa, celem wykształcenia rzemieślników do użytku rolnictwa;

k) zwrócić uwagę właścicieli ziemskich, na konieczność urzędzenia lasów, podać środki do zaprowadzenia gospodarstwa leśnego i pomagać do usposobienia technicznie ludzi zdolnych w tej gałęzi;

l) założyć bibliotekę, muzeum modelów, narzędzi i machin rolniczych, oraz inne zbiory w stosunku z rolnictwem będące;

m) wydawać pismo peryodyczne niżej w rozdziale VI, szczegółowie opisane, w miarę swej możności, niemniej starać się będzie o wydawanie własnym kosztem dzieł rolniczej i przemysłowej treści, przyznanych za użyteczne;

n) w miejscach i terminach za najstosowniejsze uznanych, urządzać wystawy roślin, zwierząt domowych, narzędzi rolniczych, i wszelkich płodów gospodarstwa wiejskiego;

o) podawać temata do rozpraw konkursowych, w przedmiotach do gospodarstwa i przemysłu odnoszących się;

p) udzielać według swego uznania listy pochwalne, przeznaczać pieniężne premia i medale, nie tylko za rozprawy, pożyteczne wynalazki i ich w kraju zastosowanie ale także w nagrodę osobom, które się przyczyniły do rozwiązania gospodarskich zadań lub odznaczającym się w zawodzie gospodarstwa wiejskiego, wstawiać się do rządu o zachęcenie osób najwięcej odznaczających się udzieleniem im nagród honorowych.

§ 3. Na koniec, dla dojścia do zamierzonego w § 1 celu, Towarzystwo ma używać, w miarę funduszków po-

siadanych, wszelkich środków, zgodnych z prawami krajowemi.

Skład Towarzystwa, obowiązki i prawa członków.

5. Towarzystwo składać się będzie z członków czynnych i honorowych.

6. Wszyscy właściciele ziemscy bez różnicy wyznania mogą być czynnymi członkami Towarzystwa nie ograniczając się ilością posiadanej ziemi.

7. W wyborze członków czynnych, mając jedynie wzgląd na pożytek instytucji, przyjmować się będzie takie tylko osoby, które z korzyścią dla przemysłu krajowego udział mieć mogą. Każdy więc członek tylko większością głosów wybrany być może.

8. Liczba czynnych członków Towarzystwa jest nieograniczoną.

9. Członkowie czynni obowiązani będą: a) brać udział w zajęciach do jakich ich Towarzystwo powoła; b) zachęcać i przykładem własnym pobudzać do postępów rolniczych w kraju; c) udzielać wiadomości o skutkach doświadczeń przez Towarzystwo im poruczonych; d) udzielać zarządowi Towarzystwa na jego wezwanie żądanych wiadomości i opinij; e) opłacać do kasy Towarzystwa przy zapisaniu się na członka jednorazowo po 3 k. od dziesięciny posiadanej ilości ziemi i następnie każdorocznie po 2 kopiejki od dziesięciny.

10. Członkowie czynni mają prawo: a) brać udział w ogólnych zebraniach Towarzystwa, na nich zdania swoje objawiać, wnioski czynić, rachunki przez zarząd Towarzystwa składane rostrząsać i nad przedmiotami do zakresu działań Towarzy-

ROZDZIAŁ II.

Skład Towarzystwa.

§ 4. Towarzystwo składa się z członków czynnych, konorowych i korespondentów.

§ 5. Członkiem czynnym być może bez względu na stan i wyznanie każdy stały mieszkaniec byleby przedstawił warunki użyteczności dla Towarzystwa i był przez 2 członków już wpisanych na ogólnem zgromadzeniu, na członka podany, i większością głosów przyjętym.

§ 6. Na członków honorowych Komitet zaprasza w pełnym komplecie złożonym z prezesa i 18 członków większością $\frac{3}{4}$ głosów krajowców lub cudzoziemców, mogących spółdziać w pracach przynieść prawdziwy pożytek dla Towarzystwa.

Członkami honorowymi z urzędu są: miejscowy generał-gubernator i naczelnicy gubernij zarządowi jego powierzonych.

§ 7. Korespondentów Komitet mianuje z pomiędzy członków czynnych lub też za obrębem Towarzystwa tak krajowców jak i cudzoziemców. Wybór cudzoziemców musi być przedstawiony na utwierdzenie władzy.

§ 8. Liczba członków Towarzystwa jest nieograniczona.

§ 9. Każdy z członków czynnych Towarzystwa winien podpisać niniejszą ustawę, w dowód przyjęcia na siebie obowiązku stosowania się ściśle do jej przepisów.

ROZDZIAŁ III.

Obowiązki i prawa członków.

§ 10. Członkowie czynni obowiązani są:

stwa należącymi, głosować; b) wybierać większością głosów prezesa, wice-prezesa, członków zarządu i członków Towarzystwa; c) zasiągać pomocy i rady zarządu w przedmiotach rolnictwa i przemysłu.

11. Członkowie czynni zalegający w rocznej opłacie składki, utracają prawo artykułem poprzednim opisane; skoro zaś po trzykrotnem wezwaniu zarządu Towarzystwa z uiszczeniem płaty nie pospieszili, za występujących z Towarzystwa uznani zostaną.

12. Członkami honorowemi mogą być osoby wszelkiego stanu, znakomici nauką, wynalazkami lub ważną czynnością w przedmiocie gospodarki i przemysłu fabrycznego. Takie osoby Towarzystwo zapraszać będzie do swego koła, zostawiając im dobrą wolę przyłożenia się do prac Towarzystwa.

a) brać czynny udział w pracach i zajęciach do jakich powoła ich Towarzystwo;

b) zachęcać szczególnie w okolicy przez siebie zamieszkałej własnym przykładem do postępu i ulepszeń w rolnictwie;

c) udzielać wiadomości o skutkach prób własnych, a na wezwanie Komitetu, dostarczać żądanych objaśnień i opinij w przedmiotach obchodzących rolnictwo krajowe;

d) w miarę możliwości, zasilac Towarzystwo obszerniejszemi pracami literackimi, które wedle uznania swego Komitet drukiem ogłaszać, lub na publicznych posiedzeniach przedstawiać będzie;

e) opłacać corocznie do kasy Towarzystwa składkę wpisową w kwocie 25 Rb.

§ 11. Prawa członków czynnych są:

a) Czynie brać udział w zgromadzeniach ogólnych i zebraniach szczegółowych Towarzystwa, uczestniczyć w obradach, robiąc wnioski i popierając je w dyskusyi;

b) zabierać głos w porządku wpisu, w celu roztrząsania zrobionych wniosków;

c) roztrząsać i zatwierdzać rachunki, równie jak budżeta przez Komitet przedstawiane i głosować na przedmioty do zakresu działań ogólnego zgromadzenia wprowadzone;

d) wybierać większością głosów prezesa, skład Komitetu, członków czynnych Towarzystwa i na tych przedstawiać kandydatów;

e) mieć wstęp do biblioteki i innych zbiorów Towarzystwa, równie jak do gospodarstw i zakładów przez Towarzystwo urządzonych; nakoniec odbierać bezpłatnie roczniki rolnicze, a ogłoszenia wychodzące z Redakcyi Komitetu za opłatą prenumerować.

§ 12. Udział członków honorowych i korespondentów w pracach Towarzystwa zostawiony jest dobrej ich woli; korzystają oni z praw na mocy § 11 członkom czynnym służących pod lit. b i c oznaczonych.

§ 13. Członkowie nie wnoszący opłaty wpisowej, jeśli po trzykrotnym wezwaniu przez Komitet jej nie uiszczą, uważani będą za występujących z Towarzystwa.

§ 14. Każdy z członków ma prawo wystąpić z Towarzystwa, w każdym czasie skoro poda o tem na piśmie żądanie, lecz nie może wymagać zwrotu rocznej opłaty od wpisu należnej. Członkowie zaś Komitetu nie mogą występować z Towarzystwa w innej porze jak w epoce ogólnego zgromadzenia.

ROZDZIAŁ IV.

O Zarządzie Towarzystwa.

13. Zarząd Towarzystwa należec będzie do Komitetu z grona członków wybranego na zebraniu ogólnym.

14. Komitet jest reprezentantem i pełnomocnikiem Towarzystwa.

15. Komitet składa się z prezesa, wice-prezesa, sześciu członków, i sekretarza.

16. Prezes, wice-prezes, członkowie i sekretarz wybierani są przez ogólne zebranie, prostą większością głosów: prezes i sekretarz na lat cztery, członkowie na lat dwa.

17. Zważając na znaczną przestrzeń kraju, Towarzystwo podzieli się na działy, czyli okręgi.

18. Dla utrzymania niustannych stosunków członków Towarzystwa z Komitetem, ustanowieni będą członkowie działowi, którzy większością głosów wybrani, pozostaną w swoich okręgach.

Zarząd Towarzystwa.

§ 15. Bezpośredni zarząd Towarzystwa należy do Komitetu, z grona członków czynnych, na ogólnym zgromadzeniu wybranego.

§ 16. Komitet jest reprezentantem i pełnomocnikiem Towarzystwa, zatem w jego imieniu działa i wszelkie interesa sprawuje, stosownie do przepisów niniejszej ustawy i uchwał ogólnego zgromadzenia.

Tenże wrazie potrzeby, wszelkie prośby i podania do władz miejscowych zanosi.

§ 17. Komitet składa się z prezesa, wice-prezesa i 18 członków zasiadających kolejno, tak aby komplet prawomocny był zawsze przedstawiany przez najmniej 5 głosów włącznie z prezesem.

§ 18. Stała rezydencya Komitetu ma być w Kijowie — czynność jego niustanna — posiedzenia zaś odby-

19. Członek działowy obowiązany będzie najszczegółowsze sprawozdania dotyczące się przemysłu w jego dziale przesłać do Komitetu; równie też potrzeby członków swego działu przedstawiać.

20. Członkowie działowi przybywszy do miejsca gdzie Komitet rezyduje będzie, na czas ich tam pobytu zasiadać będą w Komitecie i w czynnościach równy udział członkom Komitetu mieć będą.

wać się będą, w miarę uznanej potrzeby.

§ 19. Prezes jest obieralny na ogólnem zgromadzeniu, z pomiędzy członków czynnych Towarzystwa, prostą większością głosów, na lat trzy, po upływie których może być na nowo wybrany.

§ 20. Prezes przewodniczący na posiedzeniach Komitetu, równie jak i na ogólnych zgromadzeniach, które otwiera w epokach przepisanych w niniejszej ustawie.

Na nim spoczywa obowiązek kierowania biegiem obrad, w skutek czego jest odpowiedzialnym za zachowanie w nich prawności i jest mocen zamknąć je w razie jeśliby wychodziły z granic rzeczywistego celu Towarzystwa. Prezes czuwa nad należytym porządkiem w głosowaniu, strzeże akuratacji w prowadzeniu protokołu obrad ogólnego zgromadzenia i takowe podpisuje wraz z członkami Komitetu i sekretarzem. Na posiedzeniach Komitetu prezes rozdziela zatrudnienia pomiędzy członków, podpisuje protokół czynności łącznie z dwoma członkami, a wszelkie papiery i korespondencye, wychodzące z Komitetu, wraz z sekretarzem.

§ 21. Prezesowi służy prawo żądania uwolnienia na każdym ogólnem zgromadzeniu od obowiązku, w tym razie Towarzystwo przystępuje do wyboru nowego prezesa, a tymczasowo miejsce jego wiceprezes zastępuje.

§ 22. Jako członek Komitetu podzielający nieustannie pracę na równi z innymi jego członkami, wiceprezes przez Komitet z pomiędzy własnych jego członków na lat dwa będzie wybierany; w nieobecności prezesa, miejsce jego zajmuje.

§ 23. Na wypadek nieobecności

wice-prezesa zastępuje go jeden z członków Komitetu, podług starszeństwa liczby głosów z wyboru.

§ 24. Członków Komitetu wybiera ogólne zgromadzenie; z tych połowa najwięcej głosów mających wybraną jest na lat cztery, druga połowa na lat dwa, następnie po dwóch latach odbędą się wybory na zastąpienie 9 wybyłych członków na lat 4, z zastrzeżeniem iż wychodzący członkowie mogą być na nowo wybrani:

§ 25. Główne obowiązki Komitetu:

a) w miarę możliwości, oraz stanu funduszków Towarzystwa, wprowadzać w wykonanie wszelkie środki działania w § 2 tej ustawy objęte;

b) ściągać składki wpisowe i dobrowolne ofiary przyjmować a następnie administrować mieniem Towarzystwa, wedle budżetu uchwalonego i w duchu postanowień ogólnego zgromadzenia;

c) składać na ogólnym zgromadzeniu: 1) roczne sprawozdanie ze swych czynności, 2) wykaz obrotu funduszków i stanu mienia Towarzystwa, 3) projekt budżetu na rok następny;

d) przygotować przedmioty do obrad na ogólne zgromadzenie i przejrzeć wnioski podane przez członków czynnych Towarzystwa;

e) kierować redakcją pism periodycznych przez Towarzystwo wydawanych i drukiem dzieł za użyteczne przyznanych;

f) zapraszać członków honorowych, mianować członków korespondentów a także sekretarza, kasyera i skład kancelaryi.

§ 26. W zatrudnieniach swoich Komitet dzieli się na wydziały, szczegółowem jego zajęciom odpowiadające, nad wszelkimi przedmiotami łącznie się naradza, a większością głosów postanawia; równość głosów prezydujący rozstrzyga.

§ 27. Na wypadek śmierci, słabości lub przedłużonej nieobecności którego z jego członków, Komitet powoła na zastępcę jednego z członków czynnych Towarzystwa; a nawet w razie uznanej przez siebie potrzeby, jest mocen Komitet jednego lub kilku członków czynnych z głosem doradczym na swe posiedzenie zaprosić.

§ 28. Komitet jest upoważniony, w skutek uznanej przezeń korzyści Towarzystwa, przekroczyć cyfrę którejkolwiek kategorii rozchodów budżetu, a nawet wyjść za obręb kategorii w nim przewidzianych do wysokości 1000 Rb. za zgodą $\frac{3}{5}$ głosów obowiązane kompletu, a na 3000 Rb. w skutek jednogłośnej uchwały.

§ 29. Komitet deleguje z pomiędzy siebie trzech członków, dla przewodniczenia na każdym szczegółowym zebraniu. Czyni zaś to bez przerwania regularnych swych zasiadań w komplecie przez § 17 przewidzianych.

ROZDZIAŁ V.

O ogólnych zgromadzeniach i zebraniach szczegółowych.

§ 30. Towarzystwo zbiera się na ogólne zgromadzenie corocznie dnia 5 lutego w Kijowie, na którym do ważności obrad potrzebną jest obecność najmniej 25 członków czynnych, oprócz kompletu obowiązkowo składającego Komitet, czyli 30 członków włącznie z Komitetem.

§ 31. Przedmiotem czynności i uchwał ogólnego zgromadzenia będzie:

a) wybór prezesa, wice-prezesa, członków Komitetu, oraz członków czynnych Towarzystwa;

b) wysłuchanie i rozbiór coroczny sprawozdań Komitetu;

c) sprawdzenie i zatwierdzenie rachunków zdanych przez Komitet, równie upoważnienie do wydatków przez tenże na rok następny zaprojektowanych w przedstawionym budżecie;

d) roztrząsanie przedmiotów i wniosków dotyczących wszelkich interesów rolnictwa i przemysłu krajowego a przedstawionych przez Komitet lub przez członków Towarzystwa. Te ostatnie, aby weszły na pole obrad publicznych, muszą być przedstawione uprzednio za podpisem najmniej 5 członków czynnych, do Komitetu i otrzymać jego upoważnienie.

§ 32. Przedmioty i pytania do obrad od Komitetu przedstawić się mające, powinny być na trzy miesiące przed dniem na ogólne zgromadzenie naznaczonym, ogłoszone.

§ 33. Dla ułatwienia, lub przyspieszenia czynności, ogólne zgromadzenie dzieli się na sekcye i mianuje do specjalnych czynności odrębne delegacje, na zasadzie danej przez to zgromadzenie organizacji.

§ 34. Członkowie czynni, na ogólnem zgromadzeniu głosują: na przedmioty obrad — jawnie — przy wyborze zaś prezesa, wice-prezesa, członków Komitetu i na członków czynnych Towarzystwa — na piśmie — sekretnie.

§ 35. Posiedzenia ogólnego zgromadzenia nie mogą trwać dłużej nad dni 10. Protokoły tych posiedzeń odczytane, przez ogólne zgromadzenie przyjęte, a wpisane do właściwej księgi za podpisem prezesa, członków Komitetu i sekretarza zostają w aktach Towarzystwa.

§ 36. W celu ułatwienia wszystkim członkom Towarzystwa brania czynnego udziału w pracach zamierzonych, bez narażenia ich na kosztą i stratę czasu w podróżach odległych,

niemiej aby wpływem Towarzystwa ożywić czynność rolnictwa i przemysłu w rozmaitych miejscach kraju, naznacza się 4 punkta do corocznych zebrań szczegółowych a mianowicie: w Żytomierzu 15 maja, w Humaniu 29 czerwca, w Kamieńcu 10 sierpnia i w Dubnie 10 września.

§ 37. Głównem zadaniem tych zebrań będzie:

a) urządzić konkursy dla probowania narzędzi rolniczych jako to: plugów, żniwiarek, itd. równie jak dla najlepszego ich użycia i zastosowania, i rozdawać nagrody przyznane przez Towarzystwo, stosownie do § 2 lit. p.

b) dawać praktyczne wzory rozmaitych sposobów uprawy roli, względnie do jej składu użytku i miejscowości;

c) w miarę potrzeb miejscowych dawać zachęty do korzystania z bogactw przyrody zastosowania ich do użytku rolnictwa, przemysłu i rękodziel;

d) sprawdzać postęp rolnictwa, już dokonany i wykazywać środki miejscowe do nadania mu silniejszego rozwoju;

e) przekonywać się o korzyściach osiągniętych z kształcenia praktykantów przy gospodarstwach ulepszonych, dawać im zachęty i śledzić ich zdolności;

f) rozpatrywać się w praktycznym i odpowiednim do miejscowości zastosowaniu gospodarstwa leśnego i rozpowszechniać ile możności wprowadzenie ulepszeń w tej gałęzi. Słowem zebranie szczegółowe mając na celu praktyczne rozwijanie prac rolniczych i wspieranie ich pewnym systematycznym kierunkiem, jak najmniej zajmować się mają teoretycznymi rozprawami i dyskusją, a wszelkie wnioski i pytania, przez

członków Towarzystwa, na zebraniu szczegółowym obecnych, robione na piśmie, przysyłać do Komitetu centralnego, w celu przedstawienia takowych na obrady ogólnego zgromadzenia.

§ 38. Do przewodniczenia na zebraniach szczegółowych Komitet deleguje trzech członków, którzy wezwawszy dwóch miejscowych czynnych członków Towarzystwa, a wybrawszy z siebie prezydującego — a korespondenta miejscowego na sekretarza, obrady otworzą stosownie do § 37 i prowadzić je będą.

§ 39. Prezydujący jest odpowiedzialny za prawność, regularność i porządek posiedzeń, które odbywać się winne podług regulaminu przez Komitet przepisanego.

§ 40. Protokół posiedzeń za podpisem prezydującego i sekretarza, delegacja zaraz po zamknięciu zebrania Komitetowi przedstawi. Posiedzenia zebrania szczegółowego trwać nie mogą dłużej nad tydzień.

ROZDZIAŁ VI.

O wydaniach Towarzystwa Rolniczego drukiem ogłaszać się mających.

§ 41. Towarzystwo wydawać będzie:

1. Roczniki rolnicze wychodzące w miarę zebranych materyałów.

Roczniki zawierać w sobie mają:

a) protokoły posiedzeń ogólnego zgromadzenia i Komitetowych, oraz sprawozdania z zebrań szczegółowych;

b) wszelkie rozporządzenia władz krajowych interesujące rolnictwo i przemysł;

c) krótkie artykuły naukowe traktujące o przedmiotach odnoszących się do rolnictwa krajowego.

2. Ogłoszenia rolnicze, przemy-

słowe i rękodzielne, wychodzące dwa razy na tydzień. Pismo to składać się będzie:

a) z korespondencji członków Towarzystwa;

b) z wiadomości rolniczych, przemysłowych i handlowych, czerpanych z pism krajowych i zagranicznych;

c) z ogłoszeń wszelkiego rodzaju obchodzących rolnictwo, przemysł i rękodziela krajowe.

Oba te pisma wychodzić będą w dwóch odciskach, w języku polskim i rosyjskim osobno. Biuro redakcyjne będzie zarazem biurem informacyjnym dla członków Towarzystwa i w takim charakterze wydawać ma ogłoszenia wyżej wspomniane.

§ 42. Redakcją pomienionych w poprzedzającym paragrafie publikacji bezpośrednio kieruje Komitet przez jednego ze swoich członków, wyłącznie do tego zamianowanego, z pomocą sekretarza; Komitet układa etat osób składających kancelaryę Redakcyi i wydatków na ten cel robić się mających i takowe zamieszcza do budżetu przedstawionego na ogólnem zgromadzeniu.

§ 43. Wszelkie zmiany w tej ustawie mogą być robione w skutek uchwały na ogólnem zgromadzeniu, a wchodzi w moc obowiązującą nie pierwszej, jak po zatwierdzeniu przez Rząd.

Artykuł przechodni.

Niżej podpisani, przedstawiający ułożoną przez siebie ustawę do zatwierdzenia Rządu, otrzymawszy przyznanie jej, wezwą na członków czynnych obywateli, którzy objawili chęć przystąpienia do zawiązującego się Towarzystwa Rolniczego, a zabrawszy najmniej sto podpisów na

Niżej podpisani przyjmując te zasady poczerpnięte głównie z ustawy Towarzystwa rolniczego w Polsce, postanawiają: dla ostatecznego naradzenia się i zadecydowania, następnie dla napisania ustawy, która będzie przedstawiona na zatwierdzenie Rządu, zjechać się w Kijowie w styczniu 1860 r.

niniejszą ustawę, zapewniających nie mniej jak 20,000 Rb. ogłoszą dzień pierwszego ogólnego zgromadzenia.

Na tydzień przed dniem oznaczonym zawiążą się niżej podpisani w Komitet, wybierając z pomiędzy siebie prezydującego i następnie zajmą się:

a) wybraniem i urządzeniem miejsca na posiedzenia ogólnego zgromadzenia;

b) przygotowaniem przedmiotów mających być celem pierwszych obrad;

c) przyjęciem i rozpatrzeniem wniosków, i pytań podanych przez członków wpisanych.

W dzień naznaczony Komitet otworzy i zagai posiedzenie, odczyta regulamin, przyprowadzi do wyboru naprzód nowo podanych kandydatów na członków czynnych później do wybrania prezesa, wice-prezesa i członków Komitetu regularnego, wedle brzmienia ustawy.

To dopełniwszy, zdaje nowoułożonemu Komitetowi dalsze przewodniczenie w obradach i tem zamyka swoją czynność.

Oryginał podpisali: *Zenon Hołowiński, Ignacy Fudakowski, M. Grabowski, Leon Modzelewski, Emeryk Mańkowski, Wł. hr. de Broel Plater, Zygmunt Kotużyński, Mieczysław Zadora Paszkowski, Edward Chamiec i Leonard Jankowski.*

TREŚĆ.

Wstęp V.
O rodzinie Kotiużyńskich V. — Zygmunt Kotiużyński IX. — Pamiętniki XV.

I. Dzieciństwo i pierwsza młodość 1
W *Ositniacze*: Rodzina 1. — Pierwsze wspomnienia 1. — Początki nauk 1—2. W *Złotopolu*: Szkoły prowincjonalne 2. — Śmierć ojca 2. — W *Winnicy*: Gimnazyum, uczniowie, towarzystwo 2—3. — Poza szkołą 3—4. — W *Kijowie*: Ostatnie klasy 4. — Pensjonaty rządowe, dyscyplina jej skutki 4. — Różne drogi 4—5.

II. Lata uniwersyteckie 6
W *Kijowie*: Na wolności 6. — Uniwersytet: wojskowe rzady Bibikowa 6—8. — Bawiąca się młodzież 8. — Nauki i pierwsze egzamina 8—9. Stosunki towarzyskie, zabawy podczas kontraktów 9—10. — Znajomość z Lisztem 10—11. — Towarzysze zabaw i pojedynki o honor studencki 11—12. — Życie na szeroka skalę, obiad proszony, karciarstwo 12—14. — Romans 14. — Jeszcze rok po skończeniu kursu, dalsze powodzenia i miłości 14. — *Odessa*: Ks. Woronców, *porto franco*, europejska cywilizacja 14—15. — Modne miasto 15. — Pobyt Liszta: entuzjazm dla jego talentu, owacje, towarzyskość wielkiego muzyka 15—16. — *Wyjazd z Kijowa*: Przygotowywanie się do egzaminów ostatecznych 16—17. — Cholera w mieście i ofiary jej wśród studentów 17. — Przerwane egzamina i powrót do domu 17.

III. Dalsze studia 18
Na *nsi*: Zaprawianie się do gospodarstwa 18. — Pragnienie stopnia naukowego 18. — W *Charkowie*: Uniwersytet, profesorowie, stosunki 18—19. — Egzamina: przyzwolenie na nie, system przygotowania się, świetne wyniki 19—20. — niesprawiedliwi profesorowie 20. — Przyjaciele i słowa otuchy 20—21. — Rywal 21. — Koleżeński czyn 21—22. — Nie-

szlachetne wywzajemnienie się 22. — Propozycja katedry i jej odrzucenie 22. — Druga rozprawa 22—23. — *Dyplom i osiedlenie się na wsi*: Służba rządowa i prawa obywatelskie 23.

IV. Przemysł cukrowniczy 24

Praca na wsi 24. — Rozwój cukrownictwa w kraju 24—25. — Rafinerie i rynki zbytu 25—26. — Potrzeba bezpośredniego zbytu 26—27. — Podróże w tym celu 27. — Z Kijowa przez Kursk, Orzeł, Tułę do Moskwy 27—28. — Dawna stolica: wygląd miasta, ruch na ulicach, śniegi 28. — Pierwsze kroki na giełdzie: rozejrzenie się w stosunkach panujących w cukrownictwie rosyjskiem, różne gatunki mączki, popyt na nie i sposoby przebielania 28—30. — Rynek petersburski a moskiewski 30. — Specjaliści w cukrownictwie 30—31. — Cesarz Mikołaj a przemysł 31. — Do Petersburga 31. — Kolej żelazna 31. — Nowoczesne miasto, mundury, opera 32. Oberpolicmajster i usposobienie stolicy 32. — Jego protekcyje i opera petersburska 32—34. — Powrót do Kijowa 34. — Przewidywanie wojny i jej znaczenie dla przemysłu cukrowniczego; powtórna podróż do Moskwy 34. Wyższe sfery moskiewskie: rywalizacja z Petersburgiem, własna «cywilizacja» i patriotyzm 34—35. — Panslawizm 35. — Stosunek doń rządu 35—36. — Sympatye polaków i rozczarowanie 36. — Nowy kierunek 36—37. — Kupiectwo moskiewskie: jego zacofanie i wady 37. — Artele i ich znaczenie 37—38. — Nienawiść do cywilizacji 38. — Synkowie kupieccy 38—39. — Młodzież kupiecka i muzyka cygańska 39. — Wiadomości wojenne na giełdzie moskiewskiej 39—40. — W Petersburgu: zasięgnięcie informacji i ich prawdziwość 40. — Powodzenie 41.

V. Wojna 42

Kampania krymska: Przyczyna 42. — Pewność Rosyi 42. — Pierwsze niepowodzenie i powołanie rezerw 42—43. — Przemarsz przez Kijów 43. — Niedołęstwo rezerw 43. — *W Moskwie*: Podróże w interesach 44. — Wieść o śmierci cesarza i jej wrażenie 44—45. — Jermołow 45. — *W Petersburgu*: Zmiany w rządzie 46. — Sprawy polskie 46. — *Śmierć cesarza Mikołaja I.*: Złe nowiny wojenne 47. — Choroba i zgon 47. — Pogłoski i przypuszczenia 48. — Zwrot w polityce i negocjacje pokojowe 48.

VI. Nowa era 49

Powien wolności: Pirogow kuratorem 49. — Samorząd studencki i awantury 49—50. — Wybory szlacheckie, obiór na dyrektora Banku 50—51. — Prośba do Cesarza o wykład języka polskiego 52. — Reflexyje 53. — *Wypadek*: Przygotowania do przyjęcia Alexandra II w Kijowie 53. — Zaniechana wyprawa i niemoc 53—55. — *Reforma włościańska*: Za przykładem Litwy 55. — Komitet gubernialny 55—56. — Wybór na deputowanego 56. — Skład komitetu 56. — Włościanie w Rosyi a w Polsce 56—57. Polacy i reforma 57. — Program rządowy, regulamin, komisya redakcyjna, obrady 57—58. — Pierwsze zasadnicze uchwały 58. — Uwłaszczenie 58—59. — Koniec obrad i dalsze losy projektu 59. — Zmiana po 1864 r.: czyny i słowa 59—60.

VII. O własnych siłach 61

Przedsiębiorstwo: Dział majątkowy i dobra nabyte 61. — Cukrownia 61—63. — Kłeska 63. — *Cesarz w Białej Cerkwi*: Przyjęcie, prezentacje 63—64. — Polowanie 64—65. — Refleksye Autora 65. — Bal u Branickich 65—66. — *Kontrakty 1861 r.*: Widmo kryzysu finansowego 66.

VIII. Ruch 67

Towarzystwo Rolnicze: List Fisza 67—70. — Pierwsze kroki 70—71. — Praktyczność 71—72. — Gospodarze a przemysłowcy 72. — Ustawa Towarzystwa 72—73. — Ogólne znaczenie Towarzystwa 73—74. — Uchwała i zachowanie się rządu 74. — *Wybory*: Marszałek zwienogrodzki 74. — Dyrektor banku 74. — Dwaj rywale 75. — Następstwa 75.

IX. W Europie 76

Podróż: Cele i zlecenia 76—77. — Wzruszenie 77. — Do Wrocławia 77. — Słynny administrator 77—78. — Pamiątki i tradycje 78. — *Kuracja*: Dyagnoza Langenbecka 78—79. — Berlin 79. — U wód 79—80. — *Rolnictwo*: Hohenheim 80. — Prof. Stoeckhardt w Dreźnie 80—81. — Polskość i Polacy 81—82. — Ferma strasburska 82—83. — Miasto 83. — M. Lebel 83—84. — Boussignault 84—85. — Kongres chemiczny w Karlsruhe 85—86. — *Warszawskie Towarzystwo Rolnicze*: Warszawa a Kijów 86. — Hr. Andrzej Zamoyski 86—87. — Sprawozdanie 87. — Zakład fabryczny hr. Zamoyskiego 87—88. — Towarzystwo i Ruch 88—89.

X. Przewroty 90

Kryzys: Deficyt 90—91. — Powszechna kłeska 91—92. — Bankructwo 92. — Przyczyny polityczne 92. — *Powstanie*: Wygnańcy i więźniowie 93. — Egzekucje 94. — Dwaj rozstrzelani 94. — Represje 94—95. — Ruch i rząd tajny na prowincyi 95. — Zmiana kierunku i udział w tem Autora 95—96. — Komitety prowincjonalne 96. — Konspiracje 96—97. — Naczelnik m. Kijowa 97—98. — Zanik ruchu i dalsze zlecenia 98—99. — Fatalny formalizm 99. — Niebezpieczeństwo zażegnane 99. — W Odesie 100—101. — *Po powstaniu*: Spaczenie reformy włościańskiej i »mirowi« 101—102. — Deska ratunku 102. — Trzy drogi 102—103. — Na posterunku obronnym 103—104. — Minister Wałujew 104—105. — *Reflexje*: Konserwatyści a Katkow 105. — Nierówne siły 105—106. — Przyczyny wygranej Katkowa 106—107. — Nemezis 107—108. — Smutne świadectwa 108. — Jenerał-gubernator Bezak 108—109. — U szczytów karyery i pieniądze żydów 109—110. — Temporum mutatio 110—111. — Ukaz 10 X. 1865 111. — Osobliwi nabywcy 111. — Biurokracja napływowa i jej siła 111—112. — »Elementy« 112—113. — Wywłaszczenie 113. — *Szykany*: K. hr. Branicki i F. Sobański 114—115. — Paliatywy 115. — Ucisk 115—116. — Odprawy 116—117.

XI. Obrona obywatelska 118

Sytuacja polityczna, praca, sposoby 118—119. — *Sprawa Morgulca*: Pamiętniki Kotiuzyńskiego. 11

Ucieczka więźniów 119. — Odpowiedzialni 129—120. — Trud i poświęcenie 120. — Józefowicz 120—121. — Intryga i pomyślny koniec 120. — *Advokatura*: Jedyna droga 121. — Sprawy włościańskie i dwie z nich najgłośniejsze 121—122. — Uznanie i pomocnicy 122. — Po stronie słuszności 122—123. — Trudności pokonane 123. — Praca codzienna 123—124. — *Delegacja po zamachu Karakozowa*: Polacy i opinia przeciwko nim 124—125. — Przeszkód usuwanie 125—126. — Przychylni 126. — Lista ułożona 127. — Audyencya 127—128. — Petersburg dawniej a dziś 128. — Stosunki 128—129. — Rodzina ks. Dołgorukich 129—130. — *Sprawa Metelickiego*: Hr. Szuwałow 130. — Niepomysłny dla hr. J. Tyszkiewicza wyrok i zwłoka 130—131. — Peterhof 131—132. — Wodotryski w Rzymie, Wersalu, Zofijówce, a w Peterhofie 132. — Asocjacje 132—134. — Towarzystwo i uroczystości 134. — Przedstawienie sprawy 134—135. — Jednanie poparcia 135—136. — Motywy i obrona 136. — Charakterystyczny epilog 136—137. — *Inne sprawy*: Negocjacja finansowo-przemysłowa 137—138. Rozwój stosunków finansowych 138. — Nadzieje 138—139. — Bliski cel i przerwa w pracy przymusowa 139.

XII. Podróże 140

Dura necessitas 140. — *W Galicyi*: Pogranicze 141. — Emigranci we Lwowie 141. — Sejm i ogólne wrażenie rządów austriackich w Galicyi 141—142. — *W Wiedniu*: Lekarze 142. — Znajomi i rozrywki 142—143. — Spotkanie 143. — *Wenecya*: Klimat 143. — Rzekomy W-ki książę 144. — Gondolierzy 144—145. — Siedziba sztuk i pamiątek 145—146. — Nastroj męczący 146. — *Do Nicei*: Genua i słynny ogród 146. — Kwitnąca kraina 146—147. — Stolica high life'u 147. — Znajomi i tryb życia 147—148. — Smutne refleksye 148. — *Z Nicei do Rzymu*: Florencya 149. — Stolica Papieża 149. — Msza papieska i błogosławieństwo 149—150. — Iluminacya w Wielkim Tygodniu 150. — Arcydziała malarskie 150—151. — Ekskurs o »Sądzie Ostatecznym« Michała Anioła 150—151. — *Neapol*: Miasto, opera i mieszkańcy 151. — Ozdoby miasta i niechlujstwo 151—152. — *Na Ischii*: Przejazd na wyspę 152. — Hotel i jego właściciel 152—153. — Skuteczna kuracya 153. — Przejazdni i turyści 153. — *Z powrotem*: Wiadomości z domu i wyjazd na Wiedeń do Hall 153—154. — Kuracya w Hall i konieczność powrotu 154. — Podróż Dunajem przez Peszt 154. — *Zakończenie*: Kilka dat i faktów z ostatniej działalności Autora, w dopełnieniu wydawcy 154—156.

Dodatki 157

Projekt Towarzystwa Gospodarzy na Ukrainie 157—160, 163—166, 172. — Ustawa Towarzystwa Rolniczego zachodnich gubernii 159—173.

ERRATA.

Z ważniejszych błędów druku poprawić należy:

Na str. 93 w w. 3 od góry: »Po kontraktach 1861/62 r. ...« datę na:
1862/1863 r.

Na str. 97 w w. 9 od dołu: »komitet składało 42(!) członków ...«
cyfrę na : 4-ch.





47581/
2

